

MIESIĘCZNIK
SPOŁECZNO-
KULTURALNY

SLASK

CENA 7 Zł (w tym 5% VAT) ISSN: 1425-3917 NR INDEKSU 33328X www.slaskgtl.pl Nr 10 (301) • ROK XXVI • PAŹDZIERNIK 2020



LIRYKA
EPIKA
DRAMAT

ISSN 1425-3917



9 771425 391707



Tradycja się zmienia, bo ma własną dynamikę. O kulturze, tradycjach, a także o śląskiej kuchni – z prof. Dorotą Simone, tegoroczną laureatką nagrody Księdza Arcybiskupa Katowickiego „*Lux ex Silesia – Światło ze Śląska*” rozmawia prof. Ewa Kosowska.

Str. 4

fot. www.slaskie.travel



Przez wieki śląska ziemia hojnie obdarzała swoimi dobrami eksploatujących ją górników. Dziś materialna spuścizna śląskiego górnictwa ma swoje szalenie interesujące oblicze turystyczne. Dawne kopalniane chodniki, zamienione na trasy dla zwiedzających, oferują zapierające dech w piersiach podziemne krajobrazy, spływ łodziami po zalanych sztolniach i dawkę niesamowitej wiedzy o początkach śląskiego, górniczego bogactwa.

Szczegóły str. 22

fot. Julia Montewska



Ruiny pięknego niegdyś pałacu w Osetnie koło Góry Śląskiej kryją wiele zagadek, ale na pierwszy plan wysuwają się sekrety z czasów II wojny światowej. W tamtym czasie hitlerowcy umieścili w rezydencji zakład produkujący precyzyjne elementy optyki na potrzeby wojska. Obecnie obiekt znalazł właściciela, który być może podniesie go z ruiny.

Szczegóły str. 52

Nr 10 (301). Rok XXVI. PAŹDZIERNIK 2020

WYDAWCA
GÓRNOŚLĄSKIE TOWARZYSTWO LITERACKIE
W KATOWICACH

WSPÓŁWYDAWCA

TADEUSZ SIERNY
Redaktor naczelnyANDRZEJ JARCZEWSKI
Zastępca naczelnego redaktoraMARIAN KISIEL
Zastępca naczelnego redaktoraTOMASZ BIENEK
Sekretarz redakcjiMARIA KORUSIEWICZ
Kultura, sztuka

Stali współpracownicy:

EWA BARTOS
MAGDALENA DZIADEK
MARIAN G. GERLICH
PIOTR GRELLA-MOŻEJKO
WIEŚLAWA KONOPELSKA
PAWEŁ MAJERSKI
JAN MALICKI
WOJCIECH LIPOWSKI
ZBIGNIEW LUBOWSKI
JULIA MONTEWSKA
JAN MIODEK
KATARZYNA NIESPOREK
JERZY PASZEK
DARIUSZ PIETRUCHA
KS. HENRYK PYKA
BOGNA SKWARA
HENRYK SZCZEPAŃSKI
JOANNA WAROŃSKA
AGNIESZKA ZIELIŃSKAADRES REDAKCJI
40-036 Katowice, ul. J. Ligonia 7
zarzad@slaskwn.com.plDTP: Tomasz Kowalski
tomekk1959@tlen.plDruk: Zakład Poligraficzny Moś i Luczak Sp.j.
ul. Pivna 1, 61-065 Poznań tel. 61 633 71 65Materiałów niezamówionych nie zwracamy.
Redakcja zastrzega sobie prawo skrótów, poprawek i zmian
tytułów w tekstach przyjętych do druku oraz skracanie
korespondencji. Wydawca nie przewiduje honorariów
za publikowane materiały prasowe.**Warunki prenumeraty:**
poprzez Oddziały i Delegatury „RUCHU”
na terenie całego kraju. Bezpośrednio
w Wydawnictwie Naukowym „Śląsk”
40-036 Katowice, ul. Ligonia 7, p. 120.
Wpłaty należy dokonywać na konto:
GTL – redakcja miesięcznika „Śląsk”
BGZ BNP Paribas o/Katowice
08 2030 0045 1110 0000 0407 9490Prenumerata roczna – 84 zł, półroczna – 42 zł, kwartalna
– 21 zł. Pismo w prenumeracie jest dostarczane pod
wskazany adres bez dodatkowych opłat.Prenumerata zagraniczna: poprzez Dział RUCH SA
Infolinia 0800 120 029. Tel. +48 022 532-87-31
www.ruch.com.plCena egzemplarza – 7 zł (w tym 5% VAT)
ISSN: 1425-3917 Nr indeksu: 33328XEgzemplarze archiwalne
handel@slaskwn.com.pl; tel. 32 258-07-56Czasopismo
„Śląsk. Miesięcznik społeczno-kulturalny”
dostępne w wersji elektronicznej na www.sbc.org.pl
oraz na www.slaskgtl.pl
Nakład: 1700 egzemplarzy

W NUMERZE

PUBLICYSTYKA

- 2 *Tadeusz Sierny* OD REDAKTORA
4 *Ewa Kosowska* TRADYCJA SIĘ ZMIENIA, BO MA WŁASNĄ DYNAMIKĘ. ROZMOWA Z DOROTĄ SIMONIDES
7 *Katarzyna Lisowska* PROFESOR MIECZYŚLAW CHORAŹY OBCHODZI 95. URODZINY
8 *Anna Musialik-Chmiel* NASI W BRAZYLII
12 *Zygfryd Nowak, Jacek Pietrucha* MEANDRY ŚLĄSKIEJ TOŻSAMOŚCI I KULTURY
16 *Ks. Henryk Pyka* DARCIE BIBLI
20 *Alojzy Czech* KOPALNIA DOŚWIADCZALNA „BARBARA” – TRUDNE SĄSIEDZTWO
22 *Edward Wieczorek* MAGIA INDUSTRIALNYCH PODZIEMI
31 *Anita Skwara* ŚLĄSKA EDYCJA MFF TRANSATLANTYK
34 *Marian Uherek* ŚLĄSKIE FAMILOKI. OSIEDLE MIESZKANIOWE CZY SKANSEN?
36 *Agnieszka Zielińska, Arkadiusz Rybak* BOHATEROWIE REPUBLIKI ZAGŁĘBIOWSKIEJ
40 *Jarosław Kapsa* LISTY CZĘSTOCHOWSKIE. ZIEMIA PRZEMYSŁOWIKÓW
43 *Zbigniew Lubowski* WĄSKOTOROWA PRZEJAZDŹKA
50 *Leszek Szulc* ŚLĄSKIE RZĘKI PAMIĘCI – CIĄG DALSZY
52 ŚLĄSKIE TAJEMNICE *Julia Montewska* SEKRET PAŁACU W OSETNIE
60 PO-GWARKI PROFESORA *Jerzy Paszek* HAROLD BLOOM A/I POLDY BLOOM
66 *Marian Kisiel* PODWÓRKA CZASU. O MALARSTWIE JACKA RYKAŁY
74 *Wojciech Lipowski* OSTATNIE WSPÓLNE ZDJĘCIE

PLASTYKA, MALARSTWO, FOTOGRAFIA

69 GALERIA: MALARSTWO JACKA RYKAŁY

POEZJA I PROZA

- 3 WIERSZ NA OTWARCIE *Marian Zembala* STAŃCZYKOWI
18 *Marian Zembala* WIERSZE
26 *Andrzej Niedoba* HERODY (FRAGMENT)
44 *Barbara Gruszka-Zych* WIERSZE
46 *Marta Fox* CZTERY OPOWIADANIA
54 *Aleksander Blok* RAMZES. SCENY Z ŻYCIA DAWNEGO EGIPTU *Przełożył Marian Kisiel*

FELIETONY

- 24 BŁYSKI i ZAPATRZENIA *Marian Sworzeń* TOMASZ MANN, „ŚMIERĆ W WENECJI”
30 ŚLĄSKA OJCZYŻNA POLSzcZYŻNA. *Jan Miodek* CERA OD LUCYPERA
38 BIAŁE KRUKI *Jan Malicki* POSTNY OBIAD ALBO ZABAWECZKA
59 MIĘDZY CISZĄ A HAŁASEM *Marian Grzegorz Gerlich* ŚPIESZYMY SIĘ KOCHAĆ PISARZY
73 JĘZYK W STRUNACH *Piotr Grella-Możejko* KSIĄŻKA O WITOLDZIE SZALONKU
80 MUZYKA MOJA MIŁOŚĆ *Krzysztof Korwin-Piotrowski* PIOTR BECZAŁA – WSPANIAŁY WERTHER

KSIĄŻKI

- 62 *Anna Węgrzyniak* KOMEDIE NA MIARĘ
64 *Anna Tłałka* DOŚWIADCZANIE MIŁOŚCI
65 *Piotr Skowronek* POSTSCRIPTUM DO POSTSCRIPTUM
76 KSIĄŻKI NADEŚLANE

NOTATNIK KULTURALNY

78 KATOWICE, RYBNIK, SOSNOWIEC, WARSZAWA

Na okładce:

Jacek Rykała, Zmierzch wszedł cicho..., olej kolaż, 161x185cm, 2008

Tył okładki:

Kopalnia Srebra – obiekt UNESCO, fot. Zabytkowa Kopalnia Srebra w Tarnowskich Górach.
Sztolnia Królowa Luiza, fot. Muzeum Górnictwa Węglowego w Zabrze.

Od Redaktora

Siedmiogodzinne *tournée* karetki pogotowia i ratowników po Ziemi Rybnickiej z zakaźnie chorym, konieczność blokowania przez oddziały policji archikatedry pod wezwaniem Chrystusa Króla w Katowicach, jesienne demonstracje rolników, przeciwników noszenia maseczek, kobiet, zablokowana lub znacznie ograniczona działalność wielu podmiotów gospodarczych, zdalne nauczanie i „wychowywanie” (?) w szkołach, hybrydowa lub zdalna „praca” wielu urzędów administracji centralnej i samorządowej, zdalna „praca” lekarzy i „teleporady” udzielane chorym, „zakotwiczenie” w domach siedemdziesięciolatek – to tylko wybrane, niektóre przykłady realiów życia społecznego z jakimi musimy sobie dziś poradzić.

W tle tych zjawisk słabo wybrzmiewa decyzja całkowitej likwidacji, w ciągu kilkudziesięciu najbliższych lat przemysłu górnictwa węglowego, po dokonanej już likwidacji innych gałęzi przemysłu „ciężkiego”, dominujących do końca XX wieku na Śląsku.

Ku czemu zmierzamy jako społeczeństwo, jaką przyszłość projektują nam dzisiejsi politycy i działacze gospodarczy, finansiści, ekonomiści i kreatorzy form życia społecznego oraz komunikacji międzyludzkiej? Zafascynowani współczesnymi osiągnięciami technologii cyfrowej, możliwościami nieograniczonej

wręcz konsumpcji (przynajmniej przez znaczną część naszych współobywateli) zapominamy, że to co staje się dziś – w przyszłości może rodzić – i dobro i zło.

Czy więc stajemy się – jak chcą niektórzy **społeczeństwem urojeniowo-rozszczeniowym** podatnym na wszelkiego rodzaju manipulacje, niezrównoważonym emocjonalnie, o wyjątkowo słabych strukturach organizujących życie społeczne, zmarginalizowanej świadomości historycznej i kulturowej?

Czy wręcz przeciwnie, pozostaniemy **racjonalnym, doskonale wykształconym, pracowitym, heroicznym** narodem zdolnym w czasach zagrożenia i pokoju wspólnie, zgodnie kreować swoją teraźniejszość i przyszłość, w poszanowaniu dorobku minionych pokoleń, korzystającym z wiedzy i mądrości rodaków budujących zachęcającą do współdziałania i integracji przyszłość społeczeństwa obywatelskiego?

Kilka milionów Polaków już wybrało przyszłość poza granicami naszego kraju jak owi bohaterowie tekstu **dr Anny Musialik Chmiel Nasi w Brazylii**; ilu jeszcze naszych rodaków, zniechęconych niepewnością losu i co rusz pojawiającymi się absurdami życia społecznego porzuci strony rodzinne by szukać szczęścia gdzieś na obczyźnie?

Czy może jednak, mimo wszystko zwycięży mądrość, racjonalizm, wie-

dza i szacunek dla przeszłości z myślą o przyszłości, jaki demonstruje w swoich wypowiedziach publikowanych na naszych łamach Pani **prof. Dorota Simonides**?

Jakie rodzaje postaw życiowych będą dominować w przyszłości, czy model przedstawiany w niektórych mediach przez „wąsko tematycznych” celebrytów, czy też – miejmy nadzieję – przez postacie takie, jaką prezentowany w artykule Katarzyny Lisowskiej **prof. Mieczysław Chorąży**?

Swoistą przestrogą i odpowiedzią na tak postawione pytanie jest konkluzja sformułowana w artykule **ks. dr Henryka Pyki** cyt.: „*Wyalienowany z własnej kultury (człowiek: TS) daremnie oczekuje odpowiedzi na nurtujące go pytanie.*”

Czy przyświecać nam będą idee, które rodziły ruchy intelektualne i organizacyjne opisywane w tekście **prof. Zygryda Nowaka i Jacka Pietruchy**? Oczywiście nie w ich minionym wymiarze historycznym, ale rozumienia powinności obywatelskich, narodowych, wreszcie zwyczajnym – codziennym, ludzkim.

Czy może uwierzymy i realizować będziemy internacjonalistyczny, międzynarodowy, zglobalizowany świat ludzi – wiecznych tułaczy, turystów podróżujących po egzotycznych granicach ludzkiego uniwersum?

Tadeusz Sierny

Stańczykowi

Zapamiętany
Ze szkolnych wycieczek
Dojrzywałś we mnie latami.
Zapatrzonej w barwny strój
Z figlarnym kapturkiem
Nie zdołałem zapamiętać
Twojej twarzy.
Twój czas przychodzi.
Przestrzegaj,
Nakłaniaj,
Przypominaj,
Działaj,
Ku pokrzepieniu serc,
Ale jeszcze bardziej
Naszych umysłów.

Zabrze, 6 lipca 2017

„Tradycja się zmienia, bo ma własną dynamikę...”

Z prof. **DOROTĄ SIMONIDES**, laureatką nagrody „*Lux ex Silesia – Światło ze Śląska*”
rozmawia Ewa Kosowska

Dzień dobry, Pani Profesor! Zgodziła się Pani porozmawiać ze mną na temat specyfiki kultury śląskiej. Czy to odpowiedni moment? Kolejną kawę już Pani dzisiaj wypija?

Oczywiście, a do tego właśnie zrobiłam chyba ze sto klusek śląskich. Miałam tak piękne kartofle, syn przyniósł, do południa je obrałam, ugotowałam i właśnie przed chwilą uformowałam kluski.

To znaczy, że Pani, Profesor dr hab. Dorota Simonides, znajduje też niekiedy czas na tak prozaiczne czynności?

Ciasto kroję jak na knedle, bo to szybciej, cały taki wąż: ciach, ciach, ciach i do zamrażarki. Potem pakuję w worki po dwanaście sztuk i gdy trzeba, to mam na obiad.

Kuchnia potrafi dać wiele satysfakcji. Myślę, że zrezygnowanie z takich zajęć byłoby dla Pani dużą stratą.

Ogromną! Teraz, odkąd oczy moje niedowidzą, to wymyślam różności kulinarne. I przypominam sobie rzeczy, które moja mama robiła, babcia robiła i zaczynam je na nowo wprowadzać, włączać do jadłospisu.

To świetnie, bo jeśli spojrzymy na te receptury kuchenne od strony dorobku kultury śląskiej, to przecież zajmują one w nim poczesne miejsce.

Właśnie. I to już jest pierwsza istotna cecha śląskiej kultury – odrębność kulinarna.

A gdybym tak zapytała, jakie potrawy uważa Pani Profesor za „najbardziej śląskie”, to oprócz klusek, co by to jeszcze było?

Modro kapusta. Musi być specjalnie przygotowana; musi być liść bobkowy, musi być ziele angielskie; kapusta musi być odpowiednio przyprawiona. Niektórzy dają trochę rodzynek, jak moja mama, i potem ciut cytryny, żeby kolor miała ładny, trochę soli, pieprzu – jest pyszna. Ugotowana dobrze...

Brzmi smakowicie. Kiedyś może się wproszę na taką kapustę... A poza tym?

A więc rosół z nudlami, kluski, rolady i modro kapusta. Byłam kie-

dyś w Bułgarii w Złoty Piaskach, dawne lata 60. czy 70. Przy naszym stole siedział górnik z Rudy Śląskiej. I w niedzielę podali nam śledzia z kartoflami i sałatkę jakąś. A on zawołał: „O mamo, jakbyście wiedzieli, co ja w niedziela jem, to byście mie zaraz do domu zawołali!”. To było kapitalne, bo w niedzielę na Śląsku musiał być rosół z nudlami, kluski, modro kapusta i rolady.

Zawsze?

Zawsze. W niedzielę obowiązkowo do kościoła, a z kościoła – wiadomo: robić kluski, bo musiały być świeże.

Czyby kluski robiło się w niedzielę?

Nie w niedzielę, w sobotę! I one nie były zamrażane, tylko położone izbie, na białym ręczniku, ułożone tak pięknie. W niedzielę się je tylko do wrzątku wrzucało. Tak samo makaron robiono w sobotę, wałkowano całe płachty tego makaronu. My jako dzieci, tośmy zawsze rwali trochę ciasta i kładli na piec. Taki makaron przypieczony był znakomity, lekko przypalony, uuu...

Ja też pamiętam z dzieciństwa święte ciasto pieczone na gorącej blasze kuchennej...

A z kulinariów typowo śląskich to jeszcze są *makówki* na wigilię. I *siemieniotka*. Siemieniotka była z konopi; tłukło się te konopie już rano w wigilię, ubijało się je, tak, żeby wydały białe mleczko, które tam w środku było, a do tego były *pogańskie krupy* czyli kasza gryczana na gęsto. Ta siemieniotka to była postna zupa na wigilię. Potem do ryby, jeśli ryba była gotowana, bo do pieczenia to nie, ale do gotowanego karpia – *moczka*. Ta moczka to był piernik extra czarny, kupowało się go gotowy. Najpierw się go moczyło w piwie ciemnym, potem się rozgotowało i dodawało mnóstwo bakalii, mnóstwo: rodzynek, cieniutko pokrojone orzechy, migdały, figi i daktyle... Ta moczka była super. Teraz przyszła jako deser do niektórych domów zabużan. Jako uroczysty deser, bo ona jest naprawdę wspaniała.

A może zabużanom moczka trochę kutię przypomina?

Kutia to raczej *makówki*, bo to i mak, i pszenica mielona, i również bakalie.

A jak Pani sądzi, Pani Profesor, kiedy takie przysmaki pojawiły się na Śląsku?

Myślę, że raczej pod koniec XIX i na początku XX wieku. Niewątpliwie w domach dostatnich można było na stołach zobaczyć moczka. Bo wcześniej na przykład Lompa opisuje, że nawet na weselach nie było kołocza, były rozmaite placki.

Potem sytuacja się poprawiła, pojawiły się nowe potrawy, które dzisiaj są uważane za typowo śląskie.

Niewątpliwie istnieją wyróżniki kulinarne. Przy czym mówiąc o Śląsku trzeba pamiętać, że jest on tak wielokulturowy, że w zależności, z której strony patrzymy, możemy zauważyć niemieckie wpływy, albo czeskie, albo polskie. Gdzie były te wpływy silniejsze, tam była kuchnia trochę podobna do kuchni danego kraju, danej wspólnoty. Ponieważ Śląsk był ponad siedem wieków poza państwowością polską, poza wspólnotą narodu polskiego, a miał różne *etnicum*, bo było *etnicum* morawskie, czyli czeskie, liczne *etnica* niemieckie, dużo ich było, *etnicum* polskie oczywiście i rdzenne, własne, wywodzone ze spuścizny ojców. Jak się to wszystko wymieszało, to Śląsk stał się nie tylko wielokulturowy, ale i ogromnie barwny. Ci, którzy się nim zajmują, widzą to, szanują to, potrafią tę jego wartość docenić. Ludność na przestrzeni wieków zawsze była otwarta na inne kultury. Miała łatwość podejmowania kontaktów, łatwość komunikacji z innymi, z tymi, którzy się na tej ziemi zjawiali, nawet z obcymi. Miała umiejętność prowadzenia dialogu i to, co jej się spodobało, to umiała oswoić, udomowić, inaczej nazwać. I w ten sposób mamy w kulturze śląskiej wiele rzeczy, które wprawdzie mają nazwę inną, ale są przecież podobne do tych spotykanych w innych regionach, chociaż często nikt o tym nie wie. Ja na przykład, jak piszę kartkę na zakupy dla syna, to piszę *buchetki*, w Poznaniu nazwaliby

to *pyzy*, Niemcy nazwali by to jeszcze inaczej, *Dampfnudel*, bo to kłuski na drożdżach, gotowane na parze. Czyli nazwy były rozmaite, ale bardzo podobne potrawy. Myślę też, że mówiąc o śląskiej kulturze, trzeba zawsze zaznaczyć, o jakim wieku się myśli; inaczej było w XVIII wieku, inaczej w XIX, inaczej w początkach XX, gdy na przykład do domu górników przybyła choinka, a jeszcze inaczej współcześnie, gdzie ton nadaje czasem kultura masowa, która jest prawie wszędzie ta sama.

A woli Pani Profesor mówić, myśleć, o kulturze śląskiej, czy raczej o kulturze Śląska?

Rozróżniam te rzeczy. Po pierwsze kultura Śląska jest już kulturą w dużej mierze polską. Dzisiaj nawet mniejszość niemiecka czy białoruska pielęgnuje swoje kulinaria i inne elementy tradycji, ale współcześnie mamy do czynienia z kulturą ogólną, polską, masową nawet. Zresztą Ślązacy także rozlali się przecież po całej Polsce. Wielu jest Ślązaków w Warszawie, pielęgnujących śląskość. Założyli nawet swoje stowarzyszenie. Ale oni już są tak wtopieni w Warszawę, że takiego bezpośredniego kontaktu z dzisiejszym Śląskiem nie mają. Po drugie, kultura Śląska, w wyniku decyzji administracyjnych, bywa także utożsamiana z kulturą województwa. Ja się przed tym bronię. Bo na przykład Zagłębie nie ma nic wspólnego ze śląską kulturą, ma kulturę własną. Podobnie Częstochowa. Województwo śląskie oddziela od innych województw granica administracyjna, a nie kulturowa. Sosnowiec, na przykład, nie ma nic wspólnego ze śląską kulturą. Ja pochodzę z rodzimej rodziny śląskiej, więc widzę tę różnicę. Gdy jestem w Dąbrowie Górniczej, w Czeladzi, i w Będzinie, i w Częstochowie, to oni, jakby im powiedziałem, że są Ślązakami, to byliby zdumieni. Mieszkają w województwie śląskim, ale nie są Ślązakami. Ja to rozróżniam, zdecydowanie. A wielkim wyróżnikiem jest gwara. Są powiaty, są miejscowości, gdzie się mówi tylko gwarą, ale, co ważne, ludność potrafi natychmiast przejść na język ogólnopolski.

I tych gwar jest wiele...

To jest prawda, ja sama znam trzydzieści trzy gwary. Wiem, że każdej gwarze dana rzecz może mieć inną nazwę, a ta sama nazwa może znaczyć co innego. Na przykład *światło kapusta*. To jest niebieska, modra kapusta, a *de facto* chodzi o czerwoną. Ale w Opolskiem, w rodzinie mojego męża mówią na nią właśnie *światło kapusta*. *Światły fartuch* to niebieski fartuch. Na przykład u nas, w kato-

wickiej gwarze, w Nikiszowcu, to się *cyganiło*. *Cyganić* znaczyło kłamać. A u nich mówi się *nie wchleję tak*. Myśmę się z mężem – on z Opolskiego, ja z Katowic – nie zawsze mogli dobrze porozumieć. On powiedział, że *my mamy tego siła*, to ja nie wiedziałam, dlaczego on ma „siły dużo”? Nie, *oni tego mają moc*, czyli dużo, dużo; to jest staropolskie, Kochanowski tego używał. Gwara jest bardzo różnorodna, ale ciekawa i bardzo bogata, szkoda by było ją zagubić. Jednak jest to język domowy, język serca można powiedzieć, to nie jest język literacki, język, w którym można wyrazić wszystko. Opowiadał mi ksiądz arcybiskup Alfons Nossol o swojej podróży do Teksasu. Tam do dzisiaj żyją Polacy z Płużnicy, którzy kiedyś wyemigrowali z powiatu strzeleckiego. Były właśnie Zielone Świątki i poproszono go, żeby kazanie z tej okazji wygłosił *po naszymu*, czyli po śląsku. On się zastanawiał, jak można teologiczne rozważania na temat Ducha Świętego prowadzić w gwarze, jak odpowiednio przekuć tę myśl teologiczną. To się okazało niełatwe, więc przeszedł na angielski.

Znalazł wyjście. Ale Ślązacy w Teksasie też są teraz i wielojęzyczni, i wielokulturowi.

Tak, Salcia Sekuła wygrała zresztą w Katowicach konkurs „Po naszymu, czyli po śląsku”, bo oni ciągle mówią gwarą z takimi archaizmami, że to jest skarb po prostu. Gdy w połowie XIX wieku ich przodkowie przyjechali z Opolszczyzny do Ameryki, to Niemcy uznali ich za polską grupę, bo nie mówili po niemiecku, chociaż wyjechali z Niemiec, z Prus. Jechali statkiem z Hamburga, albo statkiem z Bremy, różnie to było i jak przyjechali, to nie mówili po niemiecku. Posługiwali się tylko swoją gwarą, a ta gwara dla tamtejszych Niemców, którzy też się tam osadzili, była gwarą polską.

Miałam okazję rozmawiać ze Ślązakami teksańskimi kilkanaście lat temu, oni rzeczywiście mówią bardzo piękną gwarą śląską. Moim zdaniem wynika to – nie wiem, czy Pani Profesor się ze mną zgodzi – głównie z tego, że wychodzący z Płużnicy byli rolnikami. Oni byli związani z wielowiekową kulturą agrarną. W momencie, kiedy weszła industrializacja na Śląsk, to..... pojawiły się germanizmy.

Tak, przede wszystkim terminy techniczne.

Germanizmy. I to wyraźnie widać na Śląsku katowickim. Opolskie zostało agrarnym województwem, dlatego tu gwara jest piękniejsza od katowickiej. Mnie najbardziej boli, że niektó-

rzy przyjezdni, jeszcze nie zakorzenieni na Śląsku, myślą, że wystarczy wrzucić parę niemieckich słów i już mówi się gwarą. Nie, te twarde germanizmy są późniejsze, wcześniej ich nie było.

Mnie się wydaje, że to, co dzisiaj odbierane bywa jako typowo śląskie, w dużym stopniu związane jest właśnie z kulturą agrarną, która zmieniła się powoli i pozwoliła przez długi czas zachować rozmaite, niekiedy bardzo stare formy kulturowe. Oczywiście.

Gdy popatrzymy, że na Śląsk historyczny składał się zespół księstw, które były własnością prywatną, sprzedawaną, podbijaną, przekazywaną w spadku, oddawaną w posagu..... to Luksemburgom, to Habsburgom, to Hohenzollernom..... to on był raz bardziej polski, raz bardziej niemiecki, innym razem bardziej czeski. W XVII wieku księgi oficjalne, urzędowe, pisano w języku czeskim. Potem to się zmieniło. Ludność śląska miała do wyboru: albo każdorazowo poddać się kulturze, religii, językowi kolejnych władców, albo trzymać się spuścizny ojców, trochę się izolować, zamykać i trwać przy własnej kulturze. I to zrobiliśmy.

Tak, chociaż to było bardzo trudne. Pamięamy przecież: „czyja władza, tego religia”, potem wraz z upowszechnieniem pisma, także wprowadzenie języka urzędowego... Władza znaczyła wtedy bardzo wiele i kolejni władcy forsowali własne prawo, które rzutowało na obyczaje. Oczywiście. Obyczaje są podstawą prawa, bo prawo bierze się z obyczaju. Czego nie było w obyczajach, to nie było prawem.

Ale na Śląsku często wprowadzano prawa wywodzące się z obcych obyczajów...

Właśnie. I jeszcze o jednym trzeba pamiętać: mnie się wydaje, że w wyniku tego, że Ślązacy musieli się trochę izolować, trzymać na uboczu, to wielu z nich garnęło się do studiów. Ślązacy byli przez Niemców, przez Czechów, przez Polaków tak lekko poklepywani po plecach, jako ci, którzy nie potrafią mówić językiem obowiązującym w kraju: ogólnopolskim, ogólnoniemieckim, czeskim. W efekcie nie awansowali. Toteż niewielu z nich się kształciło, a jeśli ktoś już studiował, to po to, żeby zostać albo księdzem, albo adwokatem, albo lekarzem. Innych zawodów nie uznawano. I to trwało dość długo, Ślązacy na ogół nie awansowali na różne wysokie stanowiska.

A nie sądzi Pani, że mogliby awansować, ale ten awans wiązał się ze swoistym wykorzystaniem kulturowym? Bo trzeba było przejść język, zwyczaje, zachowania...

Tak, ubiór, inne zachowanie... I oni sami stawali się wtedy już trochę inni... Ale *de facto* dopiero po 1989 roku, po zwycięstwie Solidarności, Ślązacy jakby wstali z kolan. Naprawdę! Mogłam to obserwować; przez dwadzieścia pięć lat byłam jurorem w konkursie „Po naszymu, czyli po śląsku”. I widziałam Ślązaków z różnych miejsc, oni wszyscy podkreślali, że dopiero teraz są dumni, że są Ślązakami. I byli dumni. Mówili w swojej gwarze, a czuli się Ślązakami i Europejczykami. Tak łatwo wchłonęli tę Europę, bo trzeba powiedzieć, że śląska wielokulturowość była europejska... *zawsze*.

Właśnie. Dlatego Śląsk jest doskonałym terenem i do badań socjologicznych, i kulturoznawczych, i folklorystycznych.

A czy sądzi Pani Profesor, że dzisiejsze sposoby popularyzacji tego, co śląskie, mogą się Ślązakom przysłużyć, mogą się przysłużyć utrzymaniu specyficznych form tej kultury, czy też przeciwnie?

To zależy co. Nie podoba mi się, gdy widzę widowiska kabaretowe, te na przykład przygotowane w Poznaniu, czy w innych stronach kraju, a mówiące o Ślązakach. Wykonawcy biorą ze Śląska warstwę, powiedziałabym, powierzchniową. Trudno zrobić tematem prześmiewczych dialogów etos pracy, pragmatyzm, czy praktyczność Ślązaka, pozostaje więc nie zawsze czysta gwara i humor, taki na granicy dobrego smaku. Ktoś tam podniesie suknię czy kolano wyżej, albo pokaże pewną część ciała. Takie zachowania były kiedyś w rodzinach śląskich oceniane pejoratywnie. Utożsamianie z nimi Ślązaków się nie przysłuży kulturze śląskiej. W ogóle sprowadzanie kultur ludowych do niewybrednych przyspiewek i dwuznacznych zachowań uważam za pomyłkę. Wyśmiewanie tego, co jest inne, lub wydaje się inne, niszczy prawdziwe bogactwo kultur regionalnych. A przecież każdy region ma swoją odrębność. Ja to ciągle powtarzam: korzenie mogą być takie same, ale kwiat w każdej ziemi ma inny kolor, inną nazwę. Należy utrzymać to, dzięki czemu tak pięknie się różnimy. I uważać na to, by nie dzielić Polski na zachód i wschód, bo to jest niebezpieczne. Jesteśmy jednością, jesteśmy wspólnotą. Trzeba umieć dbać o wspólnotę narodową i o tożsamość regionalną. I o żadnej nie wolno zapominać. Warto popatrzeć, jak Ślązacy pracują, jak są do-

kładni, punktualni, jak etycznie postępują, jak są uczciwi, jak są czysti. Chociażby *cos* osobotnie mycie okien, bo ten pył, sadza, ciągle je brudziła; właśnie czystość na przekór kopalnianej czarności była cechą charakterystyczną regionu. O tym mało już kto wie. Tego się jakoś nie pokazuje. Natomiast mówi się, że Ślązacy nie są patriotami. To jest absolutnie głupie stwierdzenie. Oni są pragmatyczni. Walczyć o polskość tak, ale pozostać żywym. Nie: wołać, flagę trzymać, stać na szančiu i dać się zastrzelić, zginąć. Nie krew, ale praca jest ważniejsza dla Polski. I w tym się przejawia ten pragmatyczny patriotyzm. Należałoby go zbadać dokładnie: Ślązacy, jak trzeba, ginęli, ale moja babcia mówiła: idźcie na wojnę, bo za Polskę trzeba się bić, ale wróćcie żywi.

Nie do końca ten model zgadza się z innymi modelami patriotyzmu...

Na pewno Powstania Warszawskiego na Śląsku by nie było. Były powstania śląskie, ale one w efekcie wywalczyły, że mamy Polskę. Cała przemyślna część Śląska od 1922 roku należała do Polski. Nie byłoby plebiscytu w 1921 roku, gdyby nie było trzech powstań. Czyli te powstania były zwycięskie. Ale na szaniec spraw beznadziejnych – nie; Ślązacy są za mądrzy, żeby iść na to.

Nie będę pytać o to, czy współczesnemu Ślązakowi jest potrzebna tradycja...

Każdemu jest potrzebna. Jeśli człowiek nie jest zakorzeniony i nie ma swojego domu w symbolicznym znaczeniu, to bardzo łatwo nim manipulować. Człowiek musi mieć korzenie i musi wiedzieć, skąd pochodzi. Wańkowicz tak pięknie powiedział: „jeśli nie wiesz, jak twoja babka nazywała się z domu, to ci ręki nie podam”. Więc to są te korzenie, ten dom, to oswojenie, to miejsce, które każdy musi mieć i umieć je nazwać. Inaczej jest sfrustrowany, bezdomny, zgorzkniały, z takim człowiekiem nie masz co robić.

Może jeszcze na koniec, bo to mnie dręczy. Podstawowym przedmiotem Pani naukowych zainteresowań zawsze była śląska kultura ludowa; ona była priorytetem, prawda?

Nie tylko. Ja śledziłam w całej Europie zmiany zachodzące w kulturze ludowej. Bo czym innym są stroje ludowe, które można zamknąć w skrzyni, a potem wydobywać i rozpoznawać: te są osiemnastowieczne, te dziewiętnastowieczne, te współczesne. Tradycja się zmienia, bo ma własną dynamikę, żywą, każdorazowo współczesną energię. I ta energia powoduje zmiany w kulturze, ludowej także. Kultura zmienia się i dlatego jest tak waż-

ne, by ustalić, o jakim okresie mówimy. Nagrodę im. Herdera dostałam za wkład w badanie kultury europejskiej, bo raz, wskazałam na te zmiany, na tę energię, która każdorazowo zmienia tradycję, a dwa, bo zwróciłam uwagę na to, że badając kulturę nie wystarczy uprawianie swoistej archeologii w głowach starych ludzi, ale należy uwzględnić i to, że również najmłodsze pokolenie twórczo podchodzi do tradycji. I dlaczego książka o folklorze współczesnych dzieci i nastolatków jest tłumaczona fragmentarycznie na angielski, japoński, niemiecki. Ja byłam członkinią wielu międzynarodowych towarzystw naukowych, m.in.: International Society for Folk-Narrative Research, International Society for Ethnology and Folklore, Folklore Fellows i Narodopisnej społeczności Slovenska, badaczką cenioną dlatego, że ciągle wydobywałam teoretyczne zależności, charakteryzujące tradycję. Nie tylko na przykładzie Śląska, ale szerzej, na przykładzie folkloru europejskiego, a nawet amerykańskiego. Opisywałam jak on się zmienia. Niektórym się wydawało, że ja, jak Kolberg, zbierałam tylko rzeczy stare. Nie, ja zbierałam i opowieści o czarnej Wołdze, o hispisie, który maltretował własną matkę. Zbierałam to, co było przekazem ustnym, tym wyrosłym z tradycji. Ale także kolekcjonowałam średniowieczne *exempla*, które żyły i żyją po dziś dzień. W innej formie, oczywiście, inaczej opowiadane. To też jest tradycja, tylko inaczej nazwana. Przypisywano mi zainteresowania wyłącznie folklorystyczne, a to nieprawda.

Zajmowała się Pani zmianą kulturową, także w obrębie folkloru.

Tak, właśnie i to doceniono w Europie.

Dorobek Pani Profesor jest bardzo cenny, nie będzie można nigdy go pominąć, to jest prawdziwe Świątło ze Śląska...

Tylko oby mi dane było świecić jeszcze, oby mnie nie zabrała epidemia i nie zgasiła tego światła! Ale nawet wtedy, mam nadzieję, że mój dorobek będzie świecił...

Śmieje się Pani, ale ja jestem przekonana, że będzie świecił, ale Pani Profesor powinna robić wszystko, żeby mu w tym pomagać. Proszę przyjąć moje najszersze gratulacje: nagroda Lux ex Silesia przyznawana jest intelektualistom i artystom wyjątkowo zasłużonym dla Śląska. Pani niewątpliwie od dawna do tego grona należy. Dla mnie to zaszczyt móc się cieszyć Pani sympatią i wielką przyjemność móc korzystać z Pani wiedzy o Śląsku. Bardzo dziękuję za tę rozmowę.



Profesor Mieczysław Chorąży obchodzi 95. urodziny

KATARZYNA LISOWSKA

Zakładu Biologii Nowotworów przez 32 lata (1963–1995), a faktycznie zaczął nim kierować już w roku 1958 i miał wpływ na jego kształt jeszcze przez wiele późniejszych lat.

Moje spotkanie z Profesorem

Najpierw musiałam odbyć rozmowę. Mimo że zjadała mnie trema, chyba jednak nie najgorzej wypadłam, gdyż Profesor wyraził zgodę, żebym przychodziła się uczyć i brać udział w pracach jego zespołu. Efekt mojej rosnącej fascynacji biologią molekularną był taki, że wkrótce wystarałam się na uczelni o zgodę i mogłam wykonywać swoją pracę magisterską w Instytucie Onkologii. A po obronie stało się to najważniejsze – Profesor zapytał mnie: „Kaśka, czy chciałaby pani u nas pracować?”. Czułam się jakbym Pana Boga złapała za nogi. I tak już zostało – praca, doktorat, habilitacja, profesura. Przez te wszystkie lata u Jego boku, najpierw jako kierownika zakładu, potem emerytowanego profesora. Od ogromnego respektu, poprzez czas, kiedy zaczęliśmy toczyć bardziej partnerskie rozmowy, do wspólnych działań społecznikowskich, z wciąż rosnącym szacunkiem i miłością.

Korzenie i droga

Profesor urodził się w małej Janówce na Podlasiu. Wychował go ojciec, świątły włościanin i kochająca matka, a wzorem do naśladowania był starszy brat Janek, student i działacz ruchu spółdzielczego. Rodzice zadbali, aby się kształcił, jednak naukę w gimnazjum w Białej Podlaskiej przerwała wojna. Wojna zabrała również matkę, która zmarła na tyfus. To wtedy mały Mietek postanowił, że zostanie lekarzem. Jego dalszą edukacją zajęła się bratowa. Tak znalazł się w Warszawie, podjął naukę na tajnych kompletach, włączył się w działalność konspiracyjną. Ukończył Szkołę Podchorążych, brał udział w powstaniu warszawskim (pseudonim „Grom”, pułk „Baszta”, walki na Mokotowie), dwukrotnie ranny, po powstaniu więziony w stalagu Altengrabow. Po wojnie ukończył studia medyczne w Warszawie. Zaczął pracę zawodową w stolicy, ale jako „element niepewny ideowo” (żołnier AK), w roku 1951 dostał nakaz pracy „na prowincji”: w Państwowym Instytucie Przeciwrakowym w Gliwi-

cach (obecnie Narodowy Instytut Onkologii). Tu krótko praktykował jako lekarz, później trafił pod opiekę naukową wybitnego patofizjologa i onkologa, prof. Kazimierza Duxa. W 1958 obronił doktorat i został p.o. kierownika zakładu. Odtąd samodzielnie rozwijał swoje pasje badawcze, organizował zespół naukowy i zaplecze sprzętowe. O poziomie badań prowadzonych przez Profesora już w latach pięćdziesiątych XX w. świadczą publikacje w renomowanym brytyjskim piśmie naukowym *Nature* – do dziś marzeniem każdego badacza z obszaru nauk o życiu. W roku 1975 ukazał się „Wstęp do biologii nowotworów”, napisany wspólnie z prof. Duxem – przez lata najważniejsza pozycja polskiej literatury naukowej na ten temat. Prof. Chorąży był też jednym z pionierów badań nad tzw. mutagenizacją środowiskową – już w latach 80. zainspirował swoich współpracowników do badań nad uszkadzającym wpływem zanieczyszczeń powietrza na materiał genetyczny człowieka. W ostatnich latach pasjonuje się biologią systemów, badaniami nad chaosem i początkami życia na Ziemi.

Mistrz

Oprócz autorytetu naukowego Profesor Chorąży jest dla mnie i dla wielu nauczycielem postaw życiowych, których wspólnym mianownikiem jest niezłomność i odwaga. Swoim przykładem uczy nas również, aby nie pozostawać obojętnym. Od lat uprawiał to, co dziś nazywamy dziennikarstwem obywatelskim. Starał się publikować artykuły, w których zmagał się z różnymi społecznymi bolączkami: od krytyki szarlatanów metod alternatywnej terapii raka, przez sprzeciw wobec niszczenia materialnych pamiątek industrialnej przeszłości Śląska do ochrony drzewostanów miejskich czy nawoływania o poszanowanie dobrostanu zwierząt. Młodym zaś stale przekazuje historię, której był świadkiem i uczestnikiem, a robi to tak, że najwięksi rozrabiacy cichną i chłoną z zainteresowaniem.

Profesorze! Życzymy Panu dobre go zdrowia, niegasnącej pasji naukowej i radości życia. ■

Autorka jest profesorem w Narodowym Instytucie Onkologii

Nestor krajowej onkologii, wybitny uczyony, twórca polskiej szkoły biologii nowotworów, a także powstaniec warszawski, społecznik, nauczyciel i autorytet moralny – tak w 2017 roku kreślił jego sylwetkę serwis *Nauka w Polsce* z okazji wręczenia Orderu Orła Białego przez prezydenta Andrzeja Dudę. 31 sierpnia 2020 świętowaliśmy 95. urodziny Profesora – „covidowo”, zdalnie, ale uroczysto, z udziałem gości z całej Polski i z zagranicy.

Niezwykły ośrodek naukowy w Gliwicach

Jeszcze jako studentka zamarzyłam, by odbyć praktykę w Zakładzie Biologii Nowotworów w Instytucie Onkologii w Gliwicach. Pod koniec lat 1980. program studiów na Wydziale Biologii Uniwersytecie Śląskiego był jeszcze bardzo klasyczny. Dużo botaniki i zoologii, miłe praktyki terenowe... Doszły mnie wówczas słuchy, że w Gliwicach jest taki zakład, w którym rozwijane są badania nad biologią molekularną nowotworów. To była nowość i to mnie pociągało bardziej niż liczenie płatków kwiatowych i owadziach odnóży. Co więcej, krążyły też opowieści, że w tym zakładzie pracownicy przyjaźnią się ze sobą, wspólnie świętują, w wolne dni wyjeżdżają razem na wycieczki. To było niezwykle w zderzeniu z realiami późnej komuny.

Dziś wiem, że zarówno ten dostrzegalnie wyższy poziom naukowy, ciągły import nowych technik badawczych, jak i prekursorski zwyczaj organizowania tego, co dziś nazywamy imprezami integracyjnymi, zakład zawdzięczał niezwyklej osobowości swojego kierownika, Profesora Mieczysława Chorążego. To on przywoził z zagranicznych wyjazdów naukowych nowe trendy i obyczaje. On przekonywał decydentów do rozwijania nowoczesnej nauki o nowotworach i negocjował z każdym, kto mógł wspomóc nasz zakład zastrzykiem finansowym czy zakupem nowej aparatury. Formalnie Profesor Chorąży był kierownikiem

Nasi w Brazylii

ANNA MUSIALIK-CHMIEL

Kultura śląska czy kultura Śląska? Sama ta podwójność skłania do refleksji nad specyfiką naszego dziedzictwa i naszej współczesności. Można na tę kulturę/te kultury patrzeć z punktu widzenia dzisiejszego mieszkańca Śląska, tego zasiedzanego od pokoleń i tego, który osiedlił się stosunkowo niedawno. Ale można też jeszcze inaczej: perspektywę, z której chciałabym spojrzeć na śląskość w tych rozważaniach uzyskałam przed laty, odwiedzając potomków dziewiętnastowiecznych emigrantów w Teksasie i Brazylii.

W połowie stulecia z Górnego Śląska wyjechało do Nowego Świata wielu mieszkańców, podróżując w małych i dużych gromadach. Pierwsza grupa złożona z ponad dwustu rodzin wyruszyła do Teksasu w 1854 r. z Płużnicy Wielkiej i kilku sąsiednich opolskich wiosek. Dała ona początek najstarszej na kontynencie amerykańskim polskiej osadzie o nazwie Panna Maria. Wychodźcy emigrowali zachęceni listami krewniaka i sąsiada, franciszkanina, ojca Leopolda Moczygemby, który jako misjonarz posługiwał wśród osadników niemieckich. Informacje o taniej ziemi, której podówczas w Teksasie było pod dostatkiem, były najważniejszą zachętą dla komorników, zagrod-

ników, chałupników, czyli dla tych, którzy mogli tylko o niej marzyć. Warto przypomnieć, że autorzy aktów prawnych, które w pierwszej połowie XIX wieku doprowadziły do zniesienia poddaństwa, nie zadbali o los wyzwolonych chłopów. Lata czterdzieste były na śląskiej wsi okresem nie tylko głębokiego kryzysu ekonomicznego, ale także klęsk żywiołowych, nieurodzaju, głodu, chorób, z których tyfus (w 1847 r. na tyfus plamisty w reencji opolskiej zachorowało 80 tysięcy ludzi, a zmarło ponad 16 tysięcy), cholera i dur brzuszny najdotkliwiej dawały się we znaki. W ówczesnych gazetach opisywano ludzkie tragedie, które i współczesnemu czytelnikowi przemawiają do wyobraźni. W „Schlesische Zeitung”, najważniejszym dzienniku śląskiej prowincji pruskiej, reporterzy pisali o rodzinach żyjących w skrajnym ubóstwie, o tłumach żebraków wałęsających się po ulicach, o ludziach, których ogarnęło całkowite zubożenie nawet na los najbliższych. Sytuacja utrzymywała się długo, a jej opisy budziły przerażenie i współczucie. „Gazeta Polska” zainicjowała zbiórkę na pomoc dla Górnoślązaków. W grudniu 1879 Karol Miarka pisał w liście skierowanym do redakcji:

„Szanowni Rodacy. Wiadomość,

że gazety warszawskie poruszyły myśl o zbieraniu ofiar dla nieszczęśliwych Górno-Szlązaków, czytaliśmy łzawem okiem. Opisać nie mogę wrażenia, jakie ta wiadomość wywołała w całym Górno-Szląsku. Zaprawdę, okropna na Górnym Szląsku panuje nędza, wylewy rzek zniszczyły wszelką nadzieję żniw; nieustanne deszcze na wiosnę i podczas lata zepsuły zboże i jarzyny, w niektórych okolicach nisko położonych ziemniaki zgniły zupełnie, że ich nawet nie dobywano z ziemi, a klęska tem dokuczliwsza, ponieważ lud nasz żywi się przeważnie ziemniakami i kapustą, która się także nie udała. Stagnacja w handlu i przemyśle, brak odbytu żelaza i węgla i z tej przyczyny zarobku pomnażają biedę, grożąc głodową śmiercią ubogiemu ludowi, wszystkim zaś warstwom żarliwymi chorobami, które w latach 1846–1849 trzecią część mieszkańców umorzyły na Górnym Szląsku. Jeżeli kiedy i gdzie bądź pomoc była potrzebna, to zapewne dla Górnego Szląska. Bracia! Ratujcie rodaków, którzy za każdą pomoc czy w pieniądzu czy w odzieży czy w zbożu, mące czy innej żywności, wdzięcznie się modlić będą za łaskawych dobrodziejów, tem więcej, że to pomoc od rodaków. Bóg łaskawy, który nagradza i kubek

Kurytyba w 1885 r. Fot. arch.



wody podany pragnącemu, zapewne i wam zapłaci hojnym błogosławieństwem. Upraszamy wszystkie pisma polskie o łaskawe umieszczenie niniejszej odezwy. Dyrektor Zarządu Górno-Szląskiego Towarzystwa Włościan oraz Komitetu głodowego dla Górno Szlązaków – Karol Miarka”.

Najzaradniejsi i najbardziej zdecydowani Ślązacy postanowili jednak szukać ratunku na własną rękę, opuszczając ojcowiznę w poszukiwaniu lepszego losu. Druga fala emigracji, porównywana z „tekkańską”, wyruszyła w latach 1867–1878 do Brazylii z opolskiej wsi Siołkowice. Ten exodus rozpoczął Sebastian Woś *vel* Edmund Saporski. Nie wiadomo, kiedy Sebastian Woś stał się Edmundem Saporskim. Znana jest wersja, że zmienił nazwisko, aby uniknąć służby w pruskim wojsku. Opuścił Śląsk i jako Edmund Saporski dotarł do portu w Londynie, skąd w 1867 r. na pokładzie żaglowca *Emma* wypłynął do Buenos Aires. Rok później wyjechał z Argentyny i dotarł do Brazylii, gdzie zamieszkał, założył rodzinę i dożył sędziwej starości.

W listach pisanych do bliskich, podobnie jak Leopold Moczygamba, zachęcał krewniaków do przyjazdu. Tych, którzy przystali na tę propozycję czekał inny los niż wychodźców z Płużnicy, dla których ojciec Moczygamba zakupił ziemię. Do Brazylii osadnicy z Górnego Śląska przybywali po równie uciążliwej i dramatycznej podróży, ale najpierw, tak jak wszystkich emigrantów, kwaterowano ich w obozie przejściowym na Wyspie Kwiatów (Ilha das Flores) koło Rio de Janeiro. Tam po długiej morskiej podróży scho-

dzili na ląd, tam oczekiwali na przydział i wyznaczenie miejsc, gdzie mieli zamieszkać. Zazwyczaj otrzymywali obszary najtrudniejsze do zagospodarowania. Ziomkowie Wosia-Saporskiego, za jego pośrednictwem czynili starania o przeniesienie na lepsze tereny, co zakończyło się pomyślnie. Rada Miejska Kurytyby 28 listopada 1871 przydzieliła im ziemię, na której wcześniej gospodarzyli osadnicy niemieccy. Tradycja mówi, że nowi właściciele nadali jej nazwę Pilarzinho, co miało oznaczać pielgrzymkę, albo pielgrzymą – jak słyszałam wielokrotnie podczas rozmów z potomkami osadników.

Jednak miejscowość o takiej nazwie istniała już od 1792 roku. Pierwsi przybysze zbudowali kaplicę poświęconą Matce Bożej z Pilar, patronce Hiszpanii, czczonej szczególnie przez hiszpańskojęzycznych katolików w Ameryce Południowej. Tak więc śląski mikroświat zamknął się na samym początku w granicach Pilarzinho, miejsca uważanego za pierwszą polską osadę w Brazylii. Dziś to dzielnica Kurytyby, która znajduje się w północnej części miasta i graniczy z dzielnicami Saint John, Vista Alegre, Bom Retiro, Sao Lourenco, Abranches i Taboao oraz gminy Almirante Tamandaré.

W latach 1868–1879 wyjechało z Siołkowic wraz z rodzinami kilkudziesięciu stosunkowo młodych mężczyzn. Ich nazwiska (Skroch, Makiełka, Macioszek) zachowała w pamięci i wymieniała w swoim śląskim rodowodzie poznana przeze mnie w Kurytybie w 2000 roku podczas Kongresu Polonii Ameryki Łacińskiej pani Elwira Wołowska-Kęcki. Z wykształcenia lekarz-stomatolog, w rozmowach ze mną z dumą podkreślała, że była pierwszą studentką, kobietą i Polką na Uniwersytecie w Kurytybie. W jej mieszkaniu znajdowało się wiele pamiątek przywiezio-

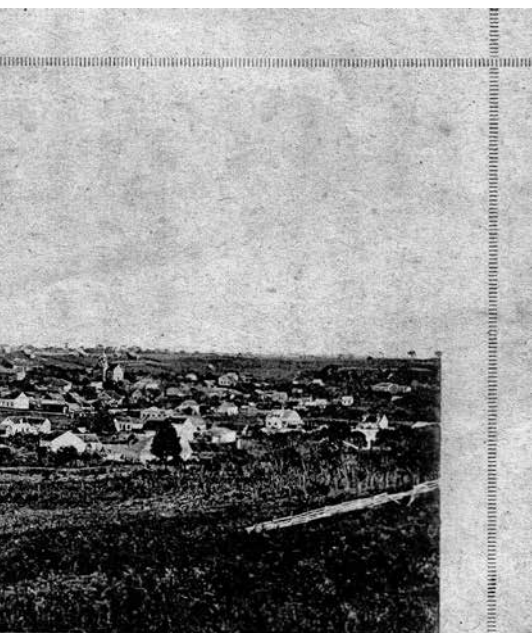


Sebastian Woś *vel* Edmund Saporski

nych z Polski, gdzie jeździła dopóty dopóki pozwalał wiek i dopisywało zdrowie. „No moi synowie zawsze mówią, że ja jestem 80% Polka, a tylko 20% Brazylianka... Nawet koledzy... miałam dwóch takich kolegów jeden pochodzenia hiszpańskiego, a jeden Brazylianiec, nie nazywali mnie inaczej jak Polaka!”.

Pani Elwira zachowała jednak w pamięci znamienne rozróżnienie. Wspominając siostrę swojej babci zwracała uwagę, że ciotka „[...] zawsze po śląsku, z tą swoją... jak to powiedzieć chustką, długą spódnicą i marszczoną. [...] Ciotka miała piękne te stroje... nigdy się nie ubrała tak jak my. Ona chodziła po chłopsku. Kiedy chciały, żeby dzieci nic nie rozumiały, to mówiły z moją matką po śląsku. Pamiętam jeszcze, że bułka to była *zymła*. I jeszcze pamiętam jak powtarzała – my nie *Poloki* my *Ślązoki*...”.

„Dona Elvira Wołowska” 22 września 2018 roku obchodziła 104 urodziny, o czym pisano na portalu Bem Parana. Autor artykułu Rodolfo Luis Kowalski przytacza opowieść o studiach na uniwersytecie medycznym w Kurytybie i zamieszaniu, jakie ten fakt wywołał wtedy w mieście. Tę historię także



Wysokie odznaczenie nestora kolonii polskiej.

Dnia 9 b. m. o godz. 10 i pół przed południem odbyła się w Konsulacie Polskim przy ul. 13 de Maio L. 63, bardzo wzruszająca uroczystość.

Mianowicie p. konsul Zbigniew Miszke w dniu tym ozdobił krzyżem oficerskim orderu „Polonia Restituta” pierś najzasłużniejszego obywatela, wychodźcę polskiego i nestora Kolonii polskiej w Brazylii p. Sebastiana Edmunda Saporskiego.

Zasługi tego czcigodnego starca i dobrego Polaka są wszystkim znane i przez wszystkich wysoko cennie. Uznają je w zupełności tak Polacy jak i Brazylijanie. Odznaczenie więc to wysokie, jakie rząd polski, na wniosek p. konsula Miszke nadał p. Saporskiemu jest aktem bardzo doniosłym i na wdzięczność całej kolonii polskiej w Brazylii zasługującym. Niemniej na powszechne uznanie zasługuje p. konsul Zbigniew Miszke, za swój sprawiedliwy wniosek, przedstawiający nestora kolonii polskiej do zasłużonej nagrody za jego długoletnią i patryjotyczną działalność na korzyść wychodźców polskich.

W podniosłej tej uroczystości wzięli udział oprócz rodziny p. Saporskiego i przedstawicieli kolonii i prasy polskiej, także przedstawiciele władz brazylijskich a mianowicie przyboczny adiutant pana Prezydenta stanu, p. pan kapitan Euclides de Valle, dyrektor kolonii p. Dr. Francisco F. Correia i p. Dr. Paulo Assumpção, biskup i dyrektor szkoły art. rękodzielniczej. Sama uroczystość odbyła się w następujący sposób:

Wśród okłasków obecnych po stosownej przemowie i odczytaniu dyplomu p. konsula Zbigniew Miszke w imieniu Najjaśniejszej Rzeczypospolitej Polskiej ozdobił pierś wznieszonego starca krzyżem oficerskim orderu „Polonia Restituta”, poczem przemówili w imieniu kolonii polskiej p. p. prof. Dr. Szymon Koszobudzki, prof. Dr. Mirosław Szeliowski i ks. wizytator Jan Rzymek, zaś w imieniu pana Prezydenta stanu Dr. Munhoz da Rocha, p. kapitan Euclides de Valle, w imieniu rządu federalnego p. Dr. Francisco F. Correia, a w imieniu Brazylijan p. Dr. Paulo Assumpção, wszyscy podnosząc wielkie zasługi p. Saporskiego. Przedstawiciele Brazylii ponadto wyrazili się z wielkim uznaniem i sympatią o znaczeniu i owocnej działalności kolonii polskiej w Brazylii a szczególnie w Paranie. — Przy szampanie wzniesiono toast na pomyślność udekorowanego, Polaci i Brazylij.

Do życzeń całej kolonii polskiej przylączyła się i redakcja „Gazety Polskiej” przesyłając p. Saporskiemu serdeczne gratulacje z powodu otrzymania tego wysokiego odznaczenia, na które sobie w zupełności zasłużył.



dążący do Ameryki z powodów przede wszystkim ekonomicznych, nie byli zupełnie bezradni w nowym kraju. Przez dziesiątki lat żyjąc na styku różnych kultur nauczyli się wybierać z nich to, co ważne i pomocne w utrzymaniu własnej tożsamości. Wdrożeni w system edukacyjny, umiejący czytać i pisać, mieli za Oceanem znacznie lepsze warunki startu niż chociażby niepiśmienni chłopcy z Królestwa. Osiedlani w sąsiedztwie emigrantów niemieckich, zachowali swoją polską orientację i jednocześnie nie zamierzali na obczyźnie podtrzymywać zależności ze Starego Kraju. Wiedzieli, że muszą wypracować sobie nowy status społeczny. Nawet niektóre kobiety, samotnie wychowujące dzieci, miały świadomość, że kluczem

jego pochodzenia, niekiedy znają dzieje rodziny. Mówią po polsku z uwagą, starannie dobierają słowa albo też przeciwnie, nie umiając znaleźć właściwego określenia, przepraszają i zdają się na wyrozumiałość interlokutora. Rozmowy z nimi dawały sposobność do pytania o losy potomków Ślązaków w Brazylii. Chociaż w Kurytybie stoi pomnik Edmunda Wosia-Saporskiego, a *Pilarzinho* jest obecnie jedną z dzielnic miasta, bardzo trudno było znaleźć kogoś, kto mógłby w tym pomóc.

Dlatego spotkanie z Elwirą Kęcką, znakomicie znającą swój śląski rodowód, było ogromnym zaskoczeniem tak dla niej, jak i dla mnie. Ona nie spodziewała się spotkać Ślązaczki, a ja nie przypuszczałam, że ktoś w Brazylii opowie mi o swoim śląskim rodowodzie, pokazując kopie dokumentów. „Mój pradziadek był Skroch, a moja prababcia była Makiełka. Moja matka Maria Skroch, proszę popatrzeć tu jest tak napisane: urodziła się w Brazylii w rodzinie z Górnego Śląska, *Alta Silesia* to jest Górny Śląsk. [...] W archiwum miejskim w Kurytybie jest to zapisane; moja znajoma, która tam pracuje zrobiła mi kopie ze spisu tych, którzy tu przyjechali z Polski w 1874 roku. A na Kandydzie – tak mówią – sami ze Śląska mieszkali. Moi dziadkowie tu przyjechali prosto z Polski. Najpierw do stanu Santa Catarina do San Francisco do Sul, a później do Kurytyby. Właśnie Sebastian Woś-Saporski te cztery rodziny, które przyjechały do Kurytyby, osiedlił na Santa Candyda”.

Postać Wosia-Saporskiego znałam wcześniej z lektury. W połowie lat sześćdziesiątych ubiegłego wieku ukazała się trzytomowa powieść Bolesława Mrówczyńskiego *Bartochowie. Opowieść brazylijska o rodzie śląskim, który na drugiej półkuli budował nową ojczyznę*. Autor usiłował przybliżyć polskiemu czytelnikowi zjawisko emigracji Ślązaków do Ameryki Południowej, w miarę wiernie odtwarzając realia życia wychodźców za oceanem. Studium historycznym Mrówczyńskiego towarzyszyły studia kulturologiczne, które, jak autor sam podkreślał, pozwoliły mu na odtworzenie zachowań, wyborów i motywacji Ślązaków, postawionych w obliczu nowych realiów i nieznanych reguł rządzących Nowym Światem. Wykorzystywał przy tym prywatne listy, zachowane tak w Paranie, jak i na Opolszczyźnie, pamięt-

usłyszałam od pani Elwiry w 2000 roku, podczas nagrywania radiowego wywiadu i zbierania materiału do monografii o tożsamości potomków Górnoślązaków, którzy emigrowali na kontynent amerykański w drugiej połowie XIX w.

Elwira Wołowska należała do grona nielicznych kobiet, które w latach trzydziestych podjęły niełatwą decyzję o studiach na uniwersytecie. „[...] jak to kobieta do uniwersytetu, to było niepodobne... był nawet taki artykuł w gazecie, że jakie są teraz czasy, że zwykły stolarz chce mieć córkę doktorkę... co on sobie myśli?... Tak, tak, bo to po pierwsze kobiety albo były nauczycielkami, albo umiały szyć i były... jak to się mówi?... krawcowe. Kobiety, przeważnie Brazylianki i polskiego pochodzenia, i niemieckiego, przeważnie szły. Ale jednak Polacy pierwsi poszli do uniwersytetu, a Niemcy później dopiero, więc myśmy byli pionierami... a myśmy były pierwsze kobiety”.

Z jej wypowiedzi wyłania się spójny obraz. Oto Ślązacy, wyjeź-

do zdobycia lepszej pozycji w nowych warunkach jest wykształcenie. Niewątpliwie kariery, jaką zrobiły w nowej ojczyźnie dzieci stolarza Wołowskiego, należały do rzadkości. Jednak świadczą one o tym, że duch pionierstwa w Brazylii nie przejawiał się tylko w pokonywaniu dzikich ostępów, wydzieraniu puszczy ziemi i walce z Indianami.

Zamysł szukania śladów tych ludzi, dotarcia do ich potomków, powstał na kanwie dziennikarskiego wyjazdu do Kurytyby w roku 2000 na Kongres Polonii Ameryki Łacińskiej. Elwira Wołowska-Kęcka, Aleksandra Śliwowska-Bartsch, Sewerino Skovronski, Otylia Kucharska, Halina Marcinowska, Agata Grochot dos Santos, Eulalia Dziedzic, Maria Wojnowski, Monika Wojnowski, Alina Falczak, Eleonora Hajduk – to tylko niektóre z kilkudziesięciu osób poznanych wtedy przeze mnie. Urodzeni w Brazylii należą do trzeciego, czwartego, a nawet piątego pokolenia potomków polskich osadników. Zachowali świadomość swo-



Polscy emigranci, którzy wyemigrowali z Siółkovic do Brazylii w II poł. XIX w.

niki chłopskie, kroniki domowe. Świat przedstawiony w powieści nawiązuje do realiów historycznych. Są w nim Siółkowie, jest i Pilarzinho. Niektóre z postaci w powieści są również autentyczne. Ksiądz Przytarski, pułkownik Kościński, rotmistrz Marcondes, śląscy osadnicy czy w końcu sam Sebastian Woś, którego czytelnik poznaje na pierwszych stronach powieści, a jego brazylijskie losy przeplatają się z losami innych bohaterów przez całą trylogię.

Ślązacy brazylijscy ze względu na swoje rozproszenie i polityczny przymus adaptacji szybciej tracili łączność z kulturą Starego Kraju niż ci, którzy osiedlili się w Teksasie. Dwie grupy emigrantów, dysponujące podobnym dziedzictwem, żyjące za oceanem w odmiennych warunkach, w różnym tempie ulegały dezintegracji. Grupa brazylijska znacznie szybciej została zdominowana przez kulturę kraju osiedlenia. Nie oznacza to, że wtórne podkreślenie wartości śląskich rodowodów nie budzi w potomkach dawnych emigrantów potrzeby odnowienia więzi etnicznej. Więż ta, utrzymująca się w Teksasie znacznie dłużej, dzięki różnym sposobom aktywizacji pamięci kulturowej, na obczyźnie zawsze wymaga świadomej kultury i odpowiedzialnych wyborów. Trud, jaki się z tym wiąże, był oczywisty dla wychodźców, ale nie zawsze jest oczywisty dla ich potomków. Jednak zainteresowanie jakąś częścią własnego pochodzenia etnicznego odżywa nieraz w nawet w trzecim i czwartym pokoleniu. Świadczyć o tym może nie tylko wspomniany Kongres Polonii Ameryki Łacińskiej w Kurytybie, ale i emo-

jonalne zaangażowanie grupy mieszkających tam Polaków. Elwira Wołowska-Kęcka w tej grupie zdecydowanie się wyróżniała. Niewątpliwie istotne było jej wykształcenie, ale również głębokie przekonanie o wielkim znaczeniu „polskości” w jej życiu.

Poszukiwanie odpowiedzi na pytanie o tożsamość potomków emigrantów ze Śląska oscyluje wokół języka i kultury. Losy wyłaniające się z przeprowadzonych rozmów pozwalają przypisać językowi istotną rolę w dążeniu do zachowania dziedzictwa, do podtrzymania więzi, zachowania w pamięci przynajmniej części tego, co należy do rodzinnej historii. Język, a ściślej gwara, choć oni takiego rozróżnienia nie czynią i nie rozumieją, to jest dla nich ten właściwy, ludzki język. To on sprawia,

że bliższe sercu jest wspólne kołędowanie niż brazylijski karnawał, że korzenie chociaż *bardzo już pomięte* – jak mawiają, są polskie. To dzięki językowi był możliwy tak bliski i zarazem wyjątkowy kontakt z najstarszym pokoleniem, z dziadkiem, babcią, ciotką, daleką krewną.

W Teksasie potomkowie emigrantów o wiele wyraźniej artykułują swoje przywiązanie do śląskości niż w Paranie, jednak ślady pozostawione przez śląskich osadników w Brazylii potwierdzają obecność więzi, których sensu należy szukać w samoidentyfikacji jednostki. Gdyby się zastanowić, czy „rewolucja przemysłowa, przerywająca rozwój ewolucyjny i wymuszająca przyspieszoną adaptację do nowinek cywilizacyjnych sprawiła, że mieszkańcy Śląska miewają problemy z określeniem własnej tożsamości”, to losy emigrantów zdają się potwierdzać prawdziwość tej tezy. Za oceanem do dnia dzisiejszego żyje szczątkowa pamięć o kulturze, która przez długie wieki kształtowała się jako niezmienna, bo budowana na agraryzmie. Tradycyjny sposób uprawy ziemi nie sprzyjał nowinkom i zmianom, wymagał powtarzalności, która przenosiła się na wszystkie sfery ludzkiego życia. Pamięć o specyfice kultury śląskiej przetrwała w obu Amerykach jako część ważna rodzinnego dziedzictwa. Czy ulegnie ona dalszej erozji pod wpływem czynników cywilizacyjnych zależy jedynie od realnej wartości, jakie tradycja ma dla współczesnego człowieka. ■



Meandry śląskiej tożsamości i kultury

ZYGFRYD NOWAK, JACEK PIETRUCHA

Dla zachowania swej tożsamości Ślązacy używali różnych sposobów i zabiegów. Artykuł jest opowieścią o tym jak w trudnych czasach lat 80-tych minionego wieku wykorzystano imię znakomitego przodka śląskiego przemysławiana – Walentego Roździeńskiego – dla reaktywacji jednej z istniejących tu przed II wojną światową, śląskiej organizacji społeczno-kulturalnej. Pomysłodawcą i autorem „fortelu” był urodzony i wychowany w Koszęcinie **Jerzy Pietrucha** – harcerz, działacz społeczny i profesor zwyczajny Akademii Ekonomicznej w Katowicach, znany z wielkiej aktywności na rzecz śląskiej kultury. Odszedł na wieczną wartość ćwierć wieku temu, pozostawiając ciepłe wspomnienia i aktywne do dzisiaj **Górnośląskie Towarzystwo Przyjaciół Nauk**.

Warto przypomnieć, że Śląsk jako kraina, a także jego aktywność społeczno-kulturalna, przechodziły w swej barwnej historii bardzo gwałtowne i zawile losy. Śląskie dziedzictwo stało się – od 1139 roku z woli Bolesława Krzywoustego – dziedzictwem jego potomków powiązanych coraz mocniej feudalnymi więzami z królestwem Czech, a następnie z Cesarstwem Niemieckim oraz Cesarstwem Austro-Węgier.

Formalnego zerwania „polskich” więzów dokonał już w 1337 roku Kazimierz Wielki zamieniając z królem Czech „prawo do Śląska na prawo do korony polskiej”.

Od tego czasu rozwijająca się „śląska swojskość kulturowa” wchłaniała również elementy kultury sąsiadów. Bardzo ważnym czynnikiem kulturotwórczym był **obowiązujący w Królestwie Prus (1763 r.) oraz w Cesarstwie Austro-Węgier (1773 r.) system powszechnej edukacji dla dzieci w wieku 6 do 13 lat**. Zasadniczy skok jakościowy i ilościowy nastąpił po wygranej przez Królestwo Prus wojnie austriacko-pruskiej w 1774 roku. Wtedy Śląsk w znacznej części stał się dzielnicą Królestwa Prus, a jego stolicą został Wrocław. I to Wrocław stał się **stolicą kultury śląskiej** tamtych czasów, a jego uniwersytet w XIX wieku również ośrodkiem kształcenia wielu Ślązaków i Polaków z dzielnic rozbiorowych. To z tego Uniwersytetu wywodzi się aż 6-ciu spośród 12 noblistów śląskich.

Warto w tym miejscu przypomnieć, że król pruski Fryderyk Wilhelm IV powołał w 1841 roku **Katedrę Języków i Literatur Słowiańskich**, „aby dać polskim studentom sposobność do doskonalenia się w mowie ojczystej”.

W tym mieście istniało już wtedy powołane w 1836 roku i istniejące przez następne 50 lat – **Towarzystwo Literacko-Słowiańskie**, którego aktywnym uczestnikiem był między innymi studiujący wówczas we Wrocławiu poeta Adam Asnyk.

Kolejnymi odsłonami kultury w ówczesnej stolicy Śląska było założone w 1882 roku **Górnośląskie Towarzystwo Literackie**, które w 1920 przekształcono w **Górnośląskie Towarzystwo Przyjaciół Nauk** z siedzibą w Bytomiu, przeniesione następnie do Katowic po powstaniach śląskich i plebiscycie.

Warto – z okazji tych rocznic – przybliżyć tę bardzo ciekawą historię powstawania i rozwoju śląskiego świata kultury z uwzględnieniem głównych protoplastów dzisiejszej przemysłowej dzielnicy Polski.

Protoplaści

Śląską rzeczywistość polityczną kształtowały w drugiej połowie XIX wieku narastające starania uzyskania podmiotowości (niepodległość, wolność osobista) polskiego narodu, a także poszu-

kiwanie miejsca na coraz bardziej zróżnicowanej, politycznej mapie Europy. Takim staraniem były zarówno tzw. Rewolucja Krakowska w zaborze austriackim, Powstanie Styczniowe w zaborze rosyjskim, jak i wspaniała aktywność na rzecz tzw. „Pracy Organicznej” w zaborze pruskim. Na Górnym Śląsku trwa w tym czasie znaczne nasilenie **Europejskiej Rewolucji Przemysłowej**, która utworzyła nową, rosnącą grupę społeczną: proletariata z wszystkimi tego słowa cechami.

W tym okresie już od kilkuset lat znane były na Śląsku wspaniałe dzieła mówiące o „bogactwie surowcowym Śląska, jego przemysłowej naturze” prawach jego mieszkańców. To przede wszystkim **Ordunek Gorny** (1526/8) Księcia Opolskiego Jana Dobrego – wprowadzający reguły bezpiecznej pracy górnika oraz system bodźców finansowych dla gwarków i ich siedzib, na czym skorzystały szczególnie rozwijające się wtedy Tarnowskie Góry. Znamy także drugi dokument księcia Jana tzw. **Przywilej Hanuszowy** (1531) stanowiący swego rodzaju „Konstytucję Śląską” dla ochrony jego mieszkańców w szczególności chłopów. Warto w tym miejscu dodać że „Ordunek” wyprzedza znane w górnictwie europejskim publikacje Agricoli datowane na rok 1544. Należy również podkreślić, że wydano Ordunek w 3 językach: czeskim, niemieckim i polskim, aby służył gwarkom trzech narodowości pracującym w ówczesnym śląskim górnictwie i hutnictwie.

Walenty Roździeński

Bardziej praktyczny, warsztatowy charakter miała publikacja **Officina Ferraria abo huta y warstat z kuźniami szlachetnego dzieła żelaznego** napisana przez Walentego Roździeńskiego na początku XVII wieku, a wydana po raz pierwszy w 1612 roku za rekomendacją i wsparciem ówczesnego właściciela Koszęcina Andrzeja Kochcickiego, u którego Roździeński przebywał. Stanowiła ona zbiór praktycznych rad, zaleceń prowadzenia całego cyklu pozyskiwania metali.

Obchodzimy więc w tym roku zarówno ponad 400-tną rocznicę powstania ww. dzieła jak i 100 lecie istnienia GPTN pod dzisiejszym patronatem autora Officina Ferraria.

Ożywienie kulturowe Śląska zaczyna się w XIX wieku, gdy pojawiają się na Śląsku wspaniałe postacie ludzi, którzy zdecydowali w znacznym stopniu o późniejszych losach Śląska; w tym również starań o jego podmiotowość. Byli oni również protoplastami dzisiejszego Towarzystwa Przyjaciół Nauk, ale także takich instytucji jak **Instytut Śląski** czy **Biblioteka Śląska**. Wszyscy oni byli w większym lub mniejszym stopniu związani z naczelną postacią starań i walki o podmiotowość Śląska jaką niewątpliwie był **Wojciech Korfanty**.

Do nich zaliczyć należy przede wszystkim absolwentów ówczesnego Uniwersytetu Wrocławskiego działających w czasie studiów w „**Towarzystwie Akademików Górnoślązaków**”. Był to załazek tworzenia się współczesnej inteligencji śląskiej – zazwyczaj wywodzących się z owego proletariatu lub ludności śląskich miast i wsi.

Ciekawe jest śledzenie losów życiowych tych ludzi wskazujące na przyjmowanie nadrzędności losów ojcowizny – Śląska nad aspektami narodowościowymi.

Byli to Ślązacy zgodnie z deklaracją – jakże również dzisiaj aktualną – którą spisał ks. dr Emil Szramek – ostatni przedwojenny prezes GTPN.

Ślązakiem jest ten, kto chce nim być!
 Śląsk to moje życie
 Śląsk to moja dusza
 Śląsk to moja miłość
 Śląsk to moje dziedzictwo
 Śląsk to moje miejsce
 Śląsk to moja kultura
 Śląsk to moja energia

Deklaracja Śląskości i Śląskie Credo według ks. E. Szramka

Nieco historii

Kalendarium powstawania i ewolucji nazwy do jej dzisiejszej postaci – GTPN jest bardzo bogate i wynika z dynamiki zmian politycznych na Śląsku ale także tematycznych zmian zachodzących w procesie powstawania tej organizacji na przełomie aż trzech stuleci: końca XIX i XX wieku oraz końca XX i początku XXI wieku.

1892–1920 – Górnośląskie Towarzystwo Literackie – GTL – w Bytomiu przekształcone w 1920 roku
 1920–1939 – Towarzystwo Przyjaciół Nauk na (polskim) Śląsku – TPNS
 1939–1945 – jako tajne poza Śląskiem (brak informacji o pracy)
 1945–1950 – Śląsko-Dąbrowskie Towarzystwo Przyjaciół Nauk – Ś-DTPN
 1950–1950 – Śląskie Towarzystwo Naukowe (wcielone do Instytutu Zachodniego w Poznaniu) – ŚTN
 1950–1985 – Towarzystwo podporządkowano Instytutowi Zachodniemu – Poznań – (brak informacji o pracy – uśpione?)
 1985–1987/9 – działalność restytucyjna Towarzystwa poprzez nadanie imienia Walentego Roździeńskiego
 1989–dziś – Statutowa aktywność GTPN im. Walentego Roździeńskiego

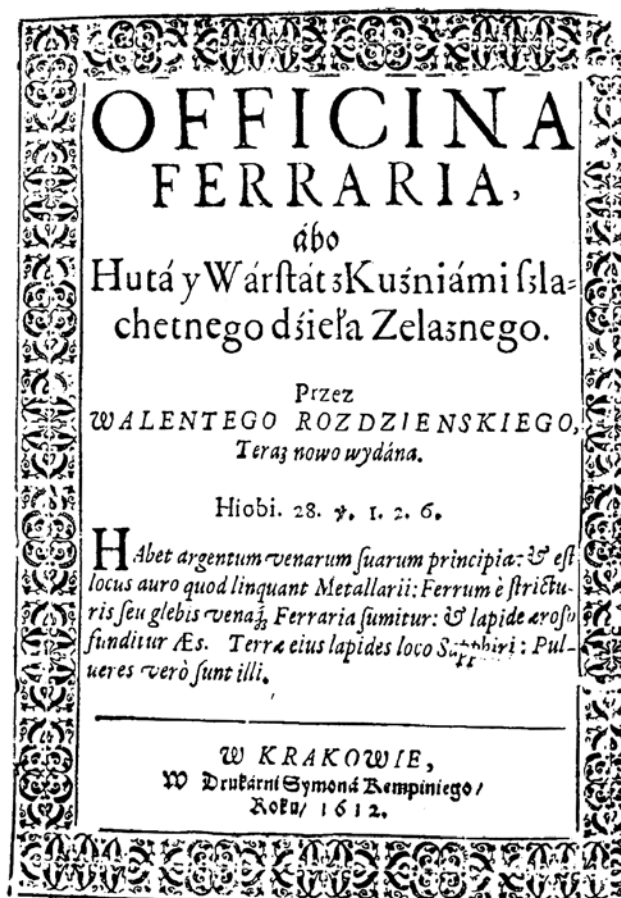
Kalendarium ewolucji i działalności GTPN

Cała ta droga jest poszukiwaniem przez Ślązaków tożsamości w ówczesnej, dynamicznie zmieniającej się Europie. Od prostej popularyzacji czytelnictwa i działalności bibliotekarskiej poprzez publicystykę dochodzili ludzie ówczesnej epoki do aktywności politycznej na rzecz obrony rdzennej ludności śląskiej.

Przykładem może być działalność Adama Napieralskiego – Wielkopolanina, który został w 1889 roku naczelnym redak-



Wizerunek Walentego Roździeńskiego z „Officina Ferraria”



Strona tytułowa z „Officina Ferraria” Walentego Roździeńskiego

torem czasopisma „Katolik” w Bytomiu – i prawdopodobnie należał do animatorów powstania Górnośląskiego Towarzystwa Literackiego GTL – protoplasty dzisiejszego GTPN, gdyż przyjaźnił się z Juliuszem Szmulą – pierwszym przewodniczącym GTL. Aktywność polityczną realizowano poprzez ugrupowanie polskie w niemieckiej partii „Zentrum”, z której uzyskiwano mandaty do Reichstagu i innych ciał parlamentarnych. Niżej odnotowaliśmy przewodnictwo i krótkie biografie wskazujące na złożone losy i wszechstronną aktywność kolejnych prezesów GTL oraz GTPN w okresie 1892–1939.

1892–1900 – Juliusz Szmula
 1901–1902 – Hulewicz
 1902–1920 – Bogusław Parczewski
 1920–1927 – Brunon Kudera
 1928–1939 – Emil Szramek
 1939–1945 – ?
 1945–1950 – ??
 1985–1989 Biesiady Koszęcińskie i restytucja GTPN – Jerzy Pietrucha
 1989–1–szy Prezes Restytuowanego GTPN – Andrzej Brożek
 1993–2014 Józef Śliwiok
 2014 – Jacek Kurek

Przewodnictwo Towarzystwa do czasu restytucji

Adam Napieralski (1861–1928)

Wielkopolanin – dziennikarz. W 1889 roku obejmuje kierownictwo czasopisma „Katolik”. Swoją działalnością

wspiera aktywizację polityczną Ślązaków i sam uzyskuje od 1906 do 1912 roku mandat do Reichstagu z ramienia frakcji polskiej w ramach niemieckiej partii „Zentrum”, która wydzieliła się i przekształciła w Polską Narodowo-Demokratyczną Partię w 1903 roku. Jest również współtwórcą w 1889 roku „Związku Zawodowego Wzajemnej Pomocy Chrześcijańskich Robotników Górnego Śląska”. Przyjaźni się z Juliuszem Szmulą – pierwszym prezesem Górnośląskiego Towarzystwa Literackiego i niewątpliwie uczestniczy w powołaniu tej organizacji.

Juliusz Szmula (1829–1909)

Ślązak, ur. w Pszowie (Rybnik), zawodowy oficer armii niemieckiej do 1871 roku. 1886–1907 członek niemieckiego parlamentu z partii „Zentrum” z okręgu Bytom-Tarnowskie Góry. Bardzo aktywny na rzecz podmiotowości Ślązaków. Zaprzyjaźniony z Adamem Napieralskim należał do twórców Górnośląskiego Towarzystwa Literackiego. Pierwszy prezes Górnośląskiego Towarzystwa Literackiego w latach 1892–1901.

Bogusław Parczewski (1869–1935)

Wielkopoleń. Studia medyczne we Wrocławiu i Lipsku. Lekarz w Czechach a od 1898 roku w Bytomiu. W czasie III powstania pełni służbę lekarską. W 1922 roku przenosi się do Katowic. W latach 1902–1920 był prezesem Towarzystwa Przyjaciół Nauk.

Brunon Kudera (1876–1940)

Ślązak z Mysłowic. Gimnazjum: Bytom (1919). Studia: Uniwersytet Wrocławski – prawo (1922). Kancelaria adwokacka i notarialna (1922–1939). Przewodniczący Polskiego Klubu Radnych – Bytom (1919). Burmistrz i Wiceburmistrz Mysłowic (1926–1937). Aktywny w Komitecie Plebiscytowym. Przewodniczący Towarzystwa Przyjaciół Nauk na Śląsku (1920–1927).

Emil Szramek (1887–1942)

Ślązak ur. w Tworkowie k. Raciborza. Gimnazjum: Racibórz. Studia teologiczne na Uniwersytecie Wrocławskim. Kapłan od 1911 roku; od 1926r. proboszcz „Kościola Mariackiego” w Katowicach. Prowadził bardzo bogatą działalność naukową i społeczną oraz pisarską na rzecz śląskiej podmiotowości. Opublikował m. innymi „Śląsk jako problem socjologiczny” w „Rocznikach Towarzystwa Przyjaciół Nauki na Śląsku”, których był naczelnym redaktorem. Przewodniczący Towarzystwa Przyjaciół Nauk na Śląsku (1927–1939).

Biogramy przewodniczących GTPN w okresie do 1939 r.

Opisy wymienionych postaci są z konieczności bardzo zwięzłe, a również z braku obszerniejszych, udokumentowanych informacji.

Zwiększoną aktywność GTL można zaobserwować dopiero po roku 1920, gdy tę organizację przeniesiono do części Śląska przyłączonej do Polski i nadano jej bardziej uniwersalną nazwę „**Towarzystwa Przyjaciół Nauk na Śląsku**”.

Szczególne zasługi w rozwoju aktywności GTPN przypisać należy dr Emilowi Szramkowi, który był animatorem większości działań w okresie do 1939 roku. Ta aktywność została obszernie omówiona w publikacjach GTPN ostatnich lat oraz w postaci oryginalnych tekstów zawartych przede wszystkim w „**Rocznikach Towarzystwa Przyjaciół Nauki na Śląsku**”, wydawanych pod redakcją dr E. Szramka.

Jak wielokierunkowe i uniwersalne były to publikacje można dowiedzieć się studiując rozprawę dr Szramka z 1934 roku pt., „Śląsk jako problem socjologiczny”. Przytaczamy niżej spis treści, który sam w sobie jest zachętą do jej przestudiowania.

Rasowa strona problemu
Zagadnienia narodowe – decyzje jednostki
Składniki problematyki państwowo-politycznej
Antagonizm tubylców i przybyszów
Ekonomiczne podłoże problemu
Widmo kwestii żydowskiej
Konsolidacja przez inteligencję
Polityczne oblicze Górnego Śląska
Katolickość Górnoślązaków
Przeszkody w działaniu religii
Misja Śląska

Śląsk jako problem socjologiczny – spis treści

A oto historia i przebieg wspomnianej restytucji zainicjowanej przez Prof. Pietruchę:

Pomysł restytucji GTPN pojawił się w czasie spotkań u Generała Jerzego Ziętka w jego domu w Ustroniu, gdzie – od 1982 roku do Jego śmierci w 1985 roku – odbywały się spotkania dyskusyjne poświęcone sprawom Śląska z udziałem między innymi Wilhelma Szewczyka, Jana Mitręgi, Bolesława Lubosza, a także Jerzego Pietruchy i autora artykułu.

Spśród wielu tematów poruszano również potrzebę restytucji lub rozwoju niektórych śląskich instytucji kulturalnych i naukowych.

Prof. Jerzy Pietrucha – koszęcinianin z urodzenia – wystąpił z inicjatywą restytucji Towarzystwa Przyjaciół Nauk, proponując – dla uniknięcia kłopotów natury politycznej – związanie akcji restytucyjnej z Walentym Roździeńskim, który swego czasu wybrał Koszęcin jako miejsce tworzenia dzieła „*Officina Ferraria*”.

Zebrani u Generała Jerzego Ziętka uczestnicy spotkania pomysłu przyjęli a sam generał napisał w 1985 roku do ówczesnych władz popierający list.

W 1986 roku powołano Społeczny Komitet Pamięci Walentego Roździeńskiego w skład którego weszli m. innymi: Jerzy Pietrucha, Jan Mitręga, Wilhelm Szewczyk, Stanisław Przewratil, Julian Czajkowski, Stanisław Adamiec, Zygfryd Nowak, Stanisław Tokarski, Edward Kałamała, Janusz Kasprzycki, Hubert Gałeczka i Jan Myrcik. Do grona sojuszników restytucji dołączyli również m. innymi Jan Szczepański, Edmund Osmańczyk. W tym samym roku odbyło się odsłonięcie tablicy pamiątkowej ku czci W. Roździeńskiego oraz nadanie jego imienia Domowi Kultury w 25-lecie jego istnienia, co było zasługą wspaniałego koszęcińskiego społecznika Jana Myrcika.

Przemówienie laudacyjne wygłosił Wojciech Żukrowski – ówczesny prezes Związku Literatów Polskich.

Warto również przytoczyć „Apelację” – wiersz napisany na tę okazję przez poetę Bolesława Lubosza, ukazujący dramatyczny los Walentego Roździeńskiego:

Apelacja Roździeńskiego

Już wilczym skowytym dopadła mnie niemoc.
Drogi nie dla nóg styranych w kuźnicy.
Młoty biją w skroni, gdy dziś dłonią niemą
sięgam po przeszłość i smutek pątnicy.

Tak bardzo nie dziwuj się mojej osobie
palonej żelazem, duszonej głodem.
Lecz wnet ptak przeleci i serce ogrzeje.
Zakwitnie myśl jak kubek chłodnej wody.

Nie jestem węglem, lecz z mojej on tętnicy.
ani płomieniem spod brawon, znad czola.
A przecież w tej ziemi powalony milczy
sen odrodzonego ognia – sokoła.
Składałem rymy i budowałem lemiesz,
nikt nie widział we mnie źródła zacności.
Byłem próchnym losu i przewrotnym cieniem,
rzeczą nienazwaną co się w noc obróci.



Pałac w Koszęcinie. Fot. Yarl

Deptano życie i blaski na honorze.
Nikt już ręki nie poda, ani słowa.
Nędzę fortuny któż dziś zdoła ukorzyć,
która przeciw zawsze zdradzić gotowa.

A we mnie rośnie buntu przeznaczenie.
Mogę być burzą lub płomieniem krwawym.
Jestem wszystkich prądów siedliskiem, promieniem,
nienawiścią głębsza od wrzenia lawy.

Szukam drogi do siebie, jak szukam brata.
Codziennie służę wam, możni panowie
z czapką w garści pozdrawiam swego kata.

Uroczystość była połączona z tzw. I Biesiadą Koszęcińską, której gospodarzami były Oddział PAN w Katowicach oraz Społeczny Komitet Pamięci W. Roździeńskiego.

Program biesiady zawierał dwa tematy: Wizerunek W. Roździeńskiego – problemy pracy godziwej oraz Sprawy Polaków A.D. 1986, a prowadzącymi debatę byli: Jan Józef Szczepański, Edmund Osmańczyk oraz Wilhelm Szewczyk.

Kolejne lata były poświęcone staraniom uzyskania zgody na restytucję Towarzystwa, które władze polityczne zlikwidowały w 1950 roku.

Udała się powtórna popularyzacja postaci Walentego Roździeńskiego poprzez cykl seminariów/biesiad, które odbywały się w koszęcińskim zamku i w Domu Kultury. Wtedy ugruntował się pomysł wyboru tej postaci na patrona proponowanego do restytucji stowarzyszenia. Po licznych zabiegach „politycznych” udało się uzyskać zgodę na restytucję towarzystwa.

Zebranie organizacyjne Towarzystwa odbyło się 16 marca 1989 roku w Katowicach i wzięło w nim udział 21 osób. Zebraniu przewodniczył Jerzy Pietrucha. Przyjęto statut oraz powołano Tymczasowy Zarząd w składzie Andrzej Brożek (prezes), Jerzy Pietrucha (sekretarz generalny), Alojzy Melich i Jan Mitręga. W statucie zapisano, że do celów Towarzystwa należy rozwijanie i popularyzowanie ruchu umysłowego oraz krzewienie etosu pracy, a także wiedzy o rodzimych tradycjach, współtworzenie warunków rozwoju kultury materialnej i duchowej społeczności Górnośląskiej.

Po zarejestrowaniu Towarzystwa w dniu 7.04.1989 roku członkowie założyciele spotkali się w dniu 22.04.1989 roku w celu zwołania i przygotowania pierwszego Walnego Zgromadzenia stowarzyszenia. Założyciele Towarzystwa przyjęli również deklarację programową. Możemy w niej przeczytać m. in. że za cel powołania Górnośląskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk im. Walentego Roździeńskiego uznano: „rozwój ruchu umysłowego na Górnym Śląsku, promocję twórczości naukowej oraz usilne dążenie do na-

dania temu regionowi należnej mu rangi z racji jego miejsca w historii i pozycji gospodarczej. Pracowitość i postęp techniczny szły tu zawsze w parze z dojrzwaniem myśli humanistycznej i twórczością artystyczną. (...) zdając sobie sprawę z niedostatków popularyzacji wiedzy o Śląsku Towarzystwo pragnie przyczynić się poprzez różne formy działania do odkrycia i uświadomienia społeczeństwu problemów tej ziemi, a zarazem ukształtowania prawdziwego obrazu Górnego Śląska. Chodzi o to, by stereotyp „ziemi węgla i stali” zastąpić pełnym obrazem, ukazującym w większym niż dotychczas stopniu aspekty humanistyczne (...)”.

Pierwsze Walne Zgromadzenie odbyło się na Zamku Koszęcińskim w dniu 24 czerwca 1989 roku. Zgromadzeniu przewodniczył Franciszek Piontek. Powołano Zarząd stowarzyszenia w składzie Andrzej Brożek (prezes), Czesław Głombik (wiceprezes), ks. Benedykt Woźnica (wiceprezes), Jerzy Pietrucha (sekretarz generalny), Stanisław Jańczyk, Jan Mitręga, Alojzy Melich, Wilhelm Szewczyk. Do komisji rewizyjnej powołano: Stanisława Adamca, Zygryda Nowaka, Rudolfa Maronia, Grażynę Szewczyk i Józefa Wyciśłoka.

Postulowano zorganizowanie pracy towarzystwa w 6 Wydziałach: Nauk Filozoficzno-Historycznych, Nauk o Kulturze, Nauk Medycznych, Nauk Społeczno-Ekonomicznych, Nauk o Środowisku i Nauk Technicznych). Proponowano również powołanie Wszechnicy Górnośląskiej i klubów środowiskowych Górnośląskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk.

Uwagi końcowe

Ponad 100-letnia złożona historia dzisiejszego GTPN jest jakby odbiciem zawilej historii Śląska i dążeń jego mieszkańców do uzyskania pełnej podmiotowości. Koleje losu tej instytucji były silnie związane z politycznymi losami Śląska.

Wiele spośród problemów w tym zakresie przed którymi stawali jego twórcy jest aktualnych do dzisiaj. Dotyczy to także wielu gorzkich stwierdzeń zawartych w znakomitej pracy ks. dr Emila Szramka: „Śląsk jako problem socjologiczny”.

PS. Rozpoczęta w 1985 roku inicjatywa upublicznienia postaci Roździeńskiego miała swój piękny ciąg dalszy.

Społeczność Koszęcina podjęła uchwałę o wyborze sylwetki „Hutnika” z publikacji Roździeńskiego jako herbu Koszęcina i to stało się po długich staraniach faktem. ■



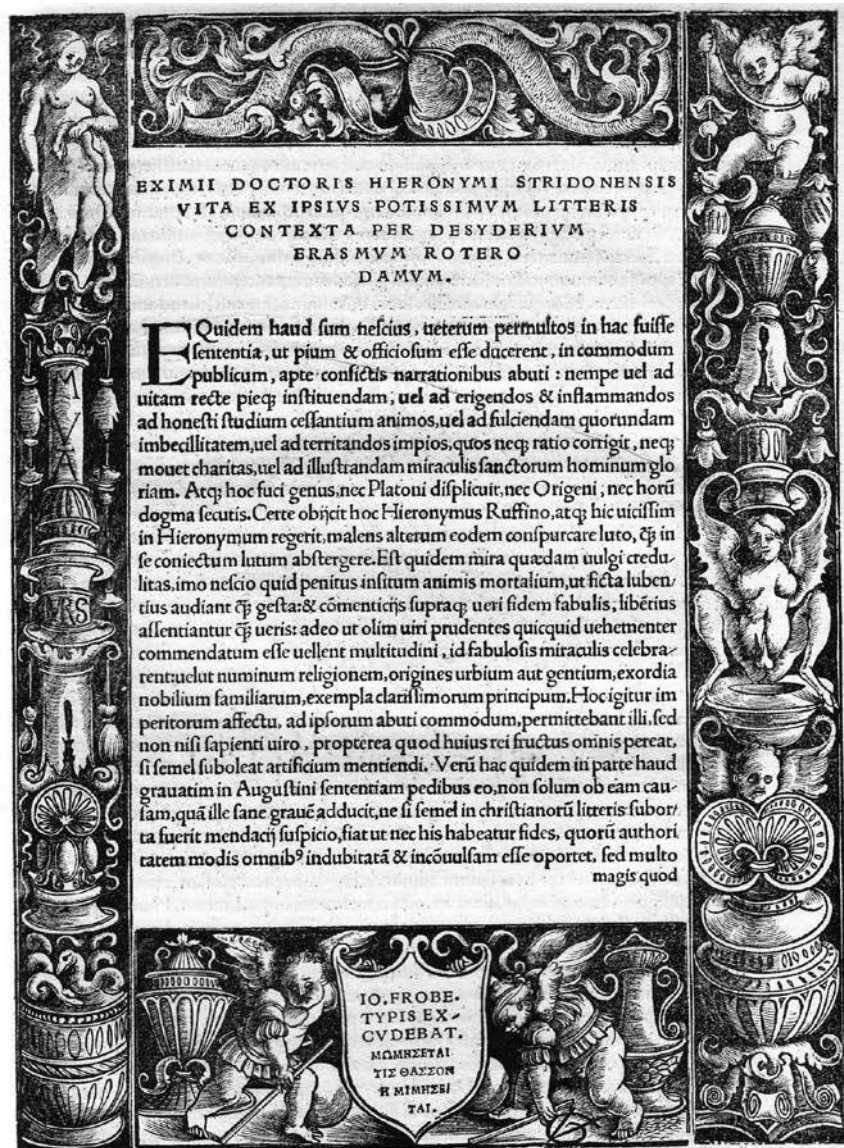
Umiłowanie Pisma Świętego, żywa i głęboka miłość spisane go Słowa Bożego, to dziedzictwo, jakie św. Hieronim pozostawił Kościołowi poprzez swoje życie i dzieła.

Cytowany tekst, to pierwsze zdanie listu apostołowskiego Scripturae Sacrae Affectus sygnowanego przez papieża Franciszka. Ukazał się on 30 września br. w 1600 rocznicę śmierci świętego Hieronima – prawie niezauważony. Tymczasem jest to tekst, który napisany z wielką erudycją powinien rozważyć nie tylko Kościół, ale każdy, kto docieka źródeł europejskiej tożsamości, której fundamentem jest prawo rzymskie, filozoficzna myśl antyczna Grecji i duchowość judeo-chrześcijańska.

Regres czytelnictwa w Polsce wydaje się zażegnany. Podług przeprowadzonych badań w tym roku w Polsce 39% Polaków przeczytało przynajmniej jedną książkę. Z pewnością w liczbie tych lektur są książki po które sięga się z ciekawości, dla zabicia nudy i czasu w podróży. Po Biblię sięga czytelnik obdarzony zmysłem refleksji i kontemplacji. Niestety w dobie pospiesznej gonitwy „za życiem”, kiedy człowiek nie ma czasu pochylić się nad sobą umiejętność wnikania w siebie i naturę świata może wydawać się sprawnością zbyt cenną. Bo to tak jakbym starał się wyczerpać morze. Kiedy czytam słowa Jezusa, który mówi o sobie „narodziłem się na to aby dać świadectwo Prawdzie” zastanawiam się, czy ja sam wiem po co się narodziłem? Z pewnością wielu ludzi tego nie wie.

Z mojej wczesnej praktyki duszpasterkiej dopiero co „opierzonego” wikarego w Dziedzicach, utrwaliłem w swojej pamięci powracające na usta chorego mężczyzny pytanie, które co miesiąc powtarzał kiedy przychodziłem do niego z Komunią Świętą. Pytał: „czy jest coś po tym życiu, czy nie ma nic”. Pytał siebie, pytał mnie, pytał cały Kosmos, który w nim jakby się nagromadził, bo miał potężną nadwagę. To pytanie mocno utrwaliło się w mojej świadomości, bo było natrętne i jakby zawieszona w próżni. Tę próżnię w końcu wypełniała modlitwa, w której obydwa znajdowaliśmy jakąś odpowiedź.

Czy takie pytania jak to, owego chorego człowieka, zadają sobie tylko mężczyźni, czy także kobiety – pytam siebie spoglądając na rysunek, który wykonał Jan Wałach portretując swojego ojca. Przedstawił go pochylonego nad Biblią. Twarz myśląca, zadumana pełna ludzkiego wyrazu. Patrzał jakby w siebie, we własną głębię, ale miał przed sobą Księgę – zwierciadło jego myśli oświetlonych blaskiem tej Księgi. Kobiety rodzą życie, chronią je i pielęgnują. Może to bliskie życiu doświadczenie uwalnia je od tych najtrudniejszych pytań przed którymi staje mężczyzna. Z moich dawnych lektur wraca do mnie zdanie, które zapamiętałem



Wulgata, wstęp do NT, wydanie erazmiańskie, drukował Johannes Froben, 1516 r.

Darcie Biblii

Ks. HENRYK PYKA

z książek Romana Brandstaettera, którego twórczość wyrosła z mądrości Księgi:

„A gdy zestarzejesz się, dojdiesz do przekonania, że *wszystkie książki*, jakie *przeżytales* w życiu są tylko nieudolnym komentarzem do tej jednej Księgi”. Nie byłem wtedy starcem i nie przeczytałem jeszcze wszystkich moich późniejszych lektur, kiedy spotkałem tego człowieka dotkniętego najgłębszą egzystencjalną rozterką. Miałem wybitnych profesorów, biblijnych egzegetów. Na wykładach współautora „Biblii Tysiąclecia” opata tynieckiego, profesora Augustyna Jankowskiego „wisiałem” na jego ustach. Widocznie wiedza nie wystarcza, a mądrość przychodzi po latach z zapatrzenia, z zasłuchania, z kontemplacji. Bowiernie to, co budzi w umyśle lektura Słowa, zatrzymane zostaje w nas przez medytację.

W moim śląskim domu nie było przedmiotów zbytecznych, bo na zbytek nie było nas stać. Były przedmioty konieczne, potrzebne do życia. „Ślabikorz”, który w języku gwarowym oznacza elementarz, oznaczał małą szafkę zawieszoną na ścianie, w której jak w synagodze, przechowywano dwie księgi; Biblię i Żywoty świętych. Zaglądało się do ślabikorza. Był to codzienny obowiązek mojego starzyka. Nie babcia, lecz właśnie on wyjmował na przemian te elementarne księgi i czytał je rodzinie zanim zaczęła się wieczorna modlitwa. Kiedy zmarł, księgi włożono mu do trumny. Paszcza lewiatana zamknęła się także nad tymi, którzy tych lektur słuchali. Kolejne pokolenie już nie umiało dochować wierności Księdze. Rozważać ją i podług niej żyć.

Dzieło świętego Hieronima zostało przypomniane przed stu laty przez Benedykta XV. Benedykt XVI poświęcił mu kilka katechez. Zawdzięczamy Hieronimowi „Wulgatę” czyli tłumaczenie Biblii na język łaciński. Na przełomie IV i V wieku kiedy żył, łaciną mówiły jeszcze praczki nad brzegami Tybru. Uprzyśtepił zatem Księgi Starego i Nowego Testamentu adresując je do każdego, kto potrafił czytać. Bowiem jak sam powiedział: „nieznajomość” Pisma świętego jest nieznajomością Chrystusa. W roku 420, w którym zmarł Hieronim, nie upłynęło jeszcze sto lat, kiedy to chrześcijaństwo uwolnione od prześladowań mogło być publicznie wyznawane. To czas świętych Ambrożego i Augustyna zestawianych w sztuce wraz z Hieronimem i żyjącym po nich papieżem Grzegorzem, jako czterech Wielcy Ojcowie Kościoła Zachodniego. Wielkie malowidła Michała Pachera w Starej Pinakotece w Monachium przedstawiają ich z przynależnymi im atrybutami. Na ambonach doby potrydenckiej występowali zamiennie z czterema ewangelistami, bo swoją myśl dali podwaliny katolickiej doktrynie. Zawstydzony stanąłem przed nimi w monachijskiej pinakotece bo oprowadzając młodzież katolickiego liceum po europejskim malarstwie okazałem się bezradny wobec ich biblijnej niewiedzy. Obrazowanie biblijnego spotkania Ruth i Noemi na polu Booza – temat podejmowany w malarstwie rodzajowym przez malarzy od Poussina po Carolsfelda, nie mogło zachwycić moich młodych słuchaczy, bo po prostu nie wiedzieli o co chodzi. W krótkiej szkolnej ekskursji po Galerii nie sposób przestawić całej Biblii. Do Biblii trzeba dorosnąć.

Augustyn dorastał do Biblii podobnie jak Hieronim. Obydwaj musieli pokonać barierę, którą była literatura klasyczna. Augustyn pisze w „Wyznaniach” o wielkim akcie uniżenia. „Zanim ogarnęła mnie wielka światłość tej Księgi musiałem – pisze Augustyn – nisko się pochylić by wejść do jej wnętrza”. Nie było bowiem w tej Księdze uwodzących słów cycerońskiej retoryki, którym Augustyn długo się oddawał. Podobnie Hieronim. List Papieża Franciszka przytacza pewne zdarzenie, które wpłynęło na jego duchową przemianę. W Wielkim Poście 375 roku poczuł się postawiony przed trybunałem Sędziego: „Zapytany o stan swój, odpowiedziałem, że jestem chrześcijaninem. A ów, który siedział na przedzie, rzekł: «Kłamiesz! Jesteś cyceronianinem, nie chrześcijaninem»”.

Istotnie, od najmłodszych lat Hieronim miłował czyste piękno klasycznych tekstów łacińskich, w porównaniu z którymi pisma biblijne zdawały się mu początkowo surowe i nieskładne, zbyt szorstkie jak na jego wyrafinowany gust literacki. Ten epizod jego życia – być może wewnętrzne doświadczenie – sprzyja decyzji, by całkowicie oddać się Chrystusowi i Jego słowu, poświęcając swoje życie na czynienie Bożych pism bardziej dostępnymi dla innych, poprzez swą niestrudzoną pracę tłumacza i komentatora. Hieronim pociągnął za sobą uczniów i wraz z nimi zamieszkał w pobliżu Groty Betlejemskiej gdzie „Słowo stało się Ciałem”. Tam powstała Wulgata, czyli księga ogólnie dostępna. Wydana w ręce ludu. Naczelny Rabin Polski Michael Schudrich we wprowadzeniu do synopsy Księgi Jeremiasza tłumaczonej w roku 1899 przez Izaaka Cyłkowa pisze: „Judaizm jest religią Objawienia Słowa Bożego... Słowo zostało dane

lecz podejmowanie wysiłku zrozumienia musi trwać nieustannie”. Cytowany wcześniej Roman Brandstaetter jako żyd wychowany w tradycji Księgi, pochyłając się nad nią doszedł do przekonania, że objawiony Mesjasz Jezus Chrystus jest ową kropką nad „i”. Bez Niego wszystkie zapowiedzi Ksiąg Objawionych zawieszono są w próżni. Z pewnością ów Sędzia, którego głos usłyszał Hieronim jest tym samym, którego Brandstaetter odnalazł w starotestamentalnych wersetach.

Biblia wydana w ręce Ludu. Wulgata. Darcie Biblii może odbyć się w Polsce legalnie. Tak orzekł polski sąd w roku 2007 w stosunku do lidera grupy metalowej Behemoth. W strzępach podartej Biblii autorów Septuaginty, Biblii Hieronima, Lutra i księdza Wujka jak w niezdrowej pościeli, wokół własnej osi przekręca się opasłe cielsko chorego człowieka. Wyalienowany z własnej kultury daremnie oczekuje odpowiedzi na nurtujące go pytanie. ■



Sw. Hieronim ze Strydonu, rys. Lucas van Leyden

Spotkałem Adasia
w wigilijny wieczór,
spał po operacji serca.
Kiedy zobaczyłem Matkę i Ojca
dołączyłem do szpitalnych pasterzy
aby pokłonić się Dzieciątku.

Boże Narodzenie 2006



Dyptyk z sercem na dłoni, cz. I

Zbigniewowi Relidze – Plany, marzenia

Dzisiaj trudniej wydobywasz słowa,
szczerłość przemówiła z Twojej twarzy,
za dużo w niej cierpienia.
Przeptyń przez rozlewiska choroby.
Nie zatrzymuj się, nie ustawaj,
Dobrze wiesz, że każdemu przydzielono
własną przystań.
Zbyszku –
Glory, Glory Alleluja –
Pamiętaj, nie ustawaj.

Zabrze, 11 lutego 2009

Dyptyk z sercem na dłoni, cz. II

Markowi Edelmanowi

Bogu Abrahama, Bogu Jakuba,
naszemu Bogu
wielkie dzięki,
że świat naprawiają
mali i wielcy.
Zabierając Doktora Marka
popelniłeś błąd.
Zabrałeś pasterza
który troszczył się
o chorych i zdrowych ludzi,
nie patrząc
z jakiego miejsca pochodzą.
Boże Abrahama, Boże Jakuba
Boże Stein, Korczaka, Sandlerowej i Edelmana,
nasz wielki Boże,
pomóż nam wszystkim każdego dnia
zachować pokój.

*Warszawa, Cmentarz Żydowski,
9 października 2009*

Modlitwa

Panie,
Przebac za lekkomyślność i natchnij mądrością,
Przebac za niszczenie i naucz budować.
Przebac za nieroztropność, natchnij dojrzałością.
Przebac za półprawdę, wspieraj odpowiedzialnością.

Panie,
Wysłuchaj nas, kiedy chronimy lasy.
Wysłuchaj, kiedy przewracamy świat
Twoich wartości.
Wysłuchaj, kiedy wołamy o życzliwość
dla roślin i zwierząt.
Wysłuchaj, kiedy upominamy się o Bliźnich.
Pokój wobec ludzi, roślin i zwierząt.
Pokój w nas.
Przywróć nam Panie.
Daj mi szansę powrotu
Do Potrzebujących.
Szpital w Meaux pod Paryżem,

2 czerwca 2018

Doktorowi Wilhelmowi Ebsteinowi
(1836–1912)

W uznaniu zasług dla medycyny i ludzkości
Poświęciłeś swoje życie
pomocy bliźnim,
którym wady rozwojowe
przedwcześnie gasiły płomień życia.
Swoją pracą
ratowałeś, leczyłeś, przywracałeś nadzieję.
Swoimi odkryciami
nobilitowałeś Jawor
Wrocław, Berlin, Heidelberg.
Doktorze Wilhelmie
dziś rodzinny Jawor
przywołuje Twoją osobę,
trwale zapisując Twoje osiągnięcia
pomnażając wśród nas żyjących
liczbę strażników
Twojego wiecznego płomienia.
Doktorze Wilhelmie
Shalom.

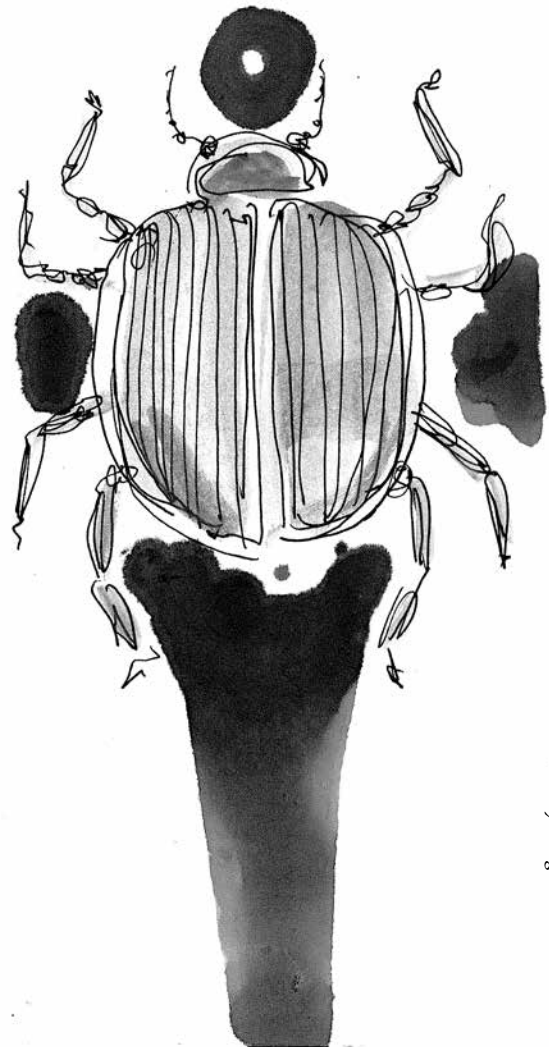
Jawor – Wrocław – Zabrze, 8 lutego 2019

Posłaniec

Tadeuszowi Różewiczowi
i Henrykowi Tomaszewskiemu

Nauczyciela tańca przestrzegałeś,
Czas, który idzie
Nie zrozumie Fausta.
Odwiedzających teatr
Że nic znaczy częściej
Bardzo wiele.
Miałeś rację.
Radomska przestają być
Tylko przystankami w życiu,
Gliwice prowincją,
Wrocławie – theatrum
Dla niespełnionych.
Zapatrzeni w Twoje słowa
Uwierzyliśmy nawet w moc szarości.

Karpacz – Zabrze, kwiecień 2014



rys. Bogna Skwara

W sierpniowym numerze „Śląska” ukazał się ciekawy artykuł Stefana Gierlotki pod enigmatycznym tytułem *Górnictwo obserwatorium magnetyczne*. Tytuł jest nieco zwodniczy, jakkolwiek prawdziwy. Oddaje część prac badawczych prowadzonych w placówce naukowej posiadającej wszelkie znamiona zakładu produkcyjnego średniej wielkości. Wydaje się, iż ta rzetelnie sporządzona relacja z dziejów oraz profilu działań Kopalni Doświadczalnej „Barbara” – bo o niej artykuł w całości traktuje – wymaga uzupełnienia o jeden może drugorzędny, ale nigdy nie podnoszony aspekt: jej osadzenia w bezpośrednim otoczeniu.

Niewielki teren położony na styku Mikołowa i Zarzecza w południowej części ziemi pszczyńskiej – dziś to obrzeże administracyjne mikołowsko-katowickie – zagospodarowany został w burzliwym 1920 roku przez zarząd Dóbr Przemysłowych Księcia Pszczyńskiego jako obszar wydobywczy kopalni Anna. Po czterech latach – jak relacjonuje Gierlotka – kopalnia została zamknięta, a w 1926 roku z Pniowca koło Tarnowskich Gór przeniesiono tu stację badawczą i ratunkową. Od tego momentu placówka stopniowo zyskiwała status naukowy o mocno humanitarnym obliczu. Sytuacja taka trwa do dziś z wyjątkiem okupacyjnej przerwy. Lecz jej cechą towarzyszącą, szczególnie w latach 50. i 60. ubiegłego stulecia, był ekspansywny w stosunku do bliskiego otoczenia rozwój, niszczący w imię wyższych celów spokojny byt i pracę rolniczą okolicznych mniejszych i większych gospodarstw.

Na początek – tuż po wojnie – poszła mała zagroda Szymonki; ona sama otrzymała lokum w jednym z przykopalnianych budynków. Zniknęli mieszkający tuż przy kopalnianym płocie Matusiakowie, ku uldze nielicznego sąsiedztwa, bo mieszkańcami byli uciążliwymi. Większą operacją było ograniczanie i rugowanie cenionego w okolicy warzywno-owocowego gospodarstwa ogrodniczego Waltera Gamonia. Zbiegało się to w czasie z akcją uświadamiającą, prowadzoną w terenie przez młodych aktywistów z ZMP o wyjątkowej szkodliwości własności prywatnej, która niebawem w zaprowadzanym stroju będzie zlikwidowana. Nikt nie był w stanie zaprotestować, ani tym bardziej się sprzeciwić. Na terenie ogrodnictwa wyrosły nowe obiekty przykopalniane – dziś z materialnym powodzeniem przekazywane w ręce zewnętrznych inwestorów. Ekspansja kopalni nie ustała po październikowym odejściu od programu kolektywizacji rolnictwa. A nawet się nasiliła.

Głównym przedmiotem badań kopalni doświadczalnej był wróg górnika numer jeden – pył węglowy, wszechobecny na każdej ścianie wydobywczej czy drążonym chodniku. Nie chodziło



Wybuch doświadczalny w kopalni „Barbara”

fol. B. i K. Gubalscy: „Władaw Gubalski (1901-1973)”,
Wydawnictwo Kamilla, Mikołów 2003 r.

Trudne sąsiedztwo

Kopalnia Doświadczalna „Barbara”

ALOJZY CZECH

o to, że oblepiał spocone ciała, osiadał na układzie oddechowym, gryzł w oczy, zatruchiwał, tylko że w warunkach szczególnych następował samozapłon – wybuchał. Ludzie ginęli. Kiedy tak się dzieje? – to było pytanie badawcze. By szukać odpowiedzi, potrzebne było tworzenie warunków *ceteris paribus*. Kopalnia doświadczalna weszła w fazę rozbudowy podziemnej. Stara sztolnia sprzed wojny nie wystarczała; wybudowano nową – poziomą oraz na kaliszowym polu – o wylocie pionowym. Od strony Kamionki wybity został szyb wentylacyjny. Szaleństwo kontrolowanych odstrzałów trwało codziennie, latami. Chmura pyłu unosiła się nad ziemią w promieniu kilku czy kilkunastu kilometrów, najgrubiej osiadając najbliżej. Wybuchom często towarzyszył wyrzut drobnego kamienia, desek czy szczap drewna, lądujących na pobliskich polach, w ogródkach czy podwórkach.

Rozpoczął się drugi etap wywłaszczeń. Przymuszano i zachęcano do opuszczenia gospodarstw. Ludzie nie chcieli iść w nieznanne, gdzieś pod Bańgów czy do Sośnicy, przywiązani do pól, których własność sięgała co najmniej XIX stulecia. Na pewno byli tu wcześniej, niż powstał odeskowany szyb wydobywczy kopalni „Barbara” z pobliskimi budowlami warsztatowymi. Wysiedlono Myszorów, Ochotów, Pilorzy. Manowscy mieli szczęście: wybudowano im nowy dom na przeciwległym krańcu ich pola. Okrojono Kaliszów, Bartków, Gałeczaków. W zasięgu szkód były namawia-

ne do przesiedlenia, potem jednak pozostawione, pobliskie gospodarstwa Pająków i Zagórkich. Niewiele mniej trute i zapyłane były te dalsze, większe: Klimów i skonfliktowanych z nimi Cofałów, także obydwu Kołodziejów – Adolfa i Stanika, czy od mikołowskiej strony Brożków, Małków, Janotów. Kumory i Suchonie sami opuścili swoje poletki i skromne zagrody. Dziś na tych miejscach kwitną strzeżone przez systemy alarmowe rezydencje beneficjentów czasu transformacji, zaś od wschodniej strony, od Podlesia, pączkują osiedla deweloperów.

Najgorzej było w lecie, choć w zimie może nawet bardziej pylenie było widoczne. Regularnie codziennie odpalane wybuchy intensywnie zanieczyszczały wszystko, co rosło. Zboże było tak zapyłone, że podczas żniw twarze pracujących niczym nie różniły się od wyjeżdżających na powierzchnie górników. Liście drzew późnym latem mieniły się szarą barwą i tłustym osadem. Z owocami pewnie nie było lepiej. Jak było z warzywami, nikt się nie pytał. Śnieg o dzień dłużej zachowywał czystą biel, gdy spadł w niedzielę. Do płuc nikt nie zaglądał. W końcu to zapylenie było efektem ubocznym, a walka szła o stawkę znacznie ważniejszą – bezpieczeństwo górnika. Tak działo się przez dekady; czy można było coś zrobić? Przecież efekty tych doświadczeń rozślawiały ośrodek badawczy na cały świat, przynosząc zasłużoną chlubę polskiej nauce górniczej. Okoliczni mieszkańcy też byli po-

dzieleni. Ci, którzy znaleźli zatrudnienie w kopalni – a była to praca nader pożądana, z wszelkimi przywilejami górniczymi, a bez narzucanych norm wydobywania właściwych kopalniom produkcyjnym – przymykali oko na ewidentne niedogodności i pewnie także szkodliwość zdrowotną.

Były też tymczasowe korzyści, choć dziś by ich tak nikt nie nazwał. Drażnienie chodników oraz bicie szybów powodowało niechciany urobek. Coś z nim trzeba było robić. Powstała hałda, monstrualny potwór, który z wolna posuwał się w stronę opróżnianych pól. Na jej wyniosłym grzbiecie kursowały ręcznie pchane wagoniki, wyrzucające na postępujące zbocze urobek kamienia czasem przemieszanego z węglem marnej jakości. Ten szybko stał się obiektem miejscowego pożądania. Choć zmieszany ze skałą, był pilnie zbierany przez okoliczną ludność nie tylko z Kopanin ale przychodzącą aż spod Podlesia, Gniotka czy Mikołowa, głównie kobiety z dziećmi, z wózkami, wózczkami, rowerami czy po prostu z workami, które – napełnione – przywożone czy przynoszone były do domów. Opał z „Oheimu” był drogi, czasami trudno dostępny, a nikt nie chciał przebywać w nieopalanej izbie. Jakoś tak się składało, że zbieranie węgla na stokach hałdy odbywało się w chłodne dni późnej jesieni czy zimy. Śnieg pomagał. Czarne kawałki bardziej kontrastowały. Opatulone w plejty i chusty zbiorowiska kobiet cierpliwie czekały pod hałdą na kolejny wywóz. Ilość ich zwiększała się, gdy szedł cynk, że drażnienie trafiało na cienki pokład węglowy. W końcu robotnicy to wykonujący po powrocie z szachty byli często zarazem konsumentami wysypywanej i zbieranej węglowej skały. System informacyjny działał. Bieda szyb epoki PRL-u.

Oczywiście, było to niezgodne z ustawodawstwem. Tym ogólnym, rodem

z bhp – skalne odłamki nabierały szybkości, tocząc się po stromych zboczach hałdy nieraz daleko poza jej podnóże – jak i tym, egzekwowanym przez służby strażnicze. Choć to był odpad, zbierać go nie można było. Stąd pilnowanie przez strażników terenu. Ale przecież oni też byli miejscowi. Najczęściej wiaderko węgla wystarczyło, by wachującą odwracał się w drugą stronę. Był jednak nieprzekupny Wojtynek, zmuszony po wielkiej wojnie i czasach zamętu do opuszczenia hulczyńskiego kraiku – jego żona mówiła mieszaniną czesko-śląskiego, co budziło uśmieški niezrozumienia, czasami zbędne złośliwości – i osiedli w podmikołowskim przysiółku. Ale nawet on nosił w sobie empatię. Po oddaniu ostrzegawczego strzału – strażnicy nosili przestarzałą długą broń przewieszoną przez ramię – odchodził w przekonaniu, że wykonał swoje zadanie. Jak wielkim było bowiem przestępstwem podejmowanie walki z zimnem? Po latach teren został ogrodzony płotem siatkowym z potrójną linią drutu kolczastego na zakrzywionych słupach, zaś hałdę zniwelowano.

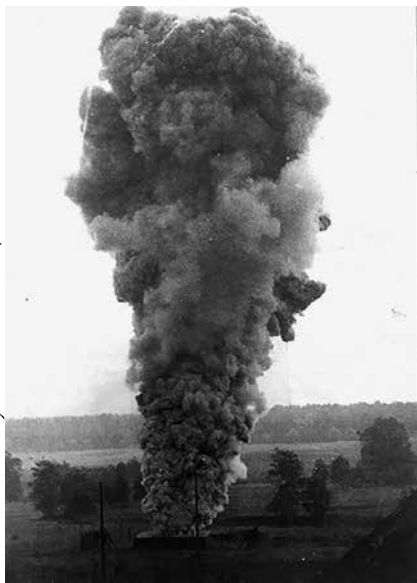
Osobą decydującą o wszystkim w tym naukowym kompleksie i podporządkowanym mu sąsiedztwie był prof. Wacław Cybulski (1901–1973), warszawski inżynier pracujący w kopalni jeszcze przed wojną, a od 1946 roku, tj. powrotu z Wielkiej Brytanii, jej autokratyczny dyrektor, autor idących w dziesiątki naukowych publikacji, człowiek sukcesu. Był alfą i omegą, decydował o wszystkich, nawet najdrobniejszych sprawach, w tym górniczym, jakby kopalnianym zakładzie oraz otoczeniu. Wnosił sprzeciw wobec wniosków o budowę nowych lub rozbudowę istniejących budynków (w latach 50. ub. wieku), ale też zabronił wycinki starych drzew wzdłuż pełnej dziur ulicy, przy której posadowiona była kopalnia (w latach 60., podczas akcji czynienia dróg bezpiecznymi dla wzrastającego ruchu). Jego opinii nie sprzeciwiał się żaden urząd. Przekaz pracowniczy głosił o jego dużej odwadze. Pierwszy zjeżdżał w głąb szybu, gdzie doszło do metanowo-pyłowej katastrofy. Nie było przecież wiadomo, co tam zastanie. Pracował w skromnym gabinecie, mieszkał w willowej rezydencji, obok której rozsiadł się jeszcze przed wojną park pełen pięknych nasadzeń – do jego dyspozycji. Stopniowo powiększany, ze spacerowymi ścieżkami, miał regenerować umysł zmęczony porównywaniem niezliczonej ilości wykresów rozchodzenia się fal uderzeniowych różnej siły przeprowadzanych wybuchów. Dzieci z okolicy zawładnęły popołudniami trawiaste polany parkowego terenu. Niekiedy widziało się poprzędzone stukaniem laski o płyty chodnika zbliżanie postaci o zmęczonym obliczu. Przystanął i popatrzył tylko. Nie

przeganiał rozwrzeszczanej dzieciarni. Tylko zazwyczaj po kilku dniach dziura w parkowym płocie była łatana i trzeba było szukać nowego wejścia. Podczas transformacji ustrojowej park w ramach programu odchudzania każdej instytucji przeszedł na własność potomków uczonego.

Nie mając ani podstaw, ani prawa do poruszania personaliów, o jednym wszak przypadku z „Barbary” warto jeszcze wspomnieć: współpracy, czy co najmniej bezkolizyjnej koegzystencji autorytarnego i bezpartyjnego dyrektora z komórką partyjną, która wszędzie musiała być i nadawać kierunek. Szczęśliwym zbiegiem okoliczności jej reprezentantem i sekretarzem POP był Leon Opara (1896–1977), przedwojenny komunist, który pełnił raczej funkcję szefa rady zakładowej, troszczącego się o załogę, niż lidera komórki ideologicznej wojującej z przeżytkami starych ustrojów. Wydaje się, że relacje z autokratycznym dyrektorem były co najmniej poprawne, a przynajmniej bezkolizyjne, zaś w kopalnianym sąsiedztwie zapamiętany został jako człowiek mający swoje nieszkodliwe dziwactwa. Gdy w niedzielne poranne godziny z każdego domu udawano się w drogę do mikołowskiego kościoła, włącznie z jego pobożną żoną Łucją, Opara odświętnie ubrany, koniecznie w czerwonym krawacie, wychodził na spacer do lasku staniczkowego, odpowiadając w zdumieniu swój panteistyczny obchód. Nie spotykało się negatywnej opinii o tym człowieku. Z drugiej strony nie szło dociec, jak to się działo, że niezmiennie utrzymywał się na tym partyjnym stołku. Za to w latach 70. XX wieku ten uroczy skrawek zieleni dyrekcja Kopalni zamieniła na wyjątkowej brzydoty parking dla swych zmotoryzowanych pracowników.

Kopalnia Doświadczalna „Barbara” towarzyszy polskiemu górnictwu od niemal stu lat. Z dumą podkreślana była jej unikatowość na miarę światową. Jej najlepsze lata spletają się z dekadami powojennymi, gdy gospodarka kraju oparta była na przemyśle wydobywczym. Z punktu widzenia ekonomicznego jednak stanowiła element kosztów stałych górnictwa, tym samym café gospodarki narodowej. Nie są znane chyba po dziś wyliczenia, jaki to był procent kosztów w przeliczeniu na 1 tonę wydobytego węgla. Przy 200 milionach ton rocznie – mniejszy, przy spadającym wydobywaniu – pewnie relacja się pogarszała. Niemniej przyjmowano, iż przy wszelkich trudnościach, jakie napotykało górnictwo, byt Kopalni Doświadczalnej „Barbara” pozostawał niezagrażony. Prawdopodobnie będzie tak aż do momentu, gdy zaprzestanie wydobywania ostatnia z fedrujących kopalń.

foto. B. i K. Cybulscy: „Wacław Cybulski (1901–1973)”,
Wydawnictwo Kamilita, Mikołów 2003 r.



Wybuch doświadczalny w kopalni „Barbara”

Szlak Zabytków Techniki jest jedną ze sztandarowych atrakcji turystycznych województwa śląskiego, zarazem najbardziej interesującą trasą turystyki industrialnej w Polsce. Nic dziwnego. Przez lata utrwalono obraz województwa jako regionu przemysłowego i choć przemysł wydobywczy i ciężki już ponad dwadzieścia lat temu w większości miast zlikwidowano, taki obraz regionu nadal pokutuje w świadomości Polaków. Może to i dobrze, współcześnie bowiem pozostałości dawnego górnictwa i hutnictwa stają się magnesem przyciągającym turystów. Stąd zrodził się pomysł na uruchomienie w 2006 roku Szlaku Zabytków Techniki. Jego atrakcyjność dostrzeżono już po roku, przyznając mu certyfikat Polskiej Organizacji Turystycznej – Najlepszego Produktu Turystycznego w 2007 roku, a rok później – po raz pierwszy w Polsce – Złoty Certyfikat Polskiej Organizacji Turystycznej dla Najlepszego Produktu Turystycznego w Polsce. Podobnie popularne stało się święto Szlaku Zabytków Techniki INDUSTRIADA, organizowane od 2010 roku, które również w 2017 roku uhonorowano Złotym Certyfikatem POT. Dziś na Szlaku znajdują się 41 obiektów, reprezentujące podmioty przemysłowe związane z tradycją górniczą, hutniczą, energetyką, kolejnictwem, łącznością, włókiennictwem, produkcją wody oraz przemysłem spożywczym. W skład Szlaku Zabytków Techniki wchodzi istniejące muzea, zamieszkałe kolonie robotnicze, czynne i nieczynne zakłady pracy. Rokrocznie odwiedza go ponad milion turystów, a ubiegłoroczna jubileuszowa 10. INDUSTRIADA zgromadziła 103 tys. osób.

Wśród bogatego wachlarza obiektów industrialnych, niezmienną popularnością cieszą się te zlokalizowane w podziemiach – kopalnie i sztolnie. Skąd ta fascynacja wnętrza Ziemi?

Zaczęło się od „Lisiej Sztolni”

Mroki kopalń zawsze pociągały ciekawskich, niezwiązanych z przemysłem. Zaczęło się od „Lisiej Sztolni” w Wałbrzychu. Wydrążono ją w latach 1791–1794 z inicjatywy dyrektora wrocławskiego Wyższego Urzędu Górniczego Fryderyka Wilhelma Redena. Sztolnia wykonana została przeważnie w obudowie kamiennej z łamanego piaskowca. Otwarcie spławnej sztolni „Lis”, będącej pierwszym tego typu wyrobiskiem na kontynencie europejskim – poza Anglią, miało bardzo uroczysty charakter. Do jej wnętrza oświetlonego górniczymi lampami wpłynęli na łodziach goście i miejscowi urzędnicy z dyrektorem hrabią F. W. Redenem. W drodze powrotnej jako pierwsza wypłynęła łódź napęczniona węglem. W ciągu doby łodziami wywożono na powierzchnię około 100 ton węgla z trzech kopalń: „Fuchs”, „Louise Charlotte” i „Emiliae”.

„Lisia Sztolnia” od początku stanowiła także ciekawostkę turystyczną, licznie odwiedzana przez gości, zwłaszcza kuracjuszy z pobliskiego Starego Zdroju i Szczawna-Zdroju, m.in. przez pruską parę królewską i ich córkę, żonę cara Rosji. W 1816 r. sztolnię zwiedziła księżna Izabela Czartoryska, która opisała wizytę w swym pamiętniku: *Płynęliśmy podziemnym kanałem o powierzchni pół mili niemieckiej. Wszystko było rześcicie oświetlone, poprzedzała nas piękna muzyka na innej barce. Po przybyciu do kopalni [...] znaleźliśmy bardzo piękny salon [tzw. Komora*



Sztolnia Królowa Luiza

Magia industrialnych podziemi

EDWARD WIECZOREK

Schuckmanna]. Wszystko było umajone zielenią i rześcicie iluminowane. [...] Pośrodku stał wytwornie nakryty stół z lodami, ciastkami, winem, herbatą i owocami. Był to czarujący widok. Wsiedliśmy w salonie i zjedliśmy z apetytem podwieczorek. Byliśmy 200 sążni pod ziemią, rześcicie oświetleni, otoczeni kwiatami i wrociliśmy wesoło przy dźwiękach obojów i klarnetów, wyraziszmy wdzięczność aranżerom tej pięknej wyprawy.

Współcześnie „Lisia Sztolnia” jest niedostępna, ale w województwie śląskim turyści mają okazję odbycia podziemnego rejsu w Sztolni Królowa Luiza w Zabrzcu lub Sztolni Czarnego Pstrąga w Reptach Śląskich, dzielnicy Tarnowskich Gór.

Podziemne rejsy

Trasa wodna Sztolni Królowa Luiza jest najnowszą propozycją Muzeum Górnictwa Węglowego w Zabrzcu, któremu podlegają także dawne obiekty przemysłowe: kopalnia „Królowa Luiza” i kopalnia „Guido” w Zabrzcu. Obiekty te w lipcu bieżącego roku zostały wpisane przez Prezydenta RP na prestiżową listę Pomników Historii.

Trasa wodna Sztolni Królowa Luiza to fragment dawnej Głównej Kluczowej Sztolni Dziedzicznej, odwadniającej kopalnię między Chorzowem a Zabrzem. Wydrążono ją w latach 1799–1863 na długości 14,5 km, przez co stała się największą w Europie i jedną z trzech na kontynencie, wykorzystywanych – oprócz odwadniania – także do spławiania urobku. Do transportu węgla łodziami służył jedynie 2,5-kilometrowy zabrzański odcinek sztolni między kopalnią „Królowa Luiza”, a Kanałem Kłodnickim. Transportu węgla zaniechano w latach 30. XIX wieku, a Sztolnię ostatecznie unieruchomiono w 1916 r., zasypując w latach 50. XX w. jej wylot przy ul. Karola Miarki w Zabrzcu.

Po kompleksowych pracach rewitalizacyjnych udostępniono trasę wodną Sztolni Królowa Luiza turystom (w tym miejscu należy się wyjaśnienie, że Sztolnia Królowa Luiza to nazwa całego zabytkowego kompleksu kopalni węgla kamiennego „Królowa Luiza”). Jest to najdłuższa podziemna trasa wodna w Polsce (1100 m). Część wyrobisk dawnej kopalni pokonuje się pieszo, część łodziami. W trakcie rejsu, płynąc towarzysząc odgłosy kąpiącej wody, barwna gra światła, na trasie są mijanki i podziemne porty.

Skromniejszy, za to z długim już stażem (od 1957 r.), jest podziemny rejs Sztolnią Czarnego Pstrąga w dzielnicy Tarnowskich Gór – Reptach Śląskich. Ta sztolnia z kolei odwadniała tarnogórskie kopalnie kruszcowe, których najstarsze fragmenty sięgają średniowiecza. W XVII w. zaczęły się problemy z nadmiarem wód podziemnych, w wyniku których na ponad sto lat eksploatację przerwano. Dopiero pod koniec XVIII w. sięgnięto po rudy cynku, ołowiu i srebra pod Tarnowskimi Górami. W 1787 r. sprowadzono z Cardiff w Anglii maszynę parową – pierwszą, jaką zainstalowano na kontynencie (poza Anglią), ale nie dawała ona rady nadmiarowi wód, więc do ich usunięcia wykuto pod miastem kilka sztolni, m.in. „Fryderyk” (1785–1806), która odprowadzała wody podziemne wprost do rzeki Dramy przez tzw. „Bramę Gwarków”. Jej fragmentem jest dziś jedna z większych atrakcji naszego regionu – 600-metrowa Sztolnia Czarnego Pstrąga w Parku Repeckim, udostępniona turystom w 1957 r. Jej zwiedzanie odbywa się łodziami między dwoma szybami (niegdyś wentylacyjnymi): „Ewa” i „Sylwester”. Przewodnicy odpychają ręcznie łodzie od ścian sztolni, snując przy tym barwne opowieści. Łodziami płynie się także we fragmencie podziemnych wyrobisk tarnogórskich w rejonie szybów „Żmija”

i „Anioł”, udostępnionych w 1975 r. jako Zabytkowa Kopalnia Srebra.

Sztolnia Czarnego Pstrąga, Zabytkowa Kopalnia Srebra oraz 26 innych obiektów, związanych z tarnogórskim górnictwem, zostały wpisane w 2017 r. na Listę Światowego Dziedzictwa UNESCO, zaś Zabytkowa Kopalnia Srebra uzyskała w 2019 r. prestiżowy Złoty Certyfikat Polskiej Organizacji Turystycznej.

Mroki kopalń

Województwo śląskie to przede wszystkim region górniczy i zabytki dawnego górnictwa, to magnes przyciągający rocznie setki tysięcy zwiedzających.

Górnictwo kruszcowe na Górnym Śląsku historią sięga czasów plemiennych (np. liczne znaleziska biżuterii, wyrobów i form do odlewania ołowiu), a w dokumentach wzmiankowane jest w początkach XII wieku. Nowsze – węglowe – pojawia się w połowie XVIII w. i z powodzeniem funkcjonuje do dziś. Tradycje tego pierwszego prezentuje Zabytkowa Kopalnia Srebra w Tarnowskich Górach, której początki sięgają I. połowy XVI w., a rozkwit przypada na połowę XIX wieku. Otwarta dla zwiedzających w 1975 r. trasa turystyczna liczy prawie 1,5 km i pozwala na poznanie różnych sposobów urobku rud srebra, ołowiu i cynku w XVII i XVIII w. oraz zabezpieczania wyrobisk i transportu urobku. W programie jest też krótki odcinek, pokonywany łodziami.

Zupełnie inny charakter mają obiekty górnictwa węglowego w Zabrze. Kompleks Sztolnia Królowa Luiza w Zabrzu obejmujący najstarszą rządową kopalnię węgla kamiennego na Górnym Śląsku „Królowa Luiza” („Königin Luise” z 1791 r.) oraz fragment Głównej Kluczowej Sztolni Dziedzicznej, prezentuje m.in. czynną maszynę parową z 1915 r. oraz podziemne wyrobiska na głębokości 50 m. Atrakcją jest tu podróż podziemną elektryczną kolejką osobową, tzw. „manszafem” oraz możliwość obejrzenia pracy kombajnów i przenośników. Najnowszymi atrakcjami „Królowej Luizy” są XIX-wieczne wyrobiska filarowe, z zachowanymi jeszcze zasobami węgla i podziemna podróż łodziami, o której pisałem wcześniej.



Sztolnia Królowa Luiza

Zabytkowa Kopalnia „Guido” w Zabrzu prezentuje na dwóch poziomach (170 i 320 m) podziemny świat wyrobisk i chodników, komór i przekopów, z pełnym oprzyrządowaniem. Jest więc kombajn ścianowy i chodnikowy, wrębiarki, obudowy kroczące i przenośniki. Tu z kolei atrakcją stanowi podróż kolejką podwieszaną do stropu. W ofercie kopalni „Guido” znajdują się też nietypowe formy poznawania podziemnego świata górnictwa – trasy: „Mroki Kopalni” i „Górnicza Szychta”. Trasa „Mroki Kopalni” to wyprawa w niewielkiej grupie w najgłębsze i najbardziej surowe rejony Kopalni Guido na poziomie 355 m, w ciemnościach rozświetlanych jedynie górniczymi lampkami i w przejmującej ciszy. Zwiedzanie obejmuje zjazd górniczą „szolą”, piesze przejście 1,5 kilometra górniczymi chodnikami, w towarzystwie przenośników zgrzeblowych, rurociągów do tłoczenia podsadzki i całej masy górniczego żelastwa. Punktem kulminacyjnym tej trasy jest ciasne przejście przez ponad stumetrową ścianę węglową o sporym nachyleniu. Na tym samym poziomie przebiega trasa „Szychta Górnicza”, prowadząca przez obszar ściany wydobywczej, eksploatowanej w celach

szkoleniowo-badawczych jeszcze w drugiej połowie XX wieku. Uczestnicy wycieczki przebrani są w kombinezony dozoru, wykonują drobne prace transportowe, a po skończeniu „szyty” otrzymują zupę regeneracyjną i piwo w najbliższej położonym w Europie pubie.

Podziemny pub na głębokości 320 metrów jest propozycją dla wszystkich zwiedzających kopalnię „Guido” (młodociani bez możliwości spożycia alkoholu). Mogą z niego skorzystać także osoby niezainteresowane zwiedzaniem kopalni.

Inne obiekty górnictwa węglowego na Szlaku Zabytków Techniki (Zabytkowa Kopalnia „Ignacy” w Rybniku, Szyb Maciej w Zabrzu czy dąbrowska „Sztygarka”) nie prezentują już tak bogatej i wszechstronnej ekspozycji.

Kulturowy krajobraz przemysłowy

Część żyjących jeszcze mieszkańców województwa urodziła się w cieniu kominów. Przestrzeń po horyzont zajęta była przez kominę, wieże wyciągowe, piece, instalacje, płataninę rur, torów kolejowych, linii energetycznych. Nad tym wszystkim górowały stożki hałd. Ukształtowany w ten sposób w połowie XX wieku kulturowy krajobraz przemysłowej części regionu stał się swoistym „logo” województwa. Krajobraz niemal multisensoryczny, bo odbierany wzrokiem, słuchem i... powonieniem.

To wszystko nagle pod koniec XX w. zaczęło zniknąć. Jeszcze w latach 70. zniwelowano hałdy, ale gwoździem do trumny stały się przekształcenia własnościowe lat 90. i realna ekonomika, wymuszająca sukcesywne zamykanie przestarzałych i nierentownych zakładów. W ślad za tym poszła fizyczna likwidacja: wyburzanie, złomowanie, rozkradanie.

Część obiektów udało się uratować dla potomnych, części zabytków przemysłowych nadano życie po życiu: w zabudowaniach zlikwidowanej kopalni węgla kamiennego „Katowice” ulokowano Muzeum Śląskie, w dawnej kopalni „Gottwald” – centrum handlowe itp. Nostalgii za minionymi „kominowymi” czasami koi też – mam nadzieję – Szlak Zabytków Techniki województwa śląskiego. I do jego poznawania ma Państwa zachęcić powyższy tekst. ■

phot. Edward Wieczorek



„Brama Gwarków” w Zbrosławicach

phot. Muzeum Górnictwa Węglowego w Zabrzu

Tomasz Mann, „Śmierć w Wenecji”

MARIAN SWORZEŃ

Zamiast przedstawiania fabuły jednego z najbardziej znanych opowiadań Manna, przypomnę główne kanały, którymi ona płynie i mosty, pomocne w jej przebyciu.

Miejsce: najpierw Monachium, potem już stale Wenecja. Czas: przełom maja i czerwca roku 19... (najpewniej 1911). Bohater: Gustaw Aschenbach (od niedawna von), lat pięćdziesiąt, wybitny i uznany pisarz. Treść: szukający odpoczynku twórca przybywa do Wenecji, gdzie jednak nie znajduje zadowolenia i zamierza wrócić do domu, ale zmienia decyzję, gdyż zafascynował go młody Polak, Tazio, mieszkający w tym samym hotelu. Okoliczności towarzyszące: epidemia cholery, o której bohater dowiaduje się pod sam koniec pobytu (i życia).

Mann wspominał, że wiele szczegółów wykorzystanych w opowiadaniu przydało mu się naprawdę. I tak – zobaczył tajemniczego włóczęgę przy bramie monachijskiego cmentarza, płynął statkiem w kompanii podpitych urzędników i bliźniaczego firyka, do hotelu wioził go podejrzany gondolier, spotkał polską rodzinę, o zarazie dowiedział się pokątnie. Chociaż zamierzał poprzestać na krótkim tekście, dzieło podążyło własnym duktem, obszerniejszym od zamierzonego. Jak pisał, „zbiegło się wiele czynników, aby doprowadzić do powstania tworu, który błyskając ogniami swoich gładkich płaszczyzn ukazuje się w splocie różnorodnych powiązań, zdolnych wywołać zadumę u tego, kto aktywnie czuwał nad tym procesem krystalizacji” (cytuje za: „O sobie”, Warszawa 1971, przeł. Wanda Jedlicka). Skoro więc dzieło potrafiło zdumieć samego twórcę, miejmy nadzie-

ję, że podobnie będzie z nami. Może uda się nam dostrzec coś nowego w jego błyskających ogniach?

Wybrałem ten utwór bynajmniej nie z przyczyny panującej u nas pandemii, chociaż jest w tym opowiadaniu kilka fragmentów, świadczących o niezmiennym napięciu między władzą a prawdą – poprzestaną na podaniu pierwszego z brzegu. Otóż gdy sprawa zarazy pojawiła się w zagranicznych gazetach, „zwierzchność Wenecji każała odpowiedzieć, że stan zdrowotny nigdy nie był lepszy”, zaś potem zdecydowała się na „uporczywe kontynuowanie polityki przemilczania i zaprzeczania”.

Moja decyzja wynikała z kilku zdań znalezionych w książce Manna, a właściwie z jednego. Brzmi ono tak: „Gustav Aschenbach więc urodził się w L..., powiatowym mieście prowincji śląskiej, jako syn wyższego urzędnika sądowego”. W niemieckim oryginale miejsce urodzenia bohatera jest również nienazwane, przedstawione jako „L., einer Kreisstadt der Provinz Schlesien”. Nieco więcej, acz nie za dużo, dowiadujemy się o rodzinie: „Przodkami jego byli oficerowie, sędziowie, funkcjonariusze administracji, mężowie, którzy w służbie króla, państwa wiodli surowy, przystojnie skąpy żywot”. Są też krótkie wzmianki o rodzicach: pedagogiczna, o ojcu („rygor był przeciw rodzinnym dziedzictwem ze strony ojca”) oraz genealogiczna, o matce: „...żywszej, bardziej zmysłowej krwi zastrzyknęła rodzinie w poprzednim pokoleniu matka pisarza, córka czeskiego kapelmistrza”. Znajdujemy też wspomnienie o przedmiocie zapamiętanym z dzieciństwa: „W domu

jego rodziców, przed wielu laty, była klepsydra – ujrzał nagle znów kruchy i poważny sprzącznik, jak gdyby stał przed nim”. Nie była to klepsydra wodna, jakby nakazywał żywioł okalający Wenecję, ale taka, „z której bezgłośnie, delikatnie spływał rudy piasek przez szklany przesmyk”. Jest jeszcze zdanie, które osadza bohatera, i nas również, w dokładnie datowanej historii. Otóż Mann, wliczając pisarskie dokonania Aschenbacha, podał na początku listy jego dzieł, że był on „autorem jasnej i potężnej eposu prozą o życiu Fryderyka Pruskiego”. Nie tylko to... Artystyczny upór Aschenbacha, jego konsekwentne oddanie sztuce, zostały zrównane „z wytrwałością woli i uporem, podobnym do tego, jaki zdobył jego ojczystą prowincję”. Moje odczytanie tego fragmentu – w oparciu o kontekst kilkunastowersowego zdania – każe przyjąć, że wysiłek pisarza został zrównany z hartem, z jakim wielki Fryc wojował o Śląsk z cesarzową Marią Teresą w trzech kolejnych wojnach przez ponad dwadzieścia lat.

Zastanawiałem się, co mogło znaczyć owo samotne L. Moja pierwsza myśl nie była wcale geograficzna, o nie... Pomyślałem, że skoro Mann kilka razy przypominał czytelnikowi, że jego bohater jest po pięćdziesiątce, że jego lata idą ku zmierzchowi życia, to nie byłoby niczym dziwnym symboliczne użycie tej właśnie liczby – przecież w łacinie pięćdziesiąt jest wyrażone literą L. Sam, gdy obchodziłem tę rocznicę, czyli jak do dziś mówi się na Śląsku: „miałem Abrahama”, pamiętałem o ostrym załamaniu linii składających się na L. To była myśl pierwsza, że świata bliskiego matematyce, druga – była już bliższa ziemi. Rozważyłem, jakie to miasta na Śląsku zaczynają się na literę L i były w II połowie XIX wieku na tyle znaczące, że miały u siebie sądy (vide prawnicza profesja ojca Aschenbacha). Okazało się, że w grę wchodzi Legnica (Liegnitz), Lubin (Luben), Lubliniec (Lublinitz) i Lubań (Lauban). Najchętniej wskazałbym na Lubań, bo tam przecież, już za polskich czasów, wychował się mój niezjący przyjaciel – Feliks Netz, wybitny pisarz, tłumacz Máraiego, współtwórca „Śląska”. Czemuż to? – może ktoś słusznie zapytać. Ano dlatego, że w jego „Dysharmonii caelestis” w rozdziale „List do profesora Barabasza” mamy wielki, ponad dwudziestostronicowy (str. 53–76), obraz Miasteczka L.! W dalszej kolejności wybrałbym Lubliniec, bo to blisko okolic pochodzenia mojej rodziny ze strony dziadków – mieszkał tam kuzyn mamy, Karol L., którego wojna rzuciła do Anglii, skąd do końca życia przesyłał



„Śmierć w Wenecji”, reż. Luchino Visconti

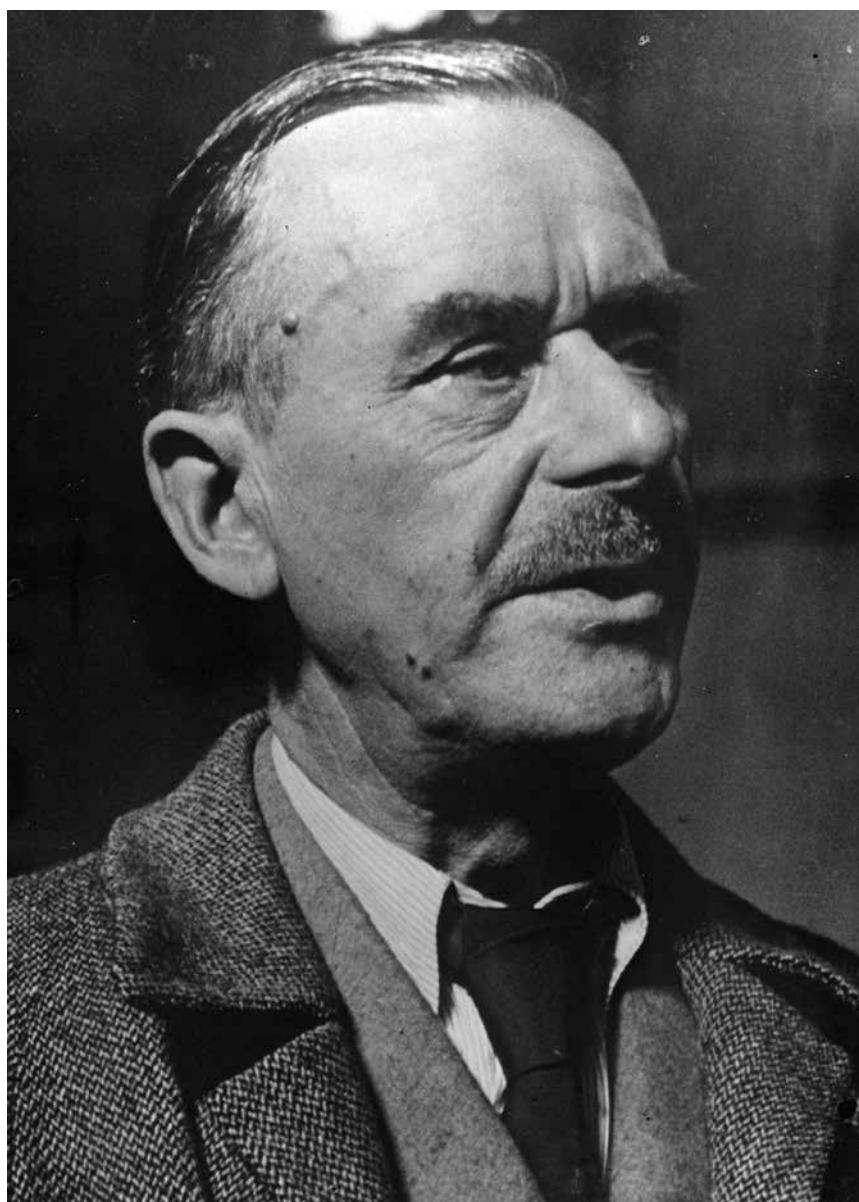
nam świąteczne życzenia pisane przepiękną polszczyzną. O Lubinie nie umiałbym nic powiedzieć, zaś już na szarym zostawiłem odległą, całkiem mi nieznaną (za wyjątkiem podręcznikowej bitwy z Tatarami) Legnicę. Dopiero teraz wiem, że to od niej właśnie należało zacząć...

Owszem, wiedziałem, że istnieją wielkie kompendia, które opisują, analizują i objaśniają każde słowo Jamesa Joysa, ale nie miałem pewności, czy w podobny sposób zmierzono, zważono i policzono znacznie bardziej obszerny dorobek Manna. Zamiast miotać się po internecie, postanowiłem zwrócić się do Małgorzaty Łukasiewicz, autorki książki *Jak być artystą. Na przykładzie Thomasa Manna*, tłumaczki Sebald, Walsera, Hessego. Ponieważ znam Małgorzatę osobiście, mogłem telefonicznie przedstawić jej tę sprawę. Mailowa odpowiedź z Warszawy była jednoznaczna: L oznaczało Legnicę, co wynikało z roboczych notatek pisarza, o czym wzmiankował badacz jego twórczości, Erhard Bahr w książce zatytułowanej *Thomas Mann: Der Tod in Venedig. Erläuterungen und Dokumente* wydanej w roku 2005.

A więc sprawa została wyjaśniona – faktycznie, Legnica została zdobyta przez wojska pruskie na Habsburgach na samym początku pierwszej wojny śląskiej, w grudniu 1740 roku. Król Fryderyk przybył tam w następnym miesiącu, i – jak podkreślają miejskie kroniki – od tej pory z upodobaniem bywał tam wielokrotnie.

Tu w zasadzie mógłbym zakończyć, by nie wychodzić poza założone w cyklu sprawy Śląska. Została jeszcze jedna sprawa, wcale nie peryferyjna, wprost przeciwnie – bliska, i to najdosłowniej, jego granic. Oto ona:

Nie jest wcale legendą, że udało się – niemalże! – ustalić tożsamość pierwowzoru Tadzia, młodzieńca o niezwyklej, anielskiej urodzie. Istnieją dwa związane z tym tropy – oba wskazują na chłopaków z polskich zamożnych rodzin, które były w Wenecji na Lido wtedy, gdy był tam Mann. Pierwszy to Władysław Moes, drugi – Adam Henzel. Nie-



Tomasz Mann

trudno dostrzec, że zdrobnienia ich imion (Władzio, Adzio) mogły brzmieć podobnie do uwiecznionego w książce. Są na ten temat wywiady, wspomnienia, deklaracje

rodzin... To wręcz gotowy temat na kolejne opracowanie przedstawiające aktualny „stań badań”. Zainteresowanych szczegółami odsyłam do obszernej i rzeczowej publikacji Volkera Hage zamieszczonej w „Spieglu” nr 52/2002 („Tadzios schönes Geheimnis”) i dostępnej bez trudu w internecie, zamkniętej zaś stwierdzeniem, że sprawa bynajmniej nie jest rozstrzygnięta.

Nam pozostaje w takim razie optować za Władysławem Moesem, bowiem jego rodzina posiadała majątek w jurajskiej Wierbce, niedaleko Pilicy. To całkiem blisko Katowic. Nieco ponad pięćdziesiąt kilometrów. Nieco ponad sto lat od nieśmiertelnej historii opowiedzianej nam przez Tomasza Manna. ■



„Smierc w Wenecji”, reż. Luchino Visconti

Tomasz Mann, *Śmierć w Wenecji*, przeł. Leopold Staff, z dodaniem zdjęć z filmu w reż. Luchino Viscontiego. Warszawa 1988, str. 83.

O Śląsku: str. 10, 11, 70.

Herody (fragment)

ANDRZEJ NIEDOBA

Zamiast porządnego deszczu zaczęło się sypać z niskich chmur, co stały ciekawe nad Imielnicą i nie zapowiadało to niczego dobrego na konieczne już sianokosy. I chyba tylko. Michał cieszył się z tej nagłej zmiany pogody, bo jak tylko wrócił do Heczki, kazał Byrtuskowi zaprzęgać karego do wozu i pojechali aż do Bystrzycy, gdzie Michał wstąpił do chałupy Mojeścika.

Byrtusek nawet nie czekał zbyt długo, bo po chwili Mojeścik i Michał wyszli z chałupy i skierowali się do chlewa. Potem coś zakwiczało, jakby było obdzierane ze skóry, a po chwili Michał wywlókł stamtąd drącego się wniebogłosy prosiaka w potarganym worku. Byrtusek zaciął konia, wielce rad z powiększającego się Michałowiego gospodarstwa, ale gdy wrócili i Michał kazał mu nawarzyć wody w kotle, pojął, że się szykuje co innego.

Najwięcej kłopotu mieli ze związaniem prosiaka, kwiczącego przez cały czas, jakby wietrzącego już swój rychły koniec. Uwiązali go za cztery nogi i podciągnęli na poziomą belkę w chlewie, potem Michał jednym uderzeniem siekiery ogłuszył go i nawet zgrabnie pchnął w serce długim nożem.

Zeszło im trochę zanim świnię rozciąli i oprawili, wyrzucając na gnój wszystkie trzewia, i tego już Byrtusek nie mógł pojąć, bo z czego się zrobi kiełbasy? Chciał nawet zwrócić na to uwagę Michałowi, ale widząc jego zaciętą i skupioną twarz, dał spokój, przemyślując tylko, co z tego dalej wyniknie. A dalej było jeszcze ciekawiej, bo podzieloną na części świnię upchali do dwóch worków i położyli w sieni, przykrywając starym kożuchem.

I ledwie się obmyli, posprzątali jako tako w chlewie i na podwórzu, gdy usłyszeli czyjeś kroki. Michał wyjrzał przez okno i struchlał: prosto ku chałupie maszerował Legierski.

Przeklęta świnią, pomyślał, tak się darła, że całą Imielnicę postawiła na nogi. I już nie o prawie straconą świnię mu szło i karę, ale o tego, kto doniósł Legierskiemu. Chociaż, pomyślał jeszcze w ostatniej chwili, może sam nowy wójt przyszedł tu po tym kwiku jak po świeżym śladem za zającem?

Legierski już stawał w drzwiach i czujnie rozglądał się po chałupie. Pochwalił Pana Boga i usiadł ciężko na ławie, Michał skoczył do kredensu po resztkę śliwownicy i jeszcze zdążył pomyśleć, że może głupio robi, bo Legierski zapyta zaraz, czy domowa czy z przemytu, i pozna, że za dobra na tutejsze śliwki, i wtedy on, Michał, wpadnie już na całego. Ale tylko zdążył o tym pomyśleć, bo Legierski uśmiechnął się zadowolony i już zacierał ręce wielce kontent z takiego początku tego trudnego dla niego spotkania. Bo przyszedł tu jak najbardziej służbowo, z ważną i delikatną misją od delegata z powiatu, żeby pogadać z Michałem i namówić go do objęcia tutejszego posterunku milicji. Po co im mają przysyłać kogoś obcego, kto tu nie zna ani ludzi, ani wydeptanych przez nich ścieżek, a młody Sikora pokazał już, co potrafi. Więc Legierski oddechnął z przyjemnością, zapalił i wyłożył Michałowi swoją sprawę, nie, nie swoją i delegata, ale całej Imielnicy, która pozostawała do-

tańd bez opieki i co jak co, ale brak własnego posterunku obniżał jej prestiż nie tylko w oczach powiatowej władzy. Michał odetchnął z ulgą, że to jednak nie o tajną zabijaczkę chodzi i odpowiedział Legierskiemu to samo, co wytłumaczył już wcześniej delegatowi. Legierskiego wcale to nie przekonało, połał nie poruszony drugą kolejkę i zaczął znowu od początku. A Michał, nie słuchając go nawet uważnie, zaczął spekulować, jakie by miał z tego korzyści, ale nie mógł się niczego dobrego w tym dopatrzeć, bo jako sprawiedliwy stróż prawa, który dba o porządek i spokój, to było dla niego za mało, ba, to by do niego zupełnie nie pasowało, żeby przeganiać stare baby z lasu. A zresztą, o czym przecież Legierski jeszcze nie wiedział, parę godzin temu dokonał już pierwszego przestępstwa a szykowały się dalsze. I w żaden sposób nie mógł się na to zgodzić, chociaż wciąż pamiętał ten film oglądany na wycieczce w Krakowie o szeryfie na dalekim zachodzie, który chodził sobie ze złotą gwiazdą na kamizelce i strzelał, kiedy mu na to przyszła ochota. Ale nie mógł o tym powiedzieć Legierskiemu, że mu się jeszcze bardziej podobali ci goście, co z szeryfem walczyli o tajną kopalnię złota i mieli na zawołanie wszystkie dziewczyny od Meksyku po Teksas. Legierski jeszcze w drzwiach odwrócił się i po raz ostatni zapytał, czy by się jednak nie zgodził, ale Michał twardo stał przy swoim i jeszcze raz odpowiedział wójtowi, że nie.

Byrtusek cały czas siedział w sieni i wszystko słyszał, ale o nic Michała teraz nie zapytał, może uczyni to później, pomyślał, bo ta sprawa nie dawała mu spokoju, i dziwił się Michałowi, że odmówił takiego zaszczytu, żeby być na miejscu pana sierżanta Labudy, przedwojennego przodownika policji na całą Imielnicę. A Michał spojrzał na tykający zegar i aż podskoczył od stołu, kazał zaprzęgać i za moment już jechali z dwiema połówkami świni w dwóch workach po ziemniakach.

Było już ciemno, gdy dojechali pod Lelki, gdzie Michał miał kuzyna ze strony ojca. Zajechali przed wrota, Michał wszedł do chałupy i za chwilę wyszedł z takim samym jak on młodym mężczyzną, który bez słowa wprowadził konia i wóz do rozległej i pustej szopy. Pogadali chwilę z Michałem, nie wchodzili już do domu, wyjęli z wozu oba worki i Michał zawołał na Byrtuska. Worki były ciężkie i Paweł z trudem zarzucił sobie jeden z nich na plecy. Już wiedział, co się święci i ze strachem pomyślał o dalekiej drodze przez granicę.

Ruszyli zaraz, Michał szedł pierwszy, nieśpiesznie, wolnymi, wymierzonymi krokami, żeby się szybko nie zmęczyć i nie robić za częstych postojów.

Na szczyt wyszli o północy, niebo było zachmurzone, prawie po omacku przeskoczyli gęsty bukowy młodnik, tuż koło słupka z 1920 roku, gdy wyznaczano tu granicę. Potem trochę odpoczęli i już nie śpiesząc się zaczęli schodzić łagodnym leśnym zboczem ku świecącej się w oddali wiosce o śmiesznej nazwie Czicz.

Byrtusek cały czas myślał, że Michał ma ten szlak wychodzony, ale okazało się, że w samej wiosce

nie zna nikogo i nawet nie bardzo wie, do kogo iść z tymi dwoma worami świeżej wieprzowiny. Kręcili się najpierw koło szkoły i paru murowanych budynków, zanim znaleźli karcznię. Usiedli w rowie za wysokim płotem, żeby zaczekać, aż się zrobi ruch i pierwsi klienci wejdą do cziczackiego hostinca. Michał zdrzemnął się natychmiast, a Byrtusek dygotał z zimna i strachu. Słońce było już wysoko na niebie, gdy zdecydował się obudzić Michała, który zerwał się tak nagle i z takim krzykiem, że aż się Byrtusek wystraszył, bo akurat przechodziły drogą jakieś baby z bańkami mleka na plecach.

Michał wszedł do restauracji. Tylko przy jednym stoliku siedziało trzech mężczyzn, wyglądających na drwali. Za kontuarem drzemał gruby gospodzki i na widok Michała bez słowa nalał piwo z ręcznego wyczepu.

I znowu zamarł bez ruchu ze ściereczką na ramieniu. Michał zbliżył się do kontuaru, ale nie ujął kufła, tylko wpatrywał się w gospodzkiego, bo nie wiedział, jak go zapytać o drogę na Wyszni. Słowacki znał tylko ze słyszenia, nie na tyle, żeby nim swobodnie rozmawiać, bał się, żeby go gospodzki nie wziął od razu za przemytnika z Polski i czekał cierpliwie przy kontuarze, aż gospodzki drgnął, zamrugał i przypatrzył mu się uważniej.

– Co masz? – zapytał bez żadnych zbędnych wstępów, bo był tu gospodzkiem od trzydziestu lat i takich jak Michał wyczuwał węchem na kilometr.

I nie czekając na odpowiedź wskazał Michałowi, żeby wszedł za nim do przepaścistej kuchni. Bez słowa nalał Michałowi szklanek śliwowicy i czekał. Michał powiedział o świni, gospodzki zamrugał z uznaniem powiekami i wyszli na podwórze do małej komórki w podmurówce budynku.

Michał gwizdnął na Byrtuska i za chwilę całe dwie połowy świni leżały już pod nogami gospodzkiego, który wprawnym gestem pomacał słoninę. Potem wrócili do kuchni, Michał wypił jeszcze jedną śliwowicę i gospodzki zaproponował mu: worek łańcuchów do rowerów, dziesięć par ocieplanych butów albo dwadzieścia metrów białego jedwabiu z amerykańskiego spadochronu.

Michał wybrał to trzecie, bo zajmowało najmniej miejsca, i już za godzinę byli w lesie pod granicą. Byrtusek czuł się zawiedziony, że Michał niczego nie postawił, nawet tej świetnej lemoniady ze słodkimi ciastkami, które każdy przemytnik przynosił do Polski, ale o nic nie pytał i odetchnął uszczęśliwiony, gdy po południu przekroczyli granicę na Zadnim, ryzykując niepomiernie spotkaniem słowackiego strażnika w biały dzień. Wrócili w nocy, Byrtusek padł nieprzytomny na otomanę w kuchni, a gdy się zbudził, było już rano następnego dnia, a po Michale ani śladu.

Bo Michał w tym samym momencie dochodził już do Grabów, gdzie na zapleczu sklepiku Pani Mellerowej rozkładał właśnie dziesięć metrów bajkowej tkaniny, za którą starsza pani zapłaciła bez słowa pięćdziesiąt tysięcy.

Wrócił do domu pod wieczór, ochlapał się pod studnią, ubrał elegancko i wzięwszy pod marynarkę pozostałe dziesięć metrów jedwabiu poszedł do Cieślarów.

Ema wcale się go nie spodziewała, krzyknęła zdziwiona na jego widok i zaraz uciekła do izby. Michał usiadł na ławie i położył zwinięty jedwab na stole. Dziewczyna wróciła za chwilę w jasnej sukience, obcisłej na piersiach i szerokiej od pasa w dół; ale z przejęcia zapomniała o włożeniu czegoś na nogi. Michał przyjrzał się tym nogom od palców do góry

i aż mu się zakręciło w głowie. O Jezu, krzyknęła Ema i wsunęła bosc stopy w pantofle z czerwonym pomponem. Michał wstał, jednym ruchem rozwinął cały jedwab i omotał nim zachwyconą dziewczynę, która wyglądała teraz jak w arcydługiej ślubnej sukni z kilkumetrowym trenem. I na to właśnie weszła do kuchni stara Cieślarowa.

Przez kilka następnych dni Imielnica kosiła wszystkie swoje łąki.

Wieczorami niosło się nad wioską klepanie kos, a od wczesnego rana kosiarze ruszali przed siebie równą tyralierą, która Michałowi i nie tylko jemu, przypominała tamtą tyralierę, tylko że wtedy to nie byli kosiarze, ale niemieccy żołnierze z wysoko zakasnymi rękawami ciemnozielonych mundurów. Szli szeroką ławą od samej doliny, dziwnie wolno i uważnie rozglądając się dookoła. I pewnie doszliby tak do samej Imielnicy na plac przed gminą, gdyby nagle nie rozszczękał się jeden cekaem od koscioła, a potem drugi od cmentarza. Tyraliera przypadła do ziemi i leżała tak na imielnickich ścierniskach do samego południa, aż do momentu, gdy w dolinie pojawiły się sapiące żuki i plunęły pierwszymi pociskami na najbliższe chałupy. Michał miał ten widok wryty w pamięci aż do bólu, który kazał mu czasem zrywać się ze snu i krzyknąć na polskich żołnierzy, żeby uważali na dolinę, bo tamędy zbliża się do nich śmierć. Ale żołnierze w Michałowych snach śmiali się tylko z niego, zapalali papierosy i odwracali głowy na plac przed kościołem, gdzie w tym momencie pojawiły się właśnie wychodzące z mszy, przzerwanej strzałami, imielnickie dziewczęta.

Ema miała wtedy szesnaście lat, ale już była najładniejsza i w snach Michała nie popatrzyła wtedy na niego, nawet go nie zauważyła, tylko pognała z dziewczuchami pod mur do wojskowych okopów.

Pisnęła pod Michałową kosą przecięta mysz i to go sprowadziło na powrót do tego miejsca, gdzie od samego rana kosił rodzicielską łąkę pod Grapą. Przez trzy poprzednie dni wspólnie ze wszystkimi herodami wykosili do imentu całą łąkę u Molendów. Molendowie chcieli im za to płacić, częstowali piwem i poleśnikami, ale herody grosza nie wzięli i jeszcze wbili orstwie, żeby już się Molenda nie musiał potem mordować. Kosili tę łąkę jak na wyścigi, a całą ich zapłatą były wdzięczne spojrzenia Molendy, który rozgrabiał ściętą trawę i ukradkiem ocierał łzy. Od wczoraj każdy kosił u siebie, Michałowi zostało jeszcze trochę na Grapie, ale już kończył, bo po południu obiecał Emie, że im skosi na Sigle. W samo południe dociął ostatnim pokosem do samej góry, przyjrzał się z zadowoleniem dobrze wykonanej robocie, wspomniawszy dawne czasy, gdy matka leciałyby już do ojca i do niego z pełnym dzbankiem piwa. Teraz nikt ku niemu nie biegł, nikt go nie pochwalił, nie pogładził po głowie i Michał szybko zbiegł z tego miejsca, które wydało mu się bardzo smutne i puste.

Z chałupy porwał tylko drugą, wyklepaną jeszcze wczoraj kosę i poszedł na Cieślarową łąkę, która graniczyła z Kukuczkiowym sadem. Napił się wody ze źródelka pod lasem i równymi pokosami zaczął kłaść na ziemię wysoką i trochę już przekwitniętą trawę.

Połowa łąki była skoszona, gdy dostrzegł biegnącą z grabiami Emę.

Dopadła go zdyszana i z wymówkami, czemu najpierw nie zjrzał do nich, czekały z matką z obiadem, ale potem doszły do wniosku, że już chyba nie przyjdzie i wybierały się właśnie przebierać stare ziemniaki, gdy usłyszała ostrzoną na ich łące kosę, więc porwała tylko grabie i już jest.

Michał odpowiedział, że pobaby nie zaczyna się nigdy od poczętku, tylko od roboty i jał szybko- mi ruchami ostrzyć kosę, by zebrać myśli na dalszą rozmowę i ewentualne wytłumaczenie się, co porabił przez ostatnie dni. Ale Ema, zawstydzona widocznie spóźnieniem się do roztrząsania, bez słowa zajęła się swoją robotą, tylko migały jej opalone ręce i nogi. I to jeszcze Michał zauważył, że nic nie miała pod krótką bluzką, która już się jej przylepiała od spoconych piersi, za każdym zagrabieniem przeskakujących z jednej strony na drugą. Mocniej ujął kosę i postanowił sobie, że nie spojrzy do tyłu, aż dopiero na samym końcu, przy płocie. Ale nie wytrzymał w tym postanowieniu i raz po raz, niby to ocierając kosę do bruszenia, rzucał na Emę pożądliwe spojrzeń. Ema roztrząsała trawę, która po jej przejściu wyglądała jak nastrozona morska fala ze sterzącą w górze grzywą. I tak przechodząc łąkę tam i w powrotem pozostawiali po sobie coraz szersze zielone morze, które kładło się łagodnymi zakosami jak fale na delikatnym wietrze. W samym środku łąki Michał wbił kosę w ziemię i usiadł na trawie patrząc, jak Ema zbliża się ku niemu z furkoczącymi w rękach grabiami. Gdy była już blisko niego, chwycił za koniec grabi i pociągnął ku sobie. Dziewczyna ich nie puszczała i tak się niby to mocowali przez chwilę, w czasie której Ema zbliżała się do niego coraz bardziej, aż znalazła się tak blisko, że uchwycił ją w pól i przewrócił obok siebie. Nie broniła się za mocno, ot tak, jak wypadało, patrzyła tylko w niebo szeroko otwartymi oczami i nie przymknęła ich nawet wtedy, gdy podgarnął ją do siebie, wchodząc w nią jak owej nocy w tym dziwnym śnie.

Gdy się podniósł, Ema nie poruszyła się, nie drgnęła nawet, nie zwarła nóg i nie przykryła ich zadartą spódniczką. Leżała z lekko otwartymi ustami i Michał poprzez bicie swojego serca, że bardzo szybko oddycha.

Pochylił się nad dziewczyną i zaczął ją całować po sterzących piersiach, wpijał się w nie, jakby chciał wyssać z nich całe niezaspokojone jeszcze pożądanie i tę bezwładność, która nie pozwalała jej nawet poruszyć powieką.

I jakby z innego świata doszedł go nagle jakiś głos. Odwrócił się i zobaczył stojącego o kilkanaście kroków zawstydzonego Byrtuska, który w widoczny sposób poruszał wargami, ale Michał nie mógł go jeszcze zrozumieć, dopiero po chwili pojął, że chłopak mówi mu coś ważnego, bo gestykulował przy tym rękami i aż podskakiwał w miejscu z niecierpliwością.

– Michał! – usłyszał wreszcie wyraźnie swoje imię.
– Przywiozli nowych policjantów!

I pognął Byrtusek jak szalony w dół łąki, odwrócił się tylko na samym dole, jakby sprawdzając, czy Michał idzie za nim.

Ema zwinęła się w kłębek jak kotka i zamruczała:
– On zawsze przychodzi, jak go nie trzeba!

Michał pogładził ją po rozrzuconych na trawie włosach i chciał jej powiedzieć coś bardzo ważnego, ale uznał, że tu, na łące, to jakoś nie wypada i wyciągnął się obok Emy, teraz dopiero zmęczony koszeniem i miłością.

Przed wieczorem Ema przyniosła poleśniki i mleko, jedli oboje w milczeniu, ale każde z nich myślało o czym innym. Ema o tym, że nie potrafi mu się już oprzeć, bo gdy ten chłopak jest na wyciągnięcie jej ręki, gdy tak patrzy na nią czarnymi jak węgle oczami, nie potrafi już zrobić niczego, co w takich wypadkach powinna zrobić dziewczyna, by chłopak nie pomyślał, że jest jak suka jaka na każde skinienie.

A Michał myślał zupełnie o czymś innym. O tym, że oto zjawily się w Imielnicy anioły stróże, którzy mogą, i chyba to zrobią, wprowadzić tu nowe prawa, dla niego przynajmniej nie zapowiadające niczego dobrego.

I wykręcił się z Eminego zaproszenia na kolację, pognął do domu i jako tako się ogarnawszy, wyszedł w ciemniejszą już wieś, aby wywiedzieć się czegoś bliższego na ten temat.

Emil już jakby na niego czekał, siedział na murku przed karczmą i już z daleka przywoływał go ręką. Wiedział wszystko, przynajmniej tyle, ile było trzeba, a więc to, że przyjechali w samo południe, jest ich czterech, sierżant i trzech młodszych, są z daleka i Wawarzyckuła ma im sprzątać i usługiwać, bo tak zarządził Legierski. Po południu rozeszli się dwiema dwójkami po wsi, ale do żadnej chałupy nie wstąpili, teraz siedzą u Heczki i piją piwo.

Emil mówił o tym jakby z żalem, że to nie oni są na ich miejscu. W tym momencie na progu karczmy ukazało się czterech obcych mężczyzn w byle jakich mundurach, z przewieszonymi przez plecy pepesami. Mimo zapadającego zmroku dojrzeli Emila i Michała i zaczęli się ku nim zbliżać rozszerzając się na całą uliczkę tyralierą. Trzej zatrzymali się przed murkiem, sierżant podszedł bliżej.

– Ładny mamy wieczór, prawda?

– Ładny! – odpowiedział mu Emil złączając z murku i stając obok Michała.

– Aż szkoda spać w taki wieczór, prawda? – zagajał dalej sierżant; tamci trzej stali nieporuszeni w tyle.

– Tutejsi? – zagadnął nagle innym, bardziej zdecydowanym tonem.

– No! – wyjaśnił Emil i spojrzał pytająco na Michała.

– Nas się nie trzeba bać! – sierżant pokazał w uśmiechu żółte zęby.

– My tu jesteśmy właśnie po to, żeby się nie trzeba było nikogo bać. Nikogo i niczego!

I jak nadeszli, tak odeszli w kierunku placu przed gminą, a Emil z Michałem weszli do Heczki i zamówili piwo. Gospodzki podał piwo i przysiadł się.

– Siedzieli tu dwie godziny – skarżył się – ludzie się bali wleźć!

Ganz mi interes popsują!

– Borgujecie im czy płacą? – zapytał Michał.

– A coś ty myślał? – zachnął się stary gospodzki i odszedł za kontuar, bo właśnie wwalali się do środka wszyscy starzy bywalcy, Emil upił łyk piwa.

– Powiaydz, co uni chcieli?

Ale Michał milczał, przechylał kufer to w jedną, to w drugą stronę i zastanawiał się, na ile obecność milicjantów zmieni jego plany i zamierzenia, które od pewnego czasu realizował z żelazną konsekwencją i niezłymi wynikami.

Wiedział już, że coś się zmieni, że będzie musiał bardziej uważać, ale nim ci czterej przybysze z dalekich stron poznają te ścieżki, które on zna już od dziecka, minie sporo czasu i wynajdzie na nich sposób.

Ale już nazajutrz wyniknęła nowa sensacja i leciała z chałupy do chałupy, podawana ustami wszystkich imielniczan. Oto bowiem nad ranem zjawił się kierownik Dragan. Podobno chudy taki, że go aż nie można poznać, ale cały i chyba zdrow, bo przyszedł pieszo z Grodkowa. Mówią, że przesiedział cały czas w koncentracji, ale sam nie chce o tym mówić, tylko chodzi od samego rana koło szkoły.

Z tą szkołą to też taka sprawa, że właściwie nikt nie wie, do której wsi należy. Jak ją budowali przed wojną, to tak ktoś wymyślił, żeby stanęła w samej dolinie przy drodze i żeby nikt nie miał pretensji

z Imielnicy, Bystrzycy i Lelek, że jest za blisko albo za daleko. Każde dziecko miało więc do niej kawał drogi, ale było sprawiedliwie i ludzie przystali na to, a potem patrzyli, jak rośnie i staje się najładniejszym budynkiem w całej okolicy. Pierwszym jej kierownikiem został właśnie pan Dragan, który przyjechał tu z Górnego Śląska, ale pochodził z niedaleka i od początku nie był tu kimś obcym, tylko swojakiem, a że umiał do tego grać na skrzypcach i pięknie śpiewać, nie było wesela bez niego ani żadnej innej uroczystości. A w szkole rękę też miał mocną, jak co, to walił po pysku, aż gwiazdy w oczach stawały, ale nie bił po próżnicy, tylko wtedy, jak się już komuś bardzo nazbierało. Lubili go tu ludzie i szanowali, i żalowali Dragana, jak go zabierało gestapo jeszcze w czterdziestym roku, zaraz po powrocie z kampanii wrześniowej, w której został ranny i uniknął obozu jenieckiego, jakby na swoje nieszczęście, bo trafił do koncentryka z pierwszym powiatowym transportem tutejszych księży i nauczycieli. Znaku życia od niego nie było przez tyle lat, aż tu od rana gruchnęła wiadomość, że jest, że wrócił i choć biedny taki i zmarnowany, już goni koło szkoły i zwołuje ludzi na najbliższą niedzielę. Michał postanowił nie czekać na przypadkowe jakieś z Draganem spotkanie, za bardzo go lubił i szanował, żeby nie zająć do niego natychmiast i zamiast dokosić łąkę na Grapie, poleciał ku dolinie.

Przed szkołą nie było nikogo, ale drzwi były uchylone. Wszedł do znajomego korytarza, po sufit wypełnionego siennikami i śmierdzącymi kocami.

Nie był tu od zakończenia roku szkolnego w czerwcu trzydziestego dziewiątego roku. Cała uroczystość odbywała się wtedy w sali gimnastycznej z dużą sceną, na której Michał stał wówczas w drugim rzędzie chóru, który pod batutą kierownika Dragana śpiewał na trzy głosy rotę. Wieczorem był wielki festyn, na który już w samym środku nocy przyszło kilku oficerów, którzy zjawili się niepostrzeżenie w dwóch samochodach. Dragan ich zaraz rozkręcił, podał, tak że do rana tańczyli z dziewczynkami, a miejscowa kawalerka popatrywała na nich ze złością. Oficerowie zostali jeszcze przez kilka tygodni, doglądając budowy bunkrów w Lipnicy, które wznosili junacy i tego im Michał najbardziej zazdrościł, że wieczorami palili ogniska i pisk dziewcząt niósł się aż nad graniczne szczyty. Zajrzał do paru klas, były puste i dolatywał z nich zapach terpentyny, skądś dobiegało stukanie młotka.

Dochodziło jakby z sali gimnastycznej, ale i tu nikogo nie zauważył. Wszedł dalej, stanął na środku i wtedy usłyszał zza kurtyny znajomy głos:

– Tu jestem!

Wszedł po krętych schodkach na scenę i zobaczył kierownika Dragana na samym szczycie drabiny. Przy pomocy młotka odbijał deskę za sceną.

Najpierw odleciała jedna, potem wyrwał drugą i sięgnął po coś ręką. Wtedy dopiero zobaczył Michała. Zmrużył oczy i zapytał:

– Ty żeś to Władek Bujok?

– Michał Sikora, panie kierowniku! – odkrzyknął z dołu. – I pięknie witóm!

Dragan zszedł z drabiny o Michał ujrzał przed sobą te same oczy, wyrazistą brodę, falujące, teraz już bardzo siwe włosy. Ale to było wszystko, co się zgadzało z tamtym przedwojennym Draganem, bo reszty nie poznał w tej zgarbionej i chudej postaci, aż zamrugał powiekami, czy dobrze widzi.

Dragan już szedł ku niemu przez całą szerokość sceny i przytulił do siebie kościstymi rękami. Mi-

chał też przygarnął serdecznie i aż się zdziwił, że jest o całą głowę wyższy od niego.

– Michał, synku, żyjesz? – przyglądał mu się z uwagą, nie wypuszczając z dłoni Michałowej ręki.

– Cieszę się, że i pan żyje! – odpowiedział szczerze uradowany Michał.

– Boże, aleś ty wyrósł! – przypatrywał się Michałowi ze wszystkich stron. – Chłopak z ciebie jak szóstka!

Pociągnął Michała ku drabinie, sam wszedł pierwszy i sięgnął do wybitej w suficie dziury, skąd zaczął wyjmować spore zawiniątko. Podał Michałowi dobrze opakowaną, owiniętą w gruby materiał paczkę. Szczyrykiem rozciął sznurki i zdumionemu Michałowi ukazała się długa białoczerwona chorągiew, która zawsze wisała na maszcie obok szkolnego boiska. Rozwinęli ją na całą długość sceny, Dragan stwierdził z zadowoleniem, że się wcale nie zniszczyła i wyszli z nią ze szkoły. Masztu nie było, ktoś wyrwał nawet drewniany uchwyty, wkopany kiedyś głęboko do ziemi. Dragan rozejrzał się i wskazał ręką na dach. W godzinę umocowali flagę pomiędzy rynną i kominem, spływała teraz białoczerwoną wstęgą po szarym murze.

Usiedli na schodkach przed głównym wejściem. Dragan wyjął amerykańskie papierosy, ale nie poczęstował Michała, jakby uważając, że ma koło siebie tamtego chłopca z siódmej klasy, który kilka dni temu dostał świadectwo i jeszcze nie wie, co będzie robił dalej. Palił w milczeniu, a Michał opowiadał o sobie, o Imielnicy, o każdym dniu, który tu był niby taki sam a jednak inny, bo mierzony strachem i nadzieją, i czekaniem na taki dzień, jak chociażby ten dzisiejszy, gdy znowu powiewa na szkole polska flaga, a ci, których tu tak długo nie było, siedzą na schodkach przed jej wejściem i być może czekają tylko na dzwonek, który znowu sprawi, że z klas wysypią się wrzeszczące dzieciśka.

Potem Dragan w kilku zdaniach opowiedział o sobie, gdzie był, jak skończyła się ta jego wojenna Golgota, jak jechał długo i jeszcze dłużej szedł, bo kolejne jeżdżą dopiero na niewielkich odcinkach, a on chciał tu dotrzeć jak najprędzej, żeby zdążyć na otwarcie roku szkolnego, który zaplanowany jest na drugą połowę czerwca. Umówili się, że go Michał podrzuci kiedyś furmanką do Tuszyna, bo trzeba będzie przywieźć kredę i atrament, a może dadzą jakieś zeszyty. Ale jutro Dragan pójdzie do Tuszyna pieszo, żeby zameldować w inspektoracie, że jest, że żyje i uruchamia szkołę. Michał chciał go jeszcze zapytać, jak sobie poradzi, bo tu wszystko zniszczone, w jego mieszkaniu było w czasie wojny niemieckie biuro leśne. Gdyby nie to, że sam był, zaprosiłby go do domu, ale Dragan uprzedził jego pytanie, pociągnął go za rękę i poszli do jego starego przyszkolnego mieszkania, gdzie stało teraz łóżko bez siennika, wiadro z wodą, a w kącie drewniana skrzynia i zydziel. Dragan wyjął z wiszącego na drzwiach plecaka puszkę amerykańskiej wieprzowiny i kawał przyśchniętego chleba. Jedli z wilczym apetytem, Michał słuchał a Dragan mówił, czego tu nie dokona, jaki tu teraz chór będzie, jakie przedstawienia teatralne, jakie festyny, bo wszystko jego zdaniem będzie tu teraz jeszcze lepsze, niż było. ■

Fragment powieści pióra Andrzeja Niedoby *Herody*, która ukaże się w Wydawnictwie Naukowym „Śląsk”



ŚLĄSKA OJCZYŻNA POLSZCZYŻNA

JAN MIODEK

Cera od Lucypera

„Tytuł swojej najnowszej powieści *Od jednego Lucypera* Anna Dziewit-Meller wzięła ze śląskiego przysłowia: Jaka matka, taka cera – od jednego Lucypera” – czytamy w jednym z numerów „Polityki”, a w wywiadzie z autorką w „Wysokich Obcasach Gazety Wyborczej” przysłowie to pojawia się w pełnej wersji: „Jaka marchew, taka nać, taka córka, jaka mać. Jaka matka, taka cera – od jednego Lucypera”.

Wszystkie te frazy zawierają formy bardzo ciekawe pod względem historycznojęzykowym, w wypadku zaś śląskiej *cery*, „córki” po raz kolejny można mówić o archaiczności gwar naszego regionu, o brzmieniu jakże bliskim etymologicznemu oryginałowi, od którego ogólnopolska *córka* jest bardziej oddalona.

Bo była to najpierw *dcera*, w takiej postaci utrzymująca się w czeszczyźnie, pochodząca od prasłowiańskiego rzeczownika *dkti* (w drugim przypadku *dktere*, ze zdrobnieniami *dkterka*, *dkterica*), mająca odpowiedniki morfologiczne w innych językach indoeuropejskich, np. lit. *dukte*, *dukters*, goc. *dauthar* (dziś niem. *Tochter*), gr. *thygater*, stind. *duhita*, *duhitar*, awest. *dugedar*. Wszystkie te brzmienia wiodą do praindoeuropejskiej formy *dhugheter* „córka” (pierwotnie – jak przypuszcza prof. Wiesław Boryś w swym „Słowniku etymologicznym języka polskiego” z r. 2005 – chyba „mogąca karmić piersią”).

Nietrudno zauważyć, że w śląskim wariantcie *cera* nie ma nagłosowego „d”, w języku ogólnopolskim natomiast doszło ponadto w rdzeniu naszego słowa do przejścia „e” w „o” po miękkim pierwotnie „c” i przed „r” i tak powstała *cora* – z długi wymawianym „o”, a potem, gdy przestano u nas odróżniać samogłoski długie i krótkie, „o” zaczęło się w wymowie coraz bardziej zbliżać do „u”, by się z tym dźwiękiem ostatecznie utożsamić. Zapis przez „o z kreską” – *córa* – przypomina o barwie pierwotnego dźwięku. Przez dodanie zaś do *córy* zdrobniającego

przyrostka *-ka* powstała *córka*, dziś odbierana jako formacja słotwórcza stylistycznie neutralna, podczas gdy nacechowana emocjonalnie jest *córa*.

Podobny – neutralny stylistycznie – status ma we współczesnej polszczyźnie *matka* (urzędowy, oficjalny szereg: *ojciec*, *matka*, *syn*, *córka*), tymczasem etymologicznie jest to zdrobnienie, strukturalnie przylegające do takich formacji, jak *córka*, *rączka*, *nóżka*, *lampka*, *szafka*. Jak w takim razie wyglądała neutralna postać wyrazowa odnosząca się do rodzicielki? – Była to właśnie owa *mać*, w dopełniaczu *macierze*, obecna w przysłowiu „Jaka marchew, taka nać, jaka córka, taka mać”. To kontynuant prasłowiańskiej formy *mati* (w drugim przypadku *matere*) – terminu pokrewieństwa pochodzenia indoeuropejskiego: *mater* „matka” (por. lit. *mote*, łot. *mate*, niem. *Mutter*, łac. *mater*, gr. *meter*, stind. *Mata*).

Spotkać można ową *mać* i jej drugi przyrządek *macierze* w rozlicznych tekstach staropolskich: „Rodzaj otca i macierze świętego Jana; Ociec i mać (Kazania gnieźnieńskie z końca w. XIV)”, „W grzeszech poczęła mie mać moja” (Psalterz floriański z XIV/XV w.), „Po śmierci macierze” (Kodeks dzikowski z lat 1501 i 1523), „Mać nie mogła płaczu przestać” (Legenda o świętym Aleksym z r. 1454), „I tyś jest mać tego naszego człowieka” (Sprawa chędogo o męce Pana Chrystusowej z r. 1544), „Pallas, Jowiszowa dziewczka, Apollinowa mać” (Marcin Bielski 1495–1575), „Będę i na mać pomniała” (Jan Alan Bardziński ok. 1657–1708).

Proszę sobie wyobrazić, że urobiona od podstawy słotwórczej *mać* formacja *maciora* – obecnie znacząca tyle, co „samica świni lub dzika” – pierwotnie również była określeniem „matki”: „Przydąc do domu, skarżyły maciorom, iż on czarownik kazał nam” (Rozmyślenia przemyskie o żywocie Pana Jezusa z XV w.), „Szczęśliwaś między maciory” (Jan Kochanowski 1530–1584), „Proścież Boga, wy miłe i żądne ma-

ciory, by wam nad dziatkami nie były takie to pozory” (Żale Matki Boskiej pod Krzyżem z XV w., zwane Lamentem świętokrzyżskim). Była też *maciora* określeniem „królowej pszczoły”: „Jako pszczoły bez maciory, bez matki jesteśmy” (XVII w.).

We współczesnym języku – nie będziemy tego ukrywać – *mać*, poprzedzona słowem na literę „k”, kojarzona jest, niestety, tylko z ciężkim przekleństwem.

Na temacie fleksyjnym jej dawnego dopełniacza *macierze* natomiast zbudowano funkcjonującą do dziś *macierz*, od niej zaś urobiono postacie *macierzynski*, *macierzynstwo*, *macierzanka*.

Na historycznojęzykową analizę zasługuje wreszcie obecny w tytule książki Dziewit-Meller *Lucyfer* – ze spółgłoską „p”, od wieków funkcjonujący w naszym języku jako „diabeł, szatan”: „Zrzucony w głębokość piekielną lucyfer” (Marcin Białobrzęski 1522–1586), „Na nim to przed czasy jechał Lucyfer, Boga gdy wzywał w zapasy” (Adam Mickiewicz 1798–1855).

U Cypriana Kamila Norwida (1821–1883) natomiast znajdujemy fragment: „Lucifer stary podchwyci święte wzajemności ludów” – ze spółgłoską „f” w naszym rzeczowniku.

Współczesne leksykony, np. „Uniwersalny słownik języka polskiego” pod red. prof. Stanisława Dubisza z roku 2003, notują hasło *Lucyfer*, *Lucyfer*: 1. rel. „w demonologii chrześcijańskiej przywódca zbuntowanych aniołów, strącony do piekła, władca piekła”, 2. *lucyfer*, *lucyfer* „diabeł, szatan, czart (zwycię o człowieku – jako rodzaj przezwiska)”.

Prymary jest z całą pewnością *Lucyfer* – z „f” – dosłownie w łacinie „niosący światło”. Ale że w językach słowiańskich nie było przez wieki spółgłoski wargowo-zębowej „f”, o czym pisałem już wielokrotnie, pojawił się wariant *Lucyfer* ze spółgłoską „p” – najbliższą „f” pod względem artykulacyjnym, bo dwuwargową. I chyba do dziś jest on częstszy od uzasadnionej etymologicznie *Lucyfera*. ■

„A (filmowy) statek płynie...”

Śląska edycja MFF Transatlantyk (1–8 października 2020)

ANITA SKWARA

8 października, Galą Zamknięcia w kinoteatrze Rialto, zakończyła się pierwsza śląska edycja Międzynarodowego Festiwalu Filmowego Transatlantyk. Była to zarazem dziesiąta, jubileuszowa edycja tego szczególnego święta sztuki filmowej, które w bezprecedensowej atmosferze roku 2020 ulokowało się w Katowicach. Pandemia i covid trzęsą światem – na szczęście nie stanęły na drodze Transatlantyku w takim stopniu, aby pozbawić widzów, kinomanów, kinomaniaków i melomanów dobra dziś absolutnie luksusowego – czyli UCZESTNICTWA w kulturze na żywo... Naturę i specyfikę tego cyklicznego wydarzenia mogą zdefiniować „słowa – klucze”. Pierwszym z nich – „nazwiskiem – kluczem” jest niewątpliwie osoba założyciela i dyrektora festiwalu, Jana A. P. Kaczmarek. Ten charyzmatyczny muzyk, kompozytor muzyki filmowej i teatralnej, uhonorowany Oscarem za ścieżkę dźwiękową do filmu „Marzyciel” (2005), nominowany do Złotych Globów i nagrody Brytyjskiej Akademii Filmowej – BAFTA, jest „marką kulturową” legitymizującą międzynarodowy poziom i charakter Festiwalu. „Klucze” kolejne to hasła, przez twórców festiwalu definiowane jako trzy filary, które podtrzymują konstrukcję i strategię wydarzenia. FILM – MUZYKA – EDUKACJA I INSPIRACJE... Pierwszy filar, oczywisty w przypadku festiwalu sztuki filmowej, to klasyczna, powszechna formuła projekcji filmów premierowych, przeglądów tematycznych, spotkań z twórcami, paneli dyskusyjnych, masterclasses (wykładów mistrzowskich), konkursów festiwalowych, słowem – jest tu wszystko, o czym bywalec i uczestnik wydarzenia o takim profilu może

zamarzyć. Natomiast drugi filar – muzyka filmowa obecna w tak intensywnej formule, jest immanentną wartością Transatlantyku. Oprócz Gali Otwarcia i Gali Zamknięcia tradycyjnie „oprawionych” w muzykę, Festiwal proponuje unikalne w skali światowej konkursy kompozytorskie skierowane do młodych twórców, a także programy edukacyjne z zakresu muzyki filmowej, spotkania i warsztaty z uznanymi kompozytorami. Ten festiwal chłonąc należy wieloma zmysłami... Edukacja i Inspiracje, czyli filar trzeci, to działania realizowane w kreatywnym dialogu z publicznością – z wszystkich grup wiekowych. Taka będzie przyszłość sztuki i kultury filmowej, jakie potrzeby i nawyki zostaną u odbiorców wzbudzone i wypracowane...

Transatlantyk jako festiwal już swoją nazwą deklarujący międzynarodowość i „kursku światu”, promuje mocno pojęcie, które w zasadzie można uznać za filar czwarty. To GLOKALNOŚĆ, czyli transgresyjna „zbitka” pojęć: *Transatlantyk* – w myśl koncepcji autorów Festiwalu – *jest Otwarty, Odważny i Glocalny, czyli lokalny w działaniu i tożsamości, a jednocześnie globalny w rozumieniu konsekwencji i kontekstu własnego działania.*

Nagrodę Glocal Hero, przyznawaną podczas kolejnych edycji Festiwalu, otrzymali Elżbieta i Krzysztof Pendereccy, aktor Edward Norton, Yoko Ono (za działania na rzecz pokoju na świecie) i Janina Ochojska. Natomiast FIPRESCI Platinum Award to laur, który w ramach Transatlantyku przynajmniej i firmuje szacowna stażem (dziewięćdziesięciolecie istnienia) i rangą Międzynarodowa Federacja Krytyki Filmowej. W tym roku

w Katowicach nagrodę odbierał Ken Loach. Jeden z największych (nie tylko w kinie brytyjskim) autorytetów, twórca, którego śmiało można nazwać sumieniem współczesnej kinematografii, każdym kolejnym dziełem dopisujący następny rozdział do swojego eseju o człowieku – tym człowieku, który odrzucony jest przez los, system społeczny i historię... To kino uniwersalne, wstrząsające momentami i – niezwykle ważne. Do ostatniej chwili rozważany był personalny udział Kena Loacha w Festiwalu, jednak względy bezpieczeństwa (artyista to rocznik 1936) przeważały i reżyser był obecny jedynie wirtualnie. Podczas rozmowy online, transmitowanej przy okazji wręczenia, a raczej – przekazania nagrody FIPRESCI w trakcie pięknej i poruszającej Gali Otwarcia w Sali NOSPR, twórca wspomniawszy swój pobyt w Katowicach w 2008 roku – przy okazji realizacji filmu „Polak potrzebny od zaraz”. Przede wszystkim jednak wygłosił płomienne, jak zawsze, słowa o konieczności społecznej empatii, troski i solidarności – szczególnie w obliczu świata „czasu teraźniejszego”. Zgrało się to mocno z myślą przewodnią tegorocznej edycji, która brzmiała: „Transformacja – przebudzenie, czy tylko wstrząs?”

Naszą tradycją jest – deklarował Jan A. P. Kaczmarek – *że myśląc o hasle każdej edycji, szukamy tematów aktualnych, niejednoznacznych i otwierających szeroką debatę. W marcu tego roku cały świat wcisnął przycisk pauza. To pierwsze tak intensywne, globalne doświadczenie w historii ludzkości, a jego skali jeszcze nie znamy. Jesteśmy przekonani, że hasło 10. edycji (...) uruchomi wyobraźnię widzów i pozwoli nam wszystkim szukać odpowiedzi na pytania o to, jak chcemy dalej żyć, pracować, podróżować i tworzyć.*

Dyrektorka Programowa Festiwalu, Joanna Łapińska (wcześniej długoletnia Dyrektorka Artystyczna jakże prestiżowego festiwalu T – Mobile nowe Horyzonty), w podobnym klimacie (nie sposób dzisiaj zlekceważyć, czy uciec od presji tego, co Teraz i Tutaj, a raczej – Teraz i Wszędzie...) komentowała charakter tegorocznej edycji: *Przygotowując program naszej pierwszej śląskiej odsłony Festiwalu Transatlantyk obserwowaliśmy, jak na całym świecie ludzie oraz sztuka mierzą się z pytaniem: czy wirus jest klęską ludzkości, czy jej szansą na nowe otwarcie. Mamy teraz bezprecedensową szansę zastanowić się, w jakim świecie chcemy żyć i jakie inne światy są możliwe. To ostatnie, jak zawsze, podpowiada nam kino.*

Czy ta podpowiedź przyszła do nas widzów, adresatów tego „kontyngentu” obra-

fot. Radosław Kaźmierczak



Dyrektor i twórca festiwalu Transatlantyk – Jan A.P. Kaczmarek



Joanna Łapińska

zów świata, emocji, artystycznych przesłań i refleksji zawartych w stu killkudziesięciu filmach prezentowanych podczas festiwalowych projekcji? Czy słyszeliśmy ją podczas muzycznych wydarzeń, koncertów – choćby tego inauguracyjnego w Sali NOSPR, kiedy Narodowa Orkiestra Symfoniczna Polskiego Radia pod (genialną!) batutą Moniki Wołńskiej i z udziałem mistrzyni sopranu Iwony Sobotki zaprezentowała „The Best of Jan A. P. Kaczmarek”? Prowadząca Galę Otwarcia Agnieszka Sztydlowska deklarowała swoje wzruszenie i niecodzienne emocje wynikające z tak powszechnej jeszcze przed chwilą, a tak limitowej dziś możliwości współtworzenia Spotkania Na Żywo. Już sam ten walor jest nie do przecenienia, nawet jeśli tryb uczestnictwa przykrojony i przycięty został w formę dzisiejszą, stanowiącą znak naszego czasu. Etymologia terminu „festiwal” biegnie wszak od łacińskiego „festus” – czyli – radośny, wesoły, żywy...

Stojąc w punkcie, w którym wszyscy się w tym momencie znajdujemy, o planach, nadziejach i projektach mówić można i należy w trybie przypuszczającym. Jeżeli rzeczywistość pozwoli, aby Międzynarodowy Festiwal Filmowy Transatlantyk rozwinął się w śląskich przestrzeniach, to region zyska znakomite i prestiżowe wydarzenie kulturalne, które pozwoli na bezpośredni kontakt ze światowym kinem. Flagową dyscypliną sztuki jest tu, na Śląsku, oczywiście muzyka, co definiuje już choćby uzyskany przez Katowice tytuł Miasta Kreatywnego UNESCO w dziedzinie muzyki. Łączy się to znakomicie z profilem Transatlantyku z „ducha muzyki filmowej” zrodzonego... Śląskie środowisko filmowe, wyjątkowa na mapie kraju pozycja Szkoły Filmowej im. K. Kiesłowskiego Uniwersytetu Śląskiego współtworzą kulturowy potencjał miejsca, które może okazać się dla Transatlantyku dogodnym, docelowym portem...

II Laudacja FIPRESCI Platinum Award 2020 przyznanej Kenowi Loachowi

Szanowny Laureacie. Szanowni Państwo – przypadł mi w udziale zaszczyt wręczenia

szczególnego wyróżnienia – FIPRESCI Platinum Award 2020. Decyzja Międzynarodowej Federacji Krytyków Filmowych, aby wyróżnić tym laurem Kena Loacha, została przyjęta przez całe środowisko z ogromnym entuzjazmem. Wręczamy ją dzisiaj w szczególnych warunkach – fizyczna współobecność w publicznej przestrzeni stała się luksusem. Światem trzęsie pandemia. Czy zatrząsą się również ludzkie sumienia? Czy staniemy się bardziej wrażliwi, uważni, mniej drapieżni w stosunku do siebie nawzajem? O taką możliwość Ken Loach pyta w swojej sztuce od zawsze i zawsze jest w tym twórczym niepokoju „jeden krok do przodu” przed światem – niczym brytyjski „wzorzec z Sevres” kina społecznie zaangażowanego. Każdy twórca filmowy, który decyduje się, aby podjąć takie wyzwanie i skierować swoją uwagę ku problemom społecznym, musi mieć świadomość, że wcześniej był już tam Ken Loach...

Od sześciu dekad tworzy kino, które scharakteryzować można przy pomocy 3 słów: Czułość, Czujność i Odpowiedzialność. Czułość wobec swoich bohaterów, których losy przedstawia paradoksalną kamerą. To ci, którzy z ekranu mówią do nas, widzów: „*Nie wszyscy żyjemy w takim świecie jak ten Wasz – śliczny, uporządkowany. Niektórzy z nas nie mają żadnego wyboru.*”. Ale Artysta – ma wybór... Jest w stanie, jak Ken Loach, prześwietlać systemy, ideologie i społeczne struktury na okoliczność ludzkiej krzywdy. Artysta, jak Ken Loach, jest w mocy patrzeć na świat, nasz ludzki świat ze szczególną Czujnością, wzbudzoną po to, aby czynić go lepszym miejscem. Jest to zarazem najgłębsza Odpowiedzialność – za temat, za wizerunek postaci, za prawdę ekranu i za filmową formę. Mając do dyspozycji dwie ścieżki filmowca – wiarę w obraz, lub wiarę w rzeczywistość – wybiera tę drugą. Ufa aktorowi nieprofesjonalnemu, wierzy w symboliczny potencjał nieupozowanej rzeczywistości, tej najmniej atrakcyjnej, na którą przymykamy oczy, aby widzieć – mniej.

Dzięki mistrzowskiemu opanowaniu rzemiosła filmowego jest w stanie wykrzesać z tych tematów i obrazów ekranową prawdę – i piękno – nawet jeśli czasem jest ono rozpaczliwie smutnym pięknem... *Kes* – legendarny obraz, który Ken Loach zrealizował w 1969 jest powszechnie uważany za jeden z najwybitniejszych filmów w historii kina brytyjskiego.

Ekonomiczne patologie, takie jak ubóstwo, bezrobocie, bezdomność będące przekleństwem współczesnego świata, są obecne bez względu na tego świata liczbę porządkową – występują nie tylko w Trzecim Świecie, ale też w tym „Pierwszym”, najzamożniejszym i pozornie najdoskonalszym – co wstrząsająco pokazuje nagrodzony Złotą Palmą *Ja, Daniel Blake*.

Absolutny uniwersalizm tego kina prowadzi na myśl (pomimo, że to inna, szczęśliwsza bajka) przesłanie „Cudu w Mediolanie” zrealizowanego przez Vittorio De Sikę w 1951 r. Bohater tego filmu – Toto, głosi najbardziej oczywistą i fundamentalną prawdę: Wszyscy mamy dziecięce palców.

Tak jak włoski neorealizm, tak kino Kena Loacha nie wymaga więc translacji – wymaga natomiast otwartości serca i umysłu na Sprawy Innych.

Można postawić pytanie – czy sztuka filmowa jest w stanie zmieniać świat i wpływać na jego przyszły kształt. Polskie Kino Moralnego Niepokoju, tworzone przez Agnieszkę Holland, Krzysztofa Kiesłowskiego, Andrzeja Wajdę, Krzysztofa Zanussiiego ze swoim pełnym pasji społecznym przesłaniem dekady temu przekształciło zbiorową świadomość w naszym kraju... Film Kena Loacha *Cathy wróć do domu* z 1966 roku dzięki sile swojej społecznej wymowy doprowadził do zmiany praw, jakie posiadają bezdomni. Od sześćdziesięciu lat autor tak wyjątkowych dzieł jak *Kes*, *Riff Raff*, *Mam na imię Joe*, *Nie ma nas w domu* konsekwentnie tworzy Kino Moralnego Niepokoju... Oby ten niepokój, oby ta Czujność nie ucichły nigdy.

Isaac Newton powiedział kiedyś: *Jeśli widzę dalej niż inni, to dlatego, że stoję na barkach gigantów*. Ken Loach jest jednym z nich – stoimy na Jego barkach i patrzymy na świat Jego oczyma. Świat widziany z tej perspektywy nie jest jeszcze najlepszym ze światów, domaga się naprawy, ale istnieje w nim przestrzeń nadziei.

Muzyka to skrzydła sztuki filmowej. Drogi Mistrzu – ślemy w Twoją stronę dobre duchy tej wyjątkowej sali koncertowej. Niech strzegą Ciebie, Twoje plany i marzenia. Mamy nadzieję, że kiedyś przywiodą Twoją osobę tutaj, do Katowic. ■

Od redakcji: tekst powyższej laudacji został przygotowany i wygłoszony na Gali Otwarcia MFF Transatlantyk przez Anitę Skwarę, członkinię FIPRESCI i Europejskiej Akademii Filmowej.

Autorka dziękuje organizatorom MFF Transatlantyk za udostępnienie zdjęć.



Gala Otwarcia, wręczenie Nagrody Fipresci Platinum Award 2020, Laureat Ken Loach w rozmowie online



Laudacja Nagrody Fipresci na cześć Kena Loacha, Jan A.P. Kaczmarek, Anita Skwara



Ulica Hallera na osiedlu „Familoki” w Czerwionce ze starannie utrzymanymi przez lokatorów trawnikami. Miejsce zabaw dla dzieci i spotkań z sąsiadami



Osiedle „Familoki” w Czerwionce. Pięknie zadbana ulica Mickiewicza

Śląskie familoki. Osiedle mieszkaniowe czy skansen?

MARIAN UHEREK

W krajobrazie śląskich miast często pojawiają się charakterystyczne osiedla z czerwonej cegły. To popularne familoki, stanowiące istotną część naszej regionalnej historii i naszej śląskiej tożsamości.

Te powstałe w czasie rewolucji przemysłowej kolonie robotnicze to zdumiewające osiedla. Były budowane tylko w XIX i na przełomie XIX i XX wieku, jako element towarzyszący wielkim inwestycjom, takim jak budowa kopalń czy hut. Nie pojawiły się one nigdzie indziej, ani w żadnym innym czasie. Jak na okres, w którym powstały, były bardzo nowoczesne. Każde mieszkanie składało się z kuchni i izby, a w niektórych przypadkach posiadało nawet prymitywną ubikację, co było rzadkością nawet w budowanych wtedy domach jednorodzinnych. Familoki były zbudowane nie tylko solidnie, ale również z dużą dbałością o estetykę i architekturę całości osiedla. Szczególnie te wybudowane według koncepcji miasta ogrodu, miały piękne elewacje, ładnie wykończenia, a nawet elementy zdobnicze. Stały w otoczeniu zieleni, a dojazd do nich zapewniały brukowane ulice.

O ile życie mieszkańców kolonii robotniczej jest dość dokładnie poznane, a nawet uwiecznione w literaturze czy filmie (niezapomniana „Perła w koronie”), o tyle samo jego funkcjonowanie, eksploatacja i zarządzanie są tematami zupełnie nieznanymi. Familoki rzadko kiedy były przedmiotem badań architektów lub socjologów. W tej sytuacji instytucje zarządzające osiedlem, nie zadając sobie trudu poznania specyfiki jego budowy i nie zauważając jego piękna oraz wartości historycznej, przez dziesiątki lat wręcz dewastowały zabytkową substancję mieszkaniową, nazywając to przebudową, modernizacją lub unowocześnieniem. Zaczynając od lat siedemdziesiątych, kiedy zaczęto masowo budować blokowiska z tzw. wielkiej płyty, mieszkania w familokach bez centralnego ogrzewania, nowoczesnej łazienki i gazu, stały się symbolem zacofania. W tej sytuacji osiedla familoków z czasem zaczęły być kojarzone z biedą i niedorozwojem. Brak koniecznych inwestycji dopełnił czarę goryczy. Po pewnym czasie mieszkać na familokach oznaczało mieszkać w innym, niestety gorszym świecie. Osiedla robotnicze zaczęły funkcjonować jako dzielnice biedy wręcz getta.

Obecnie, od kiedy familoki są własnością samorządów, życie mieszkańców zaczyna się poprawiać. Mieszkania są remontowane i przystosowywane do współczesnych wymogów. Niestety wraz z remontami pojawił się nowy problem – utrata wartości historycznych i kulturowych zabytkowych osiedli robotniczych. Plastikowe okna wstawiane przez najemców są bardzo wygodne, ale niweczą całe piękno elewacji. Okna połaciowe w spadzistym dachówkowym dachu dają więcej światła w mieszkaniu, ale zaburzają cały wygląd osiedla. Pojawiają się wręcz barbarzyńskie pomysły, takie jak pokrycie całej elewacji styropianem, a następnie pomalowanie jej na czerwono. Daje to duże oszczędności przy ogrzewaniu mieszkań, nie ma jednak nic wspólnego z właściwym podejściem do naszej historii. Ta destrukcyjna działalność, chociaż odbywała się w całej Polsce, szczególnie boli nas, Ślązaków, gdzie familoki mają szczególne miejsce w naszej regionalnej kulturze.

Osiedla familoków trzeba remontować i modernizować. Co do tego nie ma wątpliwości. Nie jest do pomyślenia, aby ktoś w pierwszej połowie XXI wieku nie posiadał łazienki, gotował obiad na węglowym palenisku i ogrzewał mieszkanie za pomocą węglowego pieca. Osiedle familoków to nie skansen, ale autentyczne, miejskie osiedle, które jest miejscem do życia dla wielu setek, a nawet tysięcy rodzin. Należy im zapewnić właściwe warunki do pracy i odpoczynku, a także możliwość wychowywania dzieci, robienia zakupów i codziennego spokojnego realizowania obowiązków domowych. Mieszkania w familokach muszą być nowoczesne i przystosowane do współczesnych wymogów, a w otoczeniu osiedla muszą znaleźć się wszystkie niezbędne elementy infrastruktury, takie jak szkoła, przedszkole, plac zabaw czy zwykły kawałek trawnika, gdzie można usiąść na ławeczce i poplotkować z sąsiadką.

Zachodzi więc podstawowe pytanie. Czy można tak zmodernizować zabytkowe XIX wieczne osiedle robotnicze, aby nie utracić nic z jego walorów historycznych i kulturowych, a jednocześnie aby było to miejsce przyjazne współczesnemu człowiekowi?

Odpowiedź jest oczywiście pozytywna, jednak pod pewnymi warunkami. Jakiegokolwiek wymogi, obojęt-

nie: życiowe, budowlane czy prawne, nie mogą dawać uprawnień do niszczenia naszego Śląskiego dziedzictwa. Osiedle familoków musi pozostać osiedlem familoków, a nie jego groteskową namiastką rodem z plastikowych zamków. Elewacje poszczególnych budynków muszą być pieczołowicie odtworzone łącznie z drewnianymi oknami, historycznymi drzwiami i elementami zdobniczymi. Dachy muszą być zrekonstruowane bardzo dokładnie, bez połaciowych okien i dodatkowych nawiewników. Jeżeli trzeba będzie wybudować nowy komin wentylacyjny bo taka będzie potrzeba wynikająca z prawa budowlanego komin mający 100 lat nie może różnić się od tego, który ma jeden dzień. Inaczej jest z przebudową pomieszczeń wewnętrznych. Te mogą być, a w niektórych wypadkach nawet muszą ulegać zmianom. Mieszkania obowiązkowo powinny być wyposażone w centralne ogrzewanie, nowoczesne systemy wentylacyjne i funkcjonalne łazienki. Ale i w takich przypadkach nie powinno się wprowadzać zmian tylko ze względu na panującą modę. Czy wymienić drzwi w pomieszczeniach piwnicznych? Niekoniecznie. Nowe drzwi z pewnością będą ładniejsze i bardziej funkcjonalne, ale te stare, z kutymi zamkami, mają w sobie niezapomniany urok.

Utrzymanie osiedla familoków w jego historycznej postaci stanowi oczywiście pewne obciążenie dla mieszkańców, szczególnie w sferze finansowej. Jest to częsty argument ludzi, którzy nie rozumiejąc, jakim ważnym elementem naszej tożsamości są robotnicze osiedla, przeprowadzają remonty. Plastikowe okno w typowych rozmiarach jest trzy razy tańsze od tego, które spełnia wymogi konserwatora zabytków. Ale zabytkowej elewacji nie kupi się za żadne pieniądze, a wstawienie plastikowego okna niszczy ją dokumentnie. Nie możemy przeliczać swojej tradycji na pieniądze. Dbajmy o nasze familoki za wszelką cenę. Pamiętajmy, że pozostałe jeszcze, pochodzące z XIX wieku kolonie robotnicze, są ważnymi artefaktami stanowiącymi dziedzictwo naszej śląskiej kultury. Należy obchodzić się z nimi z należytyym szacunkiem, ponieważ są to współcześni świadkowie naszego wkładu w rozwój cywilizacyjny Europy.

Bohaterowie Republiki Zagłębiowskiej

ARKADIUSZ RYBAK, AGNIESZKA ZIELIŃSKA

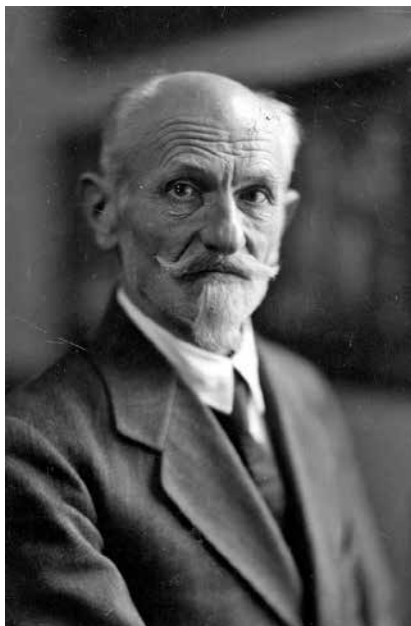
Istniejąca od 31 października do 10 listopada 1905 r. Republika Zagłębiowska, gdy działacze patriotyczni przejęli kontrolę nad obszarem Zagłębia, oraz ich losy – to stosunkowo mało znane fakty. Przeciwno niewoli rosyjskiej z bronią w ręku walczyły setki osób i jak Edward Miętka, Jan Balaga, czy Józef Mirecki oddały życie za swoje przekonania. Inni, jak choćby Halina Czechowska i Adam Piwowar, późniejszy prezydent Dąbrowy Górniczej, dożyli czasów niepodległej Polski, by pracować na jej rzecz.

Realia spisku i tajemnicy

Stanisław Andrzej Radek ps. „Osa” (1886–1944), działacz niepodległościowy i senator II RP w latach 1928–1930 napisze w swojej książce o wydarzeniach z 1905 r.: „Zagłębie węglowe – robotnicy Sosnowca i Dąbrowy byli wśród pionierów, którzy w warunkach odbierających wszelką wiarygodność, przyjęli na siebie wielki trud wyzwolenia społecznego i walkę o niepodległość Polski”. Podobnie w opinii późniejszego marszałka Józefa Piłsudskiego: „drobne miasta i osady fabryczne stanowią najlepszy teren dla robót organizatorskich wymagających tajemnicy, spisku, dają one większą liczbę ludzi i większą łatwość poruszania nimi w porównaniu z wsią. To rozmieszczenie terytorialne różnych kategorii ludności odegrało także samą rolę w r. 1863, jak i w 1905. Podczas ostatniej rewolucji Zagłębie było ostatnim punktem, gdzie jeszcze ruch trwał po zgnieceniu go wszędzie”. Także żona Piłsudskiego Aleksandra Szczerbińska, wspomina, że przed napadem na pociąg na stacji Bezdany 26 września 1908 r. pojechała do Sosnowca.

– Pan Dehnel, sztygar, wydawał dla nas dynamit w kopalni „Saturn”. Akcja bezdańska była typową akcją dywersyjną na tyłach wroga. 200 tys. rubli, któreśmy wtedy zdobyli, poszło na zakup broni, szkolenie przyszłych oficerów i uwalnianie więźniów, członków PPS – Frakcji rewolucyjnej – czytamy we wspomnieniach Aleksandry Piłsudskiej.

Stanisław Wojciechowski ps. „Wacław” (1869–1953), prezydent II RP w latach 1922–1926 wspomina o wydawanym w Zagłębiu dzięki młodym sztygarom piśmie Polskiej Partii Socja-

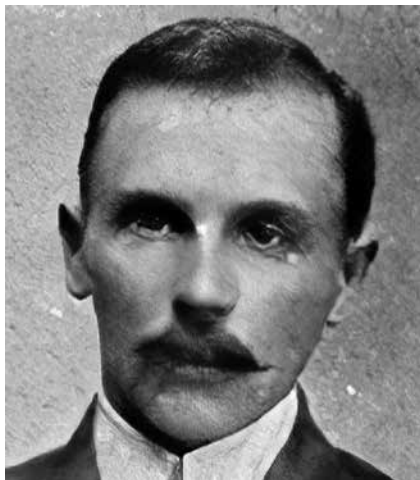


Stanisław Wojciechowski. Fot. arch.

listycznej, przypominając, iż głównym celem PPS było odzyskanie przez Polskę niepodległości i osłabienie wpływów rosyjskich. Wojciechowski wymienia nazwiska: Aleksego Ćwiercia-kiewicza, Faustyna Czerwiowskiego, Tytusa Filipowicza i Jana Rutkiewicza.

Republika Zagłębiowska

Tytus Filipowicz ps. „Teodor” (1878–1953) kończy szkołę zawodową i pracuje w kopalni „Flora” w Dąbrowie, do I wojny światowej działa w konspiracji, po odzyskaniu przez Polskę niepodległości będzie dyplomatą i m.in. wiceministrem MSZ. Umrze na emigracji w Londynie w 1953 r., z dala



Tytus Filipowicz. Fot. arch.

od kraju w obronie którego walczył. Rok 1905 opisuje następująco:

„Miałem zostać górnikiem i w tym celu wstąpiłem do Dąbrowskiej Szkoły Górniczej. Kilkanaście tysięcy górników i hutników wychowanych w zasadach rygorystycznych po raz pierwszy usłyszało o samodzielności robotniczej i możliwości załatwiania szeregów spraw codziennych, inaczej aniżeli robione to było dotychczas. Inaczej mówiąc w owym okresie czasu zaczął rosnąć nowoczesny ruch robotniczy.



Adam Piwowar. Fot. arch.

Z nim razem pojawili się jego nowocześni nosiciele – socjaliści”.

Ze „Sztzygarką” związanych jest wielu działaczy patriotycznych, przede wszystkim Adam Piwowar, późniejszy prezydent Dąbrowy Górniczej, carski zesłaniec do Archangielska. W latach 1905–1908 dom Piwowarów w Dąbrowie (jego żoną jest Halina Czechowska ps. „Olena”) był otwarty dla „bojowców PPS, transportu nielegalnej literatury”, a oni sami „są zawsze gotowi do pracy rewolucyjnej”. Małżonkowie rywalizowali nawet ze sobą pod tym względem. W 1907 r. w Strzemieszyczach Małych (dziś w granicach Dąbrowy Górniczej) przez pół roku działała nielegalna drukarnia w domu górnika Ignacego Zawadzkiego ps. „Władek” (1870–1940). Ochrona – carska policja polityczna z wściekłością szukała drukarni w Sosnowcu, Będzinie i Dąbrowie, nie przyszło im do głowy, że może funkcjonować w domu na wsi.

To młodzi patrioci w terminie od 31

października do 10 listopada 1905 r. doprowadzą do utworzenia na terenie Zagłębia – Republiki Zagłębiowskiej. Na terenie Dąbrowy, Będzina, Czeldzi i Sosnowca działacze patriotyczni (głównie członkowie PPS i innych organizacji robotniczych) przejmują władzę z rąk policji i carskich żandarmów. Po tym okresie represje jeszcze się nasila, (np. w Sosnowcu zostaje zamordowanych blisko 40 robotników), a dopiero w 1918 r. Polsce uda się odzyskać niepodległość, ale wydarzenia z 1905 r. będą ważnym krokiem w tym kierunku.

Naczelnicy też idą w ogień

Przyjrzyjmy się biografii kolejnych działaczy. Edward Miętka ps. „Buchalter” (1884–1906) mieszka z rodzicami i 13-ściorgiem rodzeństwa w Zagórzcu, pracuje w zakładach „Fitzner-Gamper” w Dąbrowie (późniejszy zakłady „Ponar-Defum”, dziś obszar rekreacji Fabryka Pełna Życia). Ma zaledwie 22 lata, gdy z bombą domowej produkcji atakuje w pojedynkę w 1906 r. koszarę kozaków w Dąbrowie.

„Na znak, że naród polski nie uznaje nad sobą zwierzchności najezdniczego rządu rosyjskiego rzuca w dniu otwarcia carskiej Dumy – parlamentu, bombę do koszar” – opisuje Stanisław Andrzej Radek.

Bomba nie wybucha. Edward Miętka ginie po strzale z pistoletu jednego

z kozaków. Rosjanie masakrują jego zwłoki. Zostaje pochowany w ziemnym grobie. W latach 30. zostanie uczczony tablicą pamiątkową. Na cmentarzu przy ul. Starocmentarnej w Dąbrowie Górniczej odbędą się wielkie uroczystości patriotyczne, a bohater zostanie odznaczony w 1937 r. krzyżem z mie-



Jan Balaga. Fot. arch.

czami „za pracę w dziele odzyskania niepodległości” przez Walerego Ślawnika, premiera RP. Wcześniej jego rodzinę też dosięgną represje, a pamięć o bohaterze będzie opowiada-

na z pokolenia na pokolenie. „Mamo nie będę teraz jadł, bo muszę iść załatwić jedną sprawę. jak wrócę zdrowy, to obiad zjem” – powie przed wyjściem na akcję. (Jego słowa przytoczy Janina Dydak, córka brata, rocznik 1922, która mieszka w Dąbrowie Górniczej).

Także Jan Balaga ps. „Stefan” (1882–1909) odda życie za swoje przekonania. Jan jest pracownikiem kopalni „Kazimierz” w Zagłębiu Dąbrowskim, pełni funkcję instruktora Orga-

nizacji Bojowej, bierze udział w wielu akcjach terrorystycznych. Również w napadzie na pociąg pocztowy pod Ślawnikowem, gdzie patriotom udaje się zdobyć 12 tys. rubli (była to wypłata dla kolejarzy). Pieniądze zostają przeznaczone na zakup broni, pomoc



Józef Mirecki. Fot. arch.

rannym i wsparcie dla rodzin zamordowanych. Balaga ginie w 1909 r. Pełnia samobójstwo, gdy policja i carscy żołnierze osaczają go przy chłodni jednej z fabryk.

„Dzisiaj nadszedł nasz koniec, nie traćmy nabożów na darmo” – mówi wcześniej do swoich współpracowników.

Józef Mirecki ps. „Montwiłł” (1879–1908), jest uczniem „Szttygarki”, potem pracownikiem huty „Bankowej” w Dąbrowie. Aktywnie włącza się w działalność patriotyczną. Uczestniczy m.in. w ataku na pociąg pod Rogowem koło Łodzi. Zostaje aresztowany przez władze carskie i stracony w Cytadeli Warszawskiej 1908 r.

„Śmierć moja położy wreszcie kres oszczercom plotkom, że naczelnicy umieją tylko innych wysłać na śmierć, a sami w ogień nie idą. Po drugie doda bodźca pozostałym bić się aż do zwycięstwa. Jest u nas w zwyczaju umierać z krzykiem. Krzyków w ogóle nie lubię, jeśli jednak wydać go padnie, to będzie jedynie – Niech żyje Polska niepodległa” – pisze Mirecki tuż przed śmiercią.

W Dąbrowie Górniczej i Sosnowcu Józef Mirecki jest obecnie patronem ulic. ■

Cytaty w materiale pochodzą z wystawy „Twarze Rewolucji 1905”, którą Muzeum Miejskie „Szttygarka” będzie prezentować od 31 października do końca 2020 r. w Fabryce Pełnej Życia w Dąbrowie Górniczej. Autorem scenariusza wystawy jest Arkadiusz Rybak.

fot. arch. rodziny Edwarda Miętki



Grób Edwarda Miętki, 1934 r.

„Podczas morowego powietrza, wypędzając z głowy melancholiją” Hiacynta Przetockiego *Postny obiad albo zabaweczka*

JAN MALICKI

Można byłoby rzec: *nihil novi sub sole*, gdyby nie groza nieuchronności. Epidemie zawsze bowiem towarzyszyły ludziom. Będąc w orszaku apokaliptycznych jeźdźców uderzały znienacka, siejąc wśród ludzi spustoszenie przez długie, długie lata. Ba, były determinantem korygującym i współtworzącym dzieje naszego narodu. I to od zawsze.

Pierwsze wiadomości pochodzą już z lat 985 i 987, a nie uwierzę, że wtedy zaczął się dopiero karnawał nadaktywności śmierci. Jak obliczyli uczeni, w przełomowym dla przebudowywanej własnie kultury średniowiecza XIII wieku, pandemia trwała w Polsce ok. 20 lat. W momencie dalszych przekształceń kulturowych kraju,

kreujących renesans – XIV i XV w. – już 32 lata. W następnych stuleciach – XVI i XVII – wybuchające raz zarazem epidemie trwały po przeszło 50 parę lat. Połowę stulecia.

Po dziś dzień wznoszona suplika „od powietrza, głodu, ognia i wojny zachowaj nas, Panie”, nabierała wówczas coraz bardziej dramatycznego, tragicznego, apokaliptycznego wymiaru.

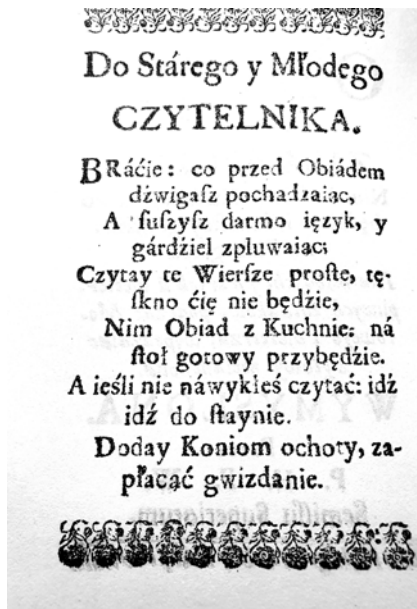
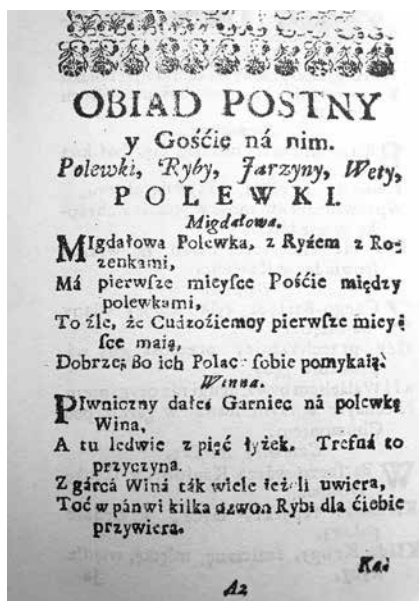
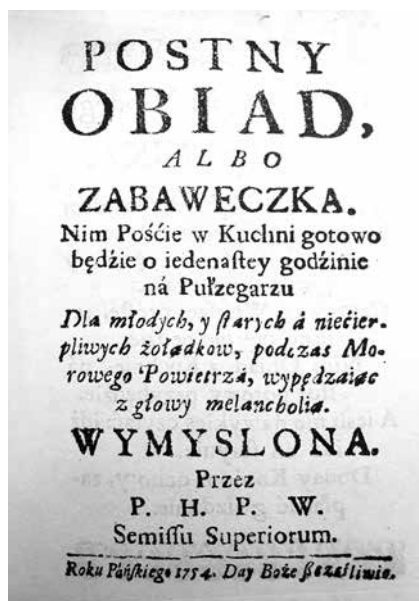
Dla twórców zaś była swoistą inspiracją; jak zapewne około 1498 roku dla Albrechta Durera, tworzącego cykl drzeworytniczy *Apokalipsa*. Człowiek stawał się coraz bardziej bezbronny. Próbował się ratować. Niestety, bezskutecznie.

Już w 1542 roku Andrzej z Ko-

bylina wydał pierwszą w języku polskim pracę *Rządzenie bardzo dobre przeciw powietrzu morowemu*. A nie była to jedyna tego typu publikacja. Wskazywał przyczyny, objawy, jak też środki zapobiegawcze. Lekarze ówczesni twierdzili, iż przyczyną jest „mgła gęsta”, „zaduch”, „jadowita para”.

Para ta – piszą – *dostawszy się z wciągniętem powietrzem do krwi, zapala i zaraża ją, a z krwią przecisnąwszy się do serca zabija człowieka*. Wskazują też jej objawy: zimno i dreszcz, później stała gorączka, niezwykła ociężałość, ból i zawroty głowy, *odchodzenie od rozumu, bólączki czyli dymienice, śmierć prędką*. Wskazywali też środki zapobiegawcze.

I...nic się nie zmieniło.



Oddajmy zatem głos dr. Giedrojciami, relacjonującemu walkę z pandemią sprzed stuleci: *Żąda-li już dawni lekarze, aby od przyjezdnych do miasta wymagano świadectw, iż przybywają z okolic wolnych od zarazy, aby podejrzanych „wietrzyć” za miastem przez 6 tygodni. W miejscu zarazy mieć dostateczną liczbę lekarzów, cyrulików, osobnych posługaczów do chorych, tragarzów i grabarzów. Także wszystkich, mających styczność z chorymi, zaopatrzyć w oznaki, np. krzyże białe na piersiach i plecach, mieć zapas pieniędzy na żywność i lekarstwa dla ubogich, psy i koty, biegające z domu do domu, z miasta do miasta usunąć, śledzić pojawienie się moru w każdym domu, zbudować za miastem dla chorych i podejrzanych sporo małych oddzielnych domków z desek, towary podejrzane w przeznaczonych ku temu szopach wietrzyć...*

Jedynym skutecznym ratunkiem był wyjazd z miasta; tak, jak to uczynili król Zygmunt August i Jan Kochanowski ok. 1570 roku, podczas pandemii trwającej wtedy całe trzy lata. W Krakowie zaś pozostał jego przyjaciel i preceptor Stanisław Grzepski, autor pierwszej polskiej książki technicznej. Zmarł od melancholii i zarazy.

Nieprzypadkowo przywołałem tu dwa skrzydła apokalipsy spełnionej; stan niemocy, zwłaszcza twórczej, bezradność człowieka i – drugiej strony – jego przeznaczenie, skazanie na nicość w przestrzeni horyzontalnej.

To znowu Albrecht Dürer i jego miedzioryty z lat 1513–14: *Rycerz, Śmierć i Diabeł* – symbol życia aktywnego w dążeniu *ad caelestem patriam*, do ojczyzny niebieskiej; *Św. Hieronim w celi* – symbol życia wewnętrznego, kontemplacyjnego; i konkluzja: *Melancholia I*. Wszechogarniająca niemożność. Ale w każdej z tych sytuacji człowiekowi towarzyszy wierny pies. Tę ograniczoność codzienności próbowano przezwyciężyć.

Wtedy powstawały arcydzieła, takie jak *Dekameron* Boccaccia, ale też teksty minorum gentium, jak np. wydana „Roku Pańskiego 1754. Daj Boże szczęśliwego” mała, ciekawa, acz pominięta przez autorów *Bibliografii piśmiennictwa polskiego*. Nowy Korbut edycja zatytułowana *Postny OBIAD albo ZABAWECZKA, nim w poście w kuchni gotowo będzie o jedenastej godzinie na półzegarzu. Dla młodych i starych a niecierpliwych żołądków, podczas morowego powietrza, wypędzając z głowy melancholiję WYMYŚLONA przez P.H.P.W. Semissu Superiorium*.

Dziś już wiemy, że „*Postny obiad*” po raz pierwszy został opublikowany sto lat wcześniej; wiemy też przez kogo był napisany. To ks. Hiacynt Przetocki (ok. 1599 – ok. 1655), jezuita, pedagog w Poznaniu i Lwowie, dziekan radomski, kaznodzieja, właściciel niezwykłego księgozbioru, przekazanego konfratrom w Rawie. Był też proboszczem w Wysokiej. Tam też zapewne powstał „*Postny obiad*” w latach ok. 1626–49 i wydany zresztą pod kryptonimem P[leban]. H[iacynt]. P[rzetocki]. W[ysocki]. Nie jedyny zresztą.

W tym smutnym czasie Przetocki ogłosił jeszcze *Uciechy lepsze i pożyteczniejsze a niżeli z Bachusem i z Wenerą przez P.H.P.W. gdy sobie, podczas morowego powietrza, słuszna z głowy melancholiją wybijał, w mięsopusty zmyślone i napisane* (Kraków 1655) oraz *Heco abo zajączek dla uciechy J.M.P. Mikołaja z Przytyka Podłódowskiego... pod borem zaostrońskim upatrzony* (Kraków 1650).

Jednak właśnie *Postny obiad* stał się tekstem wydawanym w następnym stuleciu, na dodatek łącz-

nie z pierwszą książką kucharską *Compendium Ferculorum albo zebranie potraw* Stanisława Czernieckiego. Ba, stanowią jeden klocek, jak w zachowanej edycji z 1753 roku. Warto przy okazji przypomnieć, że opis uczt w XII księdze Mickiewiczowskiego *Pana Tadeusza* jest wzorowany właśnie na dziele Czernieckiego. Zatem, czy obie książki to książki kucharskie? Oczywiście, nie. To „ścieżki mylne”.

I tu zaczyna się enigmatyczna gra z czekającym na zaproszenie do stołu, w godzinie obiadu, o jedenastej, czytelnikiem:

Bracie, co przed obiadem dźwigasz pochodzając,
A suszysz darmo język i gardziel spluwając,
Czytaj te wiersze proste, tęskno cię nie będzie,
Nim obiad z kuchni na stół gotowy przybędzie.

A jeśli nie nawykłeś czytać, idź do stajnie,
Dodaj koniom ochoty, zapłacąc gwizdanie.

Dwa światy: kultury i myślistwa. Dwa modele życia i wrażliwości. Obiad; najpierw polewki, zupy z migdałową na czele, potem ryby, warzywa, po wety, czyli słodki deser. Tylko coraz bardziej zmieniają się akcenty w czterowersowych fraszkach.

Coraz mniej potraw, coraz więcej charakterystyk ludzkich sytuacji. Wreszcie pojawia się cała galeria gości: z wielką głową, z czupryną pospolitą, z wielkimi uszami, z babią twarzą...

Już po obiedzie; „Najadszy się, to spać. Abo w pole na upatrzonego”.

Zając sobie siedzi pod miedzą,
A myśliwi o niem nie wiedzą,
Po chroście zakładają,
Szczują, trąbią i wołają: owo bież.

Kończy się satyra na ludzi czasów zarazy i ich potrawy postne. Zaczyna się „*Zabaweczka*” ludzi spod stajni. A w polu osaczenie, groza niechybności ostatecznej, przeraźliwy krzyk – ulubionego też przez Dürera – zająca: „ja już konam!”. Za co?

Siedzę sobie w boru jak w domu,
Nie uczynię szkody nikomu,
Miasto mięsa wrzosem żyję,
Miasto wody, rosę piję na trawie.

Grochu nie potłukę, ni prosa,
Pod strachem też idę do owsa,
Z brzegu tylko niedojrzałych
Kosztuję ziarna i nie całych z poranku.

W tym straszliwym i szalonym świecie czasu morowego powietrza pojawia się, powstaje i zagarnia, wszystko, co żywe, koszmarny, niehumanitarny korowód śmierci. Ludziom z ich melancholią i wiernymi przyjaciółmi, psami, zagraża zaraza. Człowiek, w swoim okrucieństwie, zagraża przyrodzie i wciąż słyszy: „ja konam”.

Zagrożeni ludzie dawcami śmierci? Coraz bardziej jestem przekonany, że *Postny obiad albo zabaweczka* Hiacynta Przetockiego to manifest ekologiczny minionych stuleci. ■



Umierają bez godności stare budynki, zmianie podlega krajobraz. W nieślawie murszeje czerwona cegła koszarowego budynku na ul. ks. Popiełuszki, na przeciw Klasztoru Jasnogórskiego. Budowano go 120 lat temu na potrzeby służb celnych i żandarmerii chroniącej granice Imperium Rosyjskiego. Granicę chroniła 14 Częstochowska Brygada Oddzielnego Korpusu Straży Pogranicza. Jeden z pułków Brygady stacjonował w opisywanych koszarach. Kolejne pułki rozmieszczono na granicy w Łebkowie, Herbach, Trzepezurach i Gniazdowie. Dowódcą Brygady był gen. Mikołaj Zucato. 28 lipca 1906 r. generał stał się przypadkową ofiarą strzelaniny podczas akcji ekspropriacyjnej bojowców PPS przejmujących więzione kolejną herbską pieniądze. Zginął przypadkowo jako bohater; gdyby nie jego ambicja, gdyby nie wyskoczył z wagoniku wąskotorówki i nie zaczął strzelać do bojowców, do tragedii by nie doszło.

Granica, od czasów średniowiecza, dzieląc Małopolskę od Śląska, biegła wzdłuż zachodniej grani Wyżyny Krakowsko-Wieluńskiej. Pogranicze, bagniste lasy, torfowiska, piaszczyste wzgórki, było dla obcych trudnym do przebycia obszarem; błędzić tu można było leśnymi ścieżkami, grzęznąć w bagnach lub bagnistych rzeczkach; przażenie budził wydobywający się z torfowisk metan, który po samozapaleniu zmieniał się w błędzący słupek ognia... Obcy trzymać się musiał wyznaczonych gościńców; swój wiedział jak korzystać z leśnych tajemnic. „Wody Proсны i Liswarty stanowiły przez setki lat i stanowią w dniu dzisiejszym łańcuch graniczny, poza który nie mogła przekroczyć władza niemiecka”

Władza, niemiecka czy rosyjska, może nie; ale ludzie po to mają nogi i wyobraźnię, by nie mogła ich powstrzymać sztuczna granica administracyjna. Kordony są przeciwne naturze, jeśli po jednej stronie były tanie brzytwy i tekstylia, a po drugiej tanie gęsi i sery, to natura wymaga handlowej wymiany. Można to brzydko nazywać przemytem, można określać to jako przestępstwo, można postawić na granicach żandarmerię i straż celną, karać surowo więzieniem i grzywnami; ale to wszystko sztuczne zabiegi, jak zastawki na rzekach, jak wały przeciwpowodziowe, nieskuteczne, gdy jest większy przybór. Już w latach 20. XIX w. na rynkach miast Kongresówki pojawiły się produkty nazywane, z przymrużeniem oka, wyrobami częstochowskimi. W Częstochowie nie było wtedy jeszcze żadnych fabryk, ale wyroby były „prawie jak...” pruskie, saskie, śląskie, a nawet „prawie jak...” francuskie, angielskie. Charakter ludzi kształtuje doświadczenie, narzucone linie kordonów stworzyły specjalny gatunek ludzi „pogranicza”. „W okresie przedwojennym ze wszystkich części b. Kongresówki napływały na te tereny tysiące robotników, którzy tu się osiedlali. Zamieszkiwali tu krótko – przez kilka tygo-



Częstochowskie koszary na ul. ks. Popiełuszki

Listy częstochowskie Ziemia przemytników

JAROSŁAW KAPSA

dni, wymaganych przez zaborcę jako warunek konieczny dla uzyskania przepustki na wyjazd do Niemiec na roboty sezonowe. W szeregu gmin nadgranicznych, szczególnie w powiecie wieluńskim, powstały liczne zbiorowiska chałupników, bezrolnych, którzy znaczną część roku spędzali za granicą, wracali na 3–4 miesiące do kraju, po czym znowu wyruszali na „saksy”. W ten sposób w okresie letnim wydłubiali się całe wsie. Na pograniczu wytworzył się typ „obieżywiata”, nieprzewiązany do własnego zagona, połączony najrozmaitszymi interesami z krajem obcym. /.../. Trudności gospodarcze, brak środków do życia, przyczyniają się do szukania zarobków na drodze nielegalnej pomocy przemytu. Mimo doskonale zorganizowanej straży granicznej przemyt istnieje i jest prawie nie do przezwyciężenia. W przemycie biorą tu bowiem udział całe wsie, doskonale zorganizowane, działające solidarnie”.

Za cara przemyt był działalnością patriotyczną; lasami pod Herbami szły transporty broni dla powstańców styczniowych i dla bojowców PPS; szły kufry z książkami Mickiewicza i z „bibułą” socjalistów. Przemytem zajmowali się ludzie z elit II RP, organizowała przerzut pistoletów Zofia Prusowska, pomagał jej Walery Sławek, w siatce było wielu późniejszych ministrów i posłów sanacyjnych. Dla miejscowych z pogranicza niezrozumiałym było, dlaczego ta „nowa Polska”, tak jak stara władza carska, ściga ich za to, co zawsze robili i co było tej Polsce niegdyś przydatne. Życie zagubionych w lasach wioskach było nędzne; by zarobić na chleb trzeba

było chodzić do fabryk, do Częstochowy. A tam pracy, gdy nastąpił kryzys, nie było. Budowa kolei Herby-Porty tylko na krótki okres ożywiła popyt na robociznę, potem można było jedynie patrzeć na mijające wsie pociągi. Jedno było niezmiennie, odważnym granica przynosiła złoto. Zatonione w bagnach i lasach wsie, ukryte w ostępach domy, były bazą; tu wszędzie można było ukryć towar, tu nikt swojego nie wydał, tu zawsze znaleźć można było karczmarsza – handlarza – pośrednika załatwiającego odbiorców, a nawet kredytuującego przemytnicze wyprawy.

O najsławniejszych krążyły legendy. W styczniu 1927 r. policja zastrzeliła jednego z najsłynniejszych hersztów Antoniego Kaczmarzyka z Truskolas zwanego Napoleonitą lub Kapitanem. Pojmany w 1921 r. i skazany na 10 lat Kaczmarzyk uciekł z więzienia w Lublińcu. Ukrywał się po niemieckiej stronie granicy, kontrolując jednocześnie przemyt po polskiej stronie. Jego banda pobierała hacracz – każdy przemytnik musiał opłacać po 20 zł za prawo przekroczenia granicy. „Kapitan” w towarzystwie dwóch adiutantów często odwiedzał wioski po polskiej stronie, nie odpuszczając większych zabaw i weselisk. W styczniu uczestniczył w weselu we wsi Kalej, odpoczywającego po pijaństwie zaskoczyła policja. Bandyta chwycił za broń, policjanci byli jednak szybsi. Przy zastrzelenym znaleziono rewolwer i karabin z obciętą lufą. Od kuli żołnierza ze Straży Granicznej zginął także inny legendarny przemytnik mieszkający w Starokrzepcu, gm. Kuźniczka, 36-letni zawodowy i niebezpieczny przemytnik

Franciszek Kotas. „Onegdaj około godziny 1 w nocy Straż Graniczna z placówki Starokrzepice zauważyła Kotasę na granicy i wezwała go do zatrzymania się. Ponieważ Kotas w odpowiedzi na wezwanie począł uciekać, oddano dwa strzały. Jedna z kul trafiła go w brzuch, raniąc ciężko, druga przebiła rękę. W stanie ciężkim przewieziono Kotasę do szpitala w Krzepicach, gdzie o godz. 5 rano zmarł nie odzyskawszy przytomności”. Legendą cieszyli się także organizatorzy przemytu.

„We wsi Wyrazów, gm. Dźbów, zamieszkuje zamożny gospodarz, Stanisław Szymonik, którego nazwisko stało się ostatnio głośne ze względu na wykrycie szeregu przedsiębiorstw, konkurujących z państwowymi monopolami tytoniowym i spirytusowym, a stanowiących własność Szymonika. /.../ Od szeregu lat jest on groźnym konkurentem monopolów państwowych i posiada na swe usługi kilka band przemytniczych, które wysłała przez zieloną granicę do Niemiec, skąd powracają ze znacznym transportem przemytu. Szymonik sam udział w wyprawach tych nie bierze, uważa bowiem, że bezpiecniej siedzieć w domu skąd kierować może całą akcją i zabezpieczyć się przed ewentualną wizytą władz. A przyznać trzeba, że „król” przemytników – tak bowiem śmiało można Szymonika nazwać – działał bardzo ostrożnie i rzadko „wysypywał” się. Ostatnio dopiero powinięła mu się noga. Niezależnie od uprawiania przemytnictwa, Szymonik zajmuje się tajnymi gorzelniami, których kilkanaście założył w powiecie częstochowskim, instalując „fabryki” te u gospodarzy, których władze nie były skłonne podejrzewać. Za udzielenie locum pod gorzelnię gospodarze otrzymywali od „króla” przemytników odpowiednie wynagrodzenie, to też zawsze mógł on liczyć na pomoc z ich strony”. Walka z kontrabandą bywała bezwzględna. „Od kilku dni koło wsi Kalety, pow. częstochowski, tuż przy granicy, Straż Graniczna rozpoczęła istną walkę podjazdową z przemytnikami, którzy mieli zamiar przetransportować znaczną ilość kontrabandy. W nocy z 12 na 13 bm. przemytnicy, widząc się osaczonymi, rozsypali się w tyraljerę, rozpoczynając regularne ostrzeliwanie straży granicznej. Dzielne natarcie tej ostatniej zmusiło kontrabandyzistów do ucieczki, podczas której przestępcy porzucili tytoń oraz spirytus ogólnej wagi 200 kg. Zaledwie jednak zaczęło świtać, banda wyruszyła z nowym transportem i niespodziewanie dla siebie natknęła się na czuwającą straż. Podczas ostrego starcia został zabity kontrabandyzista Henryk Osadnik, mieszkaniec wsi Konopiska pod Częstochową. Banda, mimo wszystko, nie dała za wygraną i ponowiła próbę przemytu pod wsią Węglowice, gdzie schwymano herszta przemytników na tym terenie – Brzezika oraz zatrzymano olbrzymi transport brzytwę”. „Częstochowski inspektor stra-

ży granicznej w wyniku długich i uciążliwych wywiadów, mimo silnego mrozu, urządził onegdaj zasadzkę na nowej już trasie. W okolicach Węglowic oczekiwali strażnicy nadejścia przemytników. Nad ranem na horyzoncie ukazały się okutane w prześcieradła, na czworakach pełzające postacie. Nie ulegało wątpliwości, że są to przemytnicy, mimo manewru z białymi pokrowcami, które miały szmuglerów uczynić niewidzialnymi. Strażnicy wezwali przemytników do zatrzymania się, a gdy to nie poskutkowało i banda rozpieczęła się, oddali za uciekającymi szereg strzałów. Przemytnicy również odpowiedzieli strzałami i wkrótce doszło do formalnej bitwy, która oczywiście musiała zakończyć się ujęciem wrogów Skarbu Państwa. W przewidywaniu takiego zakończenia przemytnicy, zarzucając straż graniczną kulami rewolwerowymi, poczęli zrzucić z siebie pośpiesznie tzw. mecje, czyli pikówki, dla odciążenia się, pozostawiając w nieładzie tornistry i plecaki, poczem gremjalnie rzucili się do ucieczki. /.../ Ogółem banda porzuciła 600 m pierwszorzędnego jedwabiu na parasolki, 134 tuziny nożyczek do manicure, w pięknych oprawach, 45 tuz. brzytwę, 5 kg. sacharyny i 1 kg tytoniu”. Niebezpiecznym było nawet zatrzymanie samotnego przemytnika. „Onegdaj w miejscowości granicznej Kamińsko, powiatu częstochowskiego, strażnik graniczny zatrzymał niebezpiecznego przemytnika, którego prowadził do posterunku. W tej chwili zebrał się tłum, liczący z górą 40 mężczyzn, przyjaciół przemytnika, usiłując odbić go. Strażnikowi zasypano oczym piaskiem, wobec czego strażnik dobył rewolweru, strzelając na postrach, przy czym kula zabłądziła, trafiając śmiertelnie w pewnego mieszkańca, przyglądającego się z okna całemu zajściu. Na odgłos strzałów zaatakowanemu przybyło na pomoc jeszcze trzech strażników, lecz i na nich tłum ruszył, przybierając coraz groźniejszą postawę”.

W zależności od meandrów politycznych przemytnikom groziło niebezpieczeństwo po obu stronach granicy. Czytamy w „Słowie...” o niemieckich reakcjach: „Przemyt do Polski był do niedawna usilnie popierany przez władze niemieckie, które dla ułatwienia przemytnikom ich szkodliwej dla Państwa Polskiego działalności utworzyły na przestrzeni 10 km wzdłuż granicy tzw. wolną strefę, gdzie przemytnicy przybywający z Polski, zaopatrywać się mogli bez żadnych trudności w towary niemieckie, by następnie pod ochroną niemieckiej straży pogranicznej przemycać je do Polski. Tak było do niedawna. Przed kilkunastu jednak dniami władze niemieckie zwróciły nagle swe dotychczasowe stanowisko i dokonują aresztowań przemytników, którzy przybywają z Polski na teren niemiecki. Ostatnio aresztowano w dawnej „wolnej strefie” kilkunastu przemytników z polskich miejscowo-

ści pogranicznych, jak z gmin Węglowice i Przystajń. Przemytników tych, po okrutnym zmasakrowaniu ich przez strażników niemieckich, osadzono w więzieniu, gdzie oczekują rozprawy sądowej. /.../ Przyczyną tych aresztowań szukać należy w tem, że ostatnio przemyt z Niemiec do Polski zmniejszył się niesłychanie wobec prowadzonej przez władze polskie energicznej walki z przemytnictwem, natomiast zwiększył się b. znacznie przemyt z Polski do Niemiec, gdzie nabiął, wędliny itp. artykuły z Polski cieszą się wielkim popytem. Niemcy nie chcą dopuścić do tego i w tym celu wydane zostały specjalne rozporządzenia, nakazujące bezwzględne tępienie przemytnictwa z Polski i zalecające natychmiastowe użycie broni palnej w razie najmniejszego oporu ze strony przemytników”

Meandry polityczne po jednej i po drugiej stronie uzupełniane były zabiegami przemytników, by skorumpować i pozyskać do współpracy strażników. O takiej aferze głośno było w 1932 r. „Przed kilku dniami donosił mi o wykryciu afery przemytniczej z Częstochowie, w związku z czym został zawieszony w czynnościach zastępca oficera wywiadowczego /.../ Władysław Osika, st. strażnik graniczny, który cieszył się wielkiem zaufaniem komisarza. /.../ Jak już podawaliśmy, Osika zatrzymał w końcu marca br. na ul. Piłsudskiego tragarza, który wiozł 127 kg wanilii, pochodzącej z przemytu. Wanilia ta miała być wysłana do Warszawy, gdzie miał ją odebrać niejaki Buchschreiber. Za zwolnienie przemytu od rekwizycji, pobrał Osika od Weisfelnera i Borensteina, właścicieli tej wanilii, 300 zł., poczem udał się z przemytnikami na libację, za którą płacił Weisfelner. Następnie Osika wraz z współnikiem Weisfelnera, Borensteinem był pomocny temu ostatniemu przy wysłaniu przemytu do Warszawy, który został przez Buchschreibera odebrany. Nazajutrz Osika i Weisfelner udali się do „Savoy’u”, gdzie Osika oświadczył Weisfelnerowi, że za 25 zł tygodniowo może mu udzielać wiadomości o pracach wywiadu straży granicznej. Przemytnik zgodził się na to i 2 razy korzystał z tych informacji. Po opuszczeniu restauracji spotkali oni w Alei kilka „cór koryntu” z których jedną zaprosił Osika do swego mieszkania. Na koszty tej eskapady wziął on od Weisfelnera 15 zł”. Zachodnią granicę II Rzeczypospolitej chroniła powołana 22.03.1928 r. dekretem Prezydenta RP Straż Graniczna. Częstochowę obejmował swym działaniem Śląski Inspektorat w Katowicach, w mieście zlokalizowano komisariat, a na linii granicznej placówkę grupującą 1 podoficera i 9–14 funkcjonariuszy. W 1938 r. kierowanej przez komendanta Zaleskiego Komendzie Obwodu w Częstochowie podlegały komisariaty w Pankach, Herbach, Lublińcu, Kaletach i placówka II linii w Częstochowie. Większość spraw prowadziła placówka częstochowska: w 1938 r. odno-



owano 576 spraw, w tym w Częstochowie 278. Wartość zatrzymanego przemytu wynosiła w 1938 r. ponad 38 tys. zł, zatrzymano ogółem 484 przemytników i 694 osoby próbujące nielegalnie przekroczyć granicę. Różnice cen między Niemcami a Polską wyznaczały opłacalność przemytu. Stosowano różne fortele. Przepędzanym przez granicę koniom zakładano buty, gęsiom owijano łapy szmatami, by zmylić ślady. Żywym prosiakom wsadzano na granicy do ryjka kluskę z ciasta, a gęsiom zawiązywano dzioby szmatką. W zimne jesienne noce forsowano nadgraniczne rzeczki i bagna, dźwigając na barkach półtusze lub 100 kg worki z towarem. Połcie słoniny przenosiły kobiety pod bluzkami, swoistym patentem było ukrywanie spirytusu w balonach ze świńskiego pęcherza. Używano także tresowane psy, przenoszące

na grzbietach pojemniki z eterem. Lokalni przemytnicy-amatorzy przyjmowali zlecenia od „zawodowców”, „zawodowcy” tworzyli struktury pozwalające ekspediować towar po całym kraju.

Przed I wojną światową popularnym towarem był eter. Dostępny na rynku niemieckim specyfik służył jako namiastka alkoholu; przyrządzano z niego koktajl zwany „kroplami Hofmana”. Łatwopalny eter był trudny do przemycenia, zdarzały się przypadki okaleczeń na skutek wybuchu oparów specyfiku; dochodziło także do wypadków zgonów wśród konsumentów „kropli Hofmana”. W latach trzydziestych przemyt eteru był nieopłacalny; dla „krajowych konsumentów” pozyskiwano go z polskich fabryk chemicznych. Eter nie zniknął jednak z pogranicza; bez problemu częstowano nim w „nielegalnych” karcz-

mach i szynkach otwieranych w ukrytych w laskach wioskach. Zawodowcy jednak odkrywali inny, bardziej opłacalny towar. „Nasza Straż Graniczna osiągnęła nowy poważny sukces, likwidując szajkę handlarzy kokainy, jednego z najbardziej niebezpiecznych i w następstwach swych zgubnych narkotyków. Likwidacja nastąpiła w wyniku dłuższej inwigilacji niejakiego Borszcza, krawca z zawodu, który przed kilku laty przybył ze Śląska i osiadł w Kamienicy Polskiej. Jak się okazało, Barszcz, obok swego zasadniczego zawodu, uprawiał stokroć bardziej intratną profesję sprzedawcy kokainy. Został on zdemaskowany i schwytany w trakcie przeprowadzania transakcji, której przedmiotem były dwa słoiki, zawierające 400 gr kokainy, przybliżonej wartości około 2 tys. zł.”

Stałym obyczajem był przemyt ludzi. Meldunki SG mówiły o sezonowej, nielegalnej emigracji do pracy w Niemczech, szacowanej na 2–3 tys. osób rocznie. Jednym z punktów przerzutu ludzi była karczma w Bodzanowicach po niemieckiej stronie. Po nielegalnym przekroczeniu granicy ludzie oczekiwali tu 2–3 dni na wysłanników z majątków ziemskich oferujących im pracę. Kary za nielegalne przekroczenie granicy były, po polskiej stronie, umiarkowane – 5 zł grzywny lub 2 dni aresztu. Przemyt ludzi napędzała „koniunktura polityczna”, w drugiej połowie lat 30. przez granicę w Bodzanowicach przetrucano ochotników na wojnę w Hiszpanii, a w przeciwną stronę Żydów niemieckich i innych prześladowanych przez rząd hitlerowski. Przemyt był za cara i za Rzeczpospolitą. Przemyt rozwijał się także podczas okupacji hitlerowskiej, mimo zagrożeń karami śmierci. Przemycano żywność przez granicę Rzeszy z Generalnym Gubernatorstwem (przebiegającą pod Częstochową), przemycano także żywność do getta w Częstochowie (wspominano to jako bardzo opłacalny proceder). W tej przemytniczo-zbójnickiej tradycji wychowało się kilka pokoleń mieszkańców pogranicza. Granica znikła po wojnie, tradycje pozostały. Ale to już inna historia, to już opowieść o chłopskim buncie przeciw okupantowi niemieckiemu i sowieckiemu, przeciw narzuconej „władzy ludowej”. Murszeje ceglany świadek epoki: budynek przy ul. ks. Popiełuszki, gdzie była rosyjska Straż Celna i szefostwo brygady wojsk chroniących granicę; gdzie potem była siedziba Komendy Miejskiej i Powiatowej Policji Państwowej i komisarjat Straży Granicznej... Zmienił się krajobraz Obniżenia Górnej Warty i Progu Herbskiego, nie ma już bagien, wrosowisk, torfowisk, leśnych „oczek” wodnych. Znikła granica, znikł krajobraz pogranicza, znikły także legendy przemytnicze, znikły wraz z ludźmi pamiętajacymi dawne czasy. Nowy jest krajobraz, nowi ludzie, nowe mity i legendy. ■

Wąskotorowa przejażdżka

ZBIGNIEW LUBOWSKI

Co łączy ze sobą wyrobiska dawnych kamieniołomów dolomitu w Suchej Górze, zabytkową kopalnię srebra w Tarnowskich Górach oraz rozległy akwen rekreacyjny Nakło-Chechłó? Odpowiedź może wydawać się zaskakująca: ich spoiwem jest kolej wąskotorowa, kursująca w okresie letnim ze 165-tysięcznego Bytomia do 7,5-tysięcznego Miasteczka Śląskiego w powiecie tarnogórskim. Dzięki niej można w czasie wakacji z łatwością dotrzeć do ciekawych zakątków Górnego Śląska.



Linia kolejowa o 785-milimetrowej szerokości torów (30 dawnych cali pruskich) jest niewątpliwą atrakcją turystyczną regionu. Nie znajduje się jednak w ogóle w dyspozycji PKP, lecz w gestii samodzielnego operatora i zarządcy komunikacyjnego – Stowarzyszenia Górnośląskich Kolei Wąskotorowych (SGKW). Skupia ono kolejarzy i regionalnych zapaleńców, którym leżą na sercu dalsze losy najstarszej na świecie czynnej wąskotorówki – jak napisano na planszy informacyjnej, umieszczonej na peronie przystanku kolejowego Bytom Wąskotorowy.

Można tam dostać się dwojako: podziemnym tunelem pasażerskim od strony dworcowego placu Wolskiego lub schodami po stromej skarpie kolejowej od ul. Zabrzeńskiej. Szczegółowe określenie adresu stacji wąskotorówki w Bytomiu wydaje się potrzebne i zasadne, bo nawet wielu rodowitych mieszkańców miasta nie ma pojęcia, gdzie ona się znajduje. Jest to jednak wyłącznie kolej sezonowa, bo od lat kursuje tylko podczas letnich weekendów. W tym roku przewoziła pasażerów w okresie od 27 czerwca do 20 września.

Eskapada w przeddzień wypadku

Ostatni w 2020 roku niedzielny przejazd górnośląskiej „wąskotorówki” zakończył się feralnie. Doszło do wykołowania składu, ale na szczęście nikomu nic się nie stało. Wypadek zdarzył się na remontowanym odcinku trasy. Z późniejszego komunikatu SGKW

wynikało, że odpowiedzialność za zaistniałe zdarzenie ponosi wykonawca robót, który niefachowo wywiązał się ze swojego zadania.

Traf chciał jednak, że reporterski wysłannik redakcji „ŚLĄSKA” podróżował wąskotorowym pociągiem w przededniu pechowego wydarzenia. 70-minutowa przejażdżka na 21-kilometrowej trasie Bytom-Miasteczko Śląskie przebiegła bez żadnych powikłań. Podobnie – powrót do Bytomia. Wybór soboty 19 września jako daty turystycznej eskapady okazał się wielce fortunny. Przejazd w obie strony kosztował 28 zł (dzieci oraz uczniowie do 16 roku życia – bezpłatnie). Bilety były do nabycia u konduktora.

Pasażerskie fascynacje

Ciągnięty przez lokomotywę spalinową i poruszający się z przeciętną prędkością ok. 20 km/h pociąg z różnymi rodzajami wagonów (zamkniętymi, a także otwartymi, pozbawionymi okien) umożliwiał pasażerom, w tym zwłaszcza uśmiechniętym od ucha do ucha dzieciom, swobodne dotykanie liści mijanych po drodze drzew. Dla nich była to fantastyczna zabawa! Nie brakowało okazji do takich igraszek, bo pomiędzy Tarnowskimi Górami a Miasteczkiem Śląskim jest sporo terenów leśnych po obu stronach torów.

Pociąg zatrzymywał się na 8 pośrednich stacjach. Pasażerowie fotografowali m.in. wąskotorową lokomotywownię w Karbiu, dawną elektrociepłownię „Szombierki”, niekiedy po historycznych kamieniołomach w Suchej Górze, a także jeden z peronowych szyldów z intrygującym napisem „Tarnowskie Góry – Kopalnia Srebra” (zabytkowy



obiekt przemysłowy z przełomu XVIII i XIX wieku figuruje od 2017 roku na liście Światowego Dziedzictwa Kulturowego UNESCO).

Szczególne zainteresowanie podróżujących wzbudziła natomiast nazwa stacji „Miasteczko Śląskie – Zalew”. Nic dziwnego – stamtąd było już bardzo blisko do sztucznego zbiornika wodnego Nakło-Chechłó, który w pogodne dni kusi amatorów wypoczynku na łonie natury. Grupa pasażerów opuściła pociąg na tym przystanku. Słoneczna aura u schyłku kalendarzowego lata sprzyjała rekreacji na piaszczystej plaży nad 90-hektarowym jeziorem, utworzonym w dawnym miejscu wydobywania piasku.

Łyk kolejowej historii

Inni pasażerowie zerkali w trakcie jazdy na trzymane w rękę turystyczne broszury, z których można było się dowiedzieć, że górnośląskie pociągi obsługujące trasę Bytom-Miasteczko Śląskie to: *najstarsza i nieprzerwanie czynna kolej wąskotorowa na świecie. Narodziła się w roku 1853 i przez ponad 140 lat służyła śląskiemu przemysłowi, przewożąc węgiel, rudy metali czy kamienie. Gęsta sieć linii wąskotorowych łączyła w przeszłości większość górnośląskich hut i kopalń. Rozciągała się od Raciborza na południu, po Szopienice na wschodzie oraz Biłelę na północy. Z liczącej niegdyś 230 km sieci pozostał tylko 21-kilometrowy fragment. Od 18 lat kolej służy wyłącznie przewozowi turystów.* ■



odbijają się w blacie drzewa
tak że las wszedł do mojego domu
na biurko pod słowa sypie się ściółka
igły zmieszane z torfem mchem
i lepką żywicą łzami drzew
zastygłymi na korze
jakie to fundamenty
między listkiem zerwanym z gałęzi
przez wiatr a moją tęsknotą
nie wywianą z głowy

jeden szary gołąb na dachu sąsiada
no to nie jestem sama
wstyd się przyznać
że przez całe życie
cierpliwie wysypując ziarenka
dniom i nocom doczekałam się
jednego gołębia
niektórzy go nie widzą
taki powszedni jak ja
aleśmy się dobrali w korcu maku

rys. Bogna Skwara



słońce nie wie o niczym wiatr też
pierwsze trawy tak samo zachłanne
żeby posiąść ziemię płyty chodników
grobow spacerowych alej
płyty pod którymi kryje się nasza dusza
czasem nie do zdjęcia czy choć
uchylenia żeby wpadło światło
nie wiedzą samochody tak nam się wydaje
ich zdrowe silniki pracujące rytmiczniej
niż niejedno serce w tym strachu
kiedy w dzień i w nocy śmierć
wali do drzwi i okien komputera
zamknięci z nim sam na sam
do czego nam potrzebne ciała suknie
szafy pełne okłasków z czasów
tak niedawnych a odległych o lata świetlne
my astronauta w hełmach
i kombinezonach w międzygwiazdnej podróży
bo człowiek to gwiazda na nocnym niebie
kiedy spada umiera w ciszy
jakby nagle odcięli internet

obejmując

jak to jest kiedy stoję otulona
twoim ramieniem w skórzanej kurtce
bo tu trzeba być gruboskórnym
wobec deszczu i wiatru
w przerwie na odpoczynek dla kół
które i tak wciąż się kręcą
te motocyklowe mają
największą wyobraźnię dlatego
potrafią unieść najdalej od świata
i najbliższej siebie przecież
obejmując cię jak własne życie
zapominam jak mi na nim zależy
kiedy przekraczamy dozwolone prędkości
żeby na najbardziej niedozwolonej
wpaść z drogi prosto w miłość

drobne drzewka na polu
zaraz potem cień jakby ciemności
na chwilę spowiły ziemię
wysokie trawy suche a pod nimi
zielone nieśmiało zakłopotane
co powiedzieć skąd przyszły
skąd przychodzi ta pewność
że bez ciebie nie umiałabym żyć
i jak nornik w żrency twojego oka
dokopują się do miejsca
gdzie z młodymi trawami
zaczyna się nadzieja

kogo

kogo obchodzi kogo Kocham
linijka po linijce w łóżku rano
kiedy jeszcze nie wyszłam
z miłości do pisania
wszyscy obchodzą siebie
w kółko lub trójkąt
na tych czy tamtych drzwiach
zdjęcie z drogi szybki uśmiech
dający nadzieję na
– wszystko dobrze –
najczęściej używany zwrot
zawracający mnie pod drzwi
kolejnego poranka
kiedy nie chce się
wychodzić z łóżka
i nawet dzień
obchodzi mnie z daleka

odnajdowaliśmy się na tej ulicy
dopóki można było po niej chodzić
nie bojąc się ludzi trwało życie nietrwale
a teraz w pokoju albo dwóch
może nawet w całym wielkim domu
wielkim jak strach co ma duże okna
odmierzamy krokami centymetr
po centymetrze życie
żadnej miary nie da się przyłożyć
do tych nocy i dni dni i nocy
przechodzonych w oczekiwaniu
aż ulica wróci i wyprowadzi nas stąd

Janowi Pawłowi II

biały punkt na polanie
u stóp wielkiej góry
w bazylice jak wielka polana
rozkołysanej szumem dzwonów
październikowym wiatrem
który w każdym źdźble dźwięku
cieszy się – mamy papieża –
urodzonego z Emilii
z cienkiego ciała fotografii
czarno białej jak
dobro i zło urodzić nie urodzić
pozwoliła wbiec na świat
dużemu chłopcu
kiedy w litanii chwalono
łąki umajone doliny zielone
a na ich dnie biały spadochron
na którym spadł z nieba Karol
w pieluszkach w sutannie
jasnej jak śnieg na Giewoncie
z czarnym krzykiem krzyża
wołającego – czemuś mnie opuścił –
nie opuścił swojej choroby
na przebłaganie dla nas
i całego świata światło
do końca sypało jak
płatki z kwitnących drzew
strzępki pachnących bandaży
na rany Ukrzyżowanego

rys. Bogna Skwara



nocą

deszcz stuka w klawisze komputera
w sąsiednim pokoju ciemnym jak ktoś
kto pracuje w nocy na kogo też padają
te krople wilgotne jak nowe życie
stare wsiąkło w ziemię ilu ich było
moknących przez wieki przez wielki rów
czasu nie mogą teraz przeskoczyć
żeby dać się zmoczyć tyle miejsc
po których płynie woda bez spadania
na kapelusze nosy czubki butów
ich właściciele zniknęli
jak litery na ekranie ktoś stuka a widać
tylko rozpacz dlatego brakuje słów

w dolinie

cisza i nagle stukanie ktoś łąta
dach nad głową czerwony lekko spłowiły
nad polem wysokiego żyta i pagórkami
schronienie dla garnków w kuchni
malowanego talerza kapy przytulonej
do łóżka i czego tam jeszcze
uzbieranego w lekko posiwiałej głowie
cicho bo idzie deszcz i nawet ptaki
ukryły śpiew w jeszcze suchych dziobkach
tylko nieustępliwe uderzenia młotka
przypominają żeby zdążyć zanim życie
przecieknie nam przez palce

Cztery opowiadania

MARTA FOX

Grzech

Stał na brzegu peronu, nie mając do końca pewności, czy wsiądzie do pociągu, który miał za kilka minut nadjechać. Cel podróży wydawał mu się tak samo mglisty, jak jego myśli splątane z włosami. Poddał się poszturchującym go ludziom i wszedł razem z nimi do przedziału. Nie wyciągnął do czytania przygotowanych z przyzwyczajenia czasopism, wtulił się w kąt i próbował zasnąć, poddając się stukotowi kół.

Zobaczył pod zamkniętymi powiekami jej twarz, uśmiechniętą, łagodną. Z jej uszu wyrastały bratki żółte i fioletowe, takie same, jakie podlewał na jej grobie tej wiosny. Zamażał ten obraz, potrząsając głową.

– Tylko nie umarli – pomyślał.

– Jestem wśród żywych – powtórzył w duchu, patrząc jednocześnie na kobietę siedzącą obok i pobrzękującą srebrnymi bransoletkami. Było ich może dziesięć, zapewne kupowanych przez jakiś czas. Próbował skupić myśli na tych brzęczących kółkach, bo je widział i słyszał, były więc bardziej rzeczywiste niż on, wymykający się sobie do tego stopnia, że tracił momentami poczucie pewności, czy ten, który niedawno jeszcze stał na peronie, był tym, który teraz siedział i patrzył na obcą kobietę. Była młoda, świeża, pachnąca, opalona. Wyobraził sobie, że tuli ją w skębionej pościeli, w którymś z łóżek tego świata. Te myśli też nie przyniosły mu nawet chwilowego odprężenia, odczuł jedynie, że znajduje się wśród ludzi, zdecydowanych głosić zwycięstwo żywych nad tymi, których już nie ma.

– Może kupi pan kwiaty? – usłyszał nad sobą ciepły głos.

Skinął głową.

– Które? Żółte czy fioletowe?

Drgnął, spojrzawszy na bratki. Podał jednak banknot i wziął dwa bukietki. Kobieta z bransoletkami spojrzała zdziwiona, gdy kwiatami przetarł spocone czoło, po czym położył je nieco zmięte na blacie stolika. Umościł się wygodniej, jak gdyby w tym siedzisku chciał zostawić swoje zmęczenie.

Wtedy zobaczył ją wchodzącą w środku nocy i ustawiającą buteleczki z lekarstwami tak samo pieczołowicie, jak klatkę ze swoimi zwierzkami.

– Przy życiu najbardziej trzyma mnie myśl, że mogę w każdej chwili odejść. Tabletek mam dostatecznie dużo – powiedziała.

Jej głos brzmiał jak dawniej i sprawił mu przyjemność. Chciał, aby dalej mówiła, ale ona tylko przechadzała się pod jego powiekami, roztaczając wokoło ukochany zapach, który snuł się jak żółte motyle za Mauricio Babilonią.

– Ten pociąg dalej nie jedzie, proszę pana – usłyszał głos kobiety z naprzeciwka.

Wysiadł i w ciągu kilku minut znalazł się na Rynku Starego Miasta.

Był upał.

– A teraz odpocznij, naprawdę to jest konieczne – znów odezwała się do niego. – Najlepiej idź do małego, bardzo starego kościoła. Wiesz gdzie, prawda? Od Rynku w prawo, w wąską uliczkę, tak, tam właśnie święty Andrzej da ci schronienie. Na pewno będziesz sam, jak tego chcesz. Masz rację, ludziom jakoś nie przychodzi do głowy, aby przed upałem chronić się w kościele.

Ruszył szybko przed siebie i po chwili był tam, gdzie mu kazała. Siedział w ciszy, obserwując ambonę w kształ-

cie łodzi, i myślał, że i on skończy z sobą na wszystkie sposoby. Poruszył się gwałtownie, wykonując zdecydowany gest dłonią.

– Nie, nie wychodź tak szybko – powiedziała znowu.

– Spójrz jeszcze w prawo, widzisz? W drugiej ławce z brzegu siedzi dziewczynka z długimi włosami i w bardzo krótkiej, białej spódniczce. Marzy o tym, aby ktoś wspólnie z nią pokochał chłód tego kościoła. Nie zostawiaj jej samej, nie mów nic, tylko wyciągnij rękę w jej stronę. Nawet nie dotykaj. I tak powinna wyczuć jej ciepło.

Spojrzał.

Siedziała wyprostowana.

Oczy błyszczały jej, jak wtedy, wiosną, gdy spacerowali po Rynku Starego Miasta, a gołębie siadały im na ramionach niczym świętemu Franciszkowi.

– Opowiedz – poprosił. – Opowiedz wszystko, obiecałaś przecież tak samo, jak i ja obiecałem, gdybym odszedł pierwszy. Opowiedz wszystko po kolei, tylko tobie mogę uwierzyć.

– Uspokój się. Uspokój się teraz, kiedy już wiesz, o co w życiu chodzi, kiedy już wiesz, że o nic – powiedziała.

Zamknął oczy i poddał się opowieści spokojnej, opowiedzanej i dalekiej jednocześnie. Dźwięczała znajomym głosem – Wszystko nie tak, jak planowałam, nie tak, jak sobie wyobrażałam. Sen był długi i niespokojny. Tym, którzy pozostali, pozwolił jednak uwierzyć, że odeszłam na zawsze. Obserwowałam ludzi, którzy z profesjonalną wprawą ubierali mnie i układali w wyściełanym atłasem pudełku. – Młoda i głupia – mówili. – I taką ma ciekawą skórę, więc życie bardziej ją dotykało, gniozło, uciśkało. Jedyna moja radość w tamtych chwilach wynikała z poddania się czemuś większemu niż to, co znałam. O tyle tylko byłam na razie bogatsza od uczestniczących w codzienności. Śmierć jest być może największym, ale nie ostatecznym doświadczeniem. To, co po nim następuje, jest koszmarem, jakiego nawet Hieronimus Bosch nie uwiecznił. Chyba żeby...

– Tak?

– Chyba żeby ktoś zapamiętał sobie uwagi Juana Rulfa o tym, co trzeba zrobić w tej ostatniej przed odejściem chwili. Trzeba zapłakać, koniecznie zapłakać, aby umożliwić duszy wyjście z ciała, zanim ono zostanie zamknięte w drewnianej skrzynce i zakopane w ziemi. Trzeba wypłuć duszę. – To właśnie zdążyłam zrobić. I stało się. Nareszcie odpoczynek mojej duszy był możliwy, już poza ciałem. Widzisz, jestem spokojna. A może nawet obojętna. W śmierci zrodziła się ta obojętność. Nic mnie nie obchodzi mali ludzie, ani małe sprawy, które nie potrafiły stać się częścią spraw wielkich. Pamiętasz Demona? Czytaliśmy go razem. Nie potrafiliśmy wytrzymać ani rozłąki, ani zmęczenia, tęsknoty, a co dopiero mówić o kapryśnych wyobraźni? Teraz patrzę na ziemię bez żalu, bez współczucia. Naprawdę, ludzie nie potrafią bez lęku ani kochać, ani nienawidzić. Ty najlepiej wiesz, jak groźni są ci o ciasnych umysłach, którzy bliźnim odmawiają prawa do inności. Skończyło się, skończyło się polowanie na tych, co czytają książki. Nie, nie odwracaj głowy, nie pytaj, nie dźwięcz niepotrzebnie. Czy czegoś mi brakuje? Tak, brakuje. Twojej obecności, która była piękniejsza niż śmierć. Dlatego mówię, przyzywam, napominam.

– Widzę, synu, że grzech nie jest ci obcy.

Zadrzał gwałtownie.

Nie było jej. Zmiętymi bratkami ponownie wytarł spocne, mimo kościelnego chłodu, czoło.

Nie było jej.

Tylko zapach ciągle trwał i powietrze lekko drżało od jej głosu.

– Czym zgrzeszyłeś, synu? – Dosłyszał raz jeszcze głos zakonnika.

– Bezcelnym przywiązaniem do życia, proszę pana. ■

Historia pewnego buta

To był dzień na lody bakaliowe z nutką karmelu, podjadane leniwie na ocienionym bluszczami balkonie, na popołudniowe nicnierobie – nie, które należało jej się po dniu obfitującym w zdarzenia. Do lodów dodała w myślach kawę i drinka, sporządzonego z tequili i limonki, z kostkami lodu.

– Dzisiaj na te dobroci zasłużyłam – pomyślała – raz jeszcze przypominając sobie swój dzień pracy.

Zerknęła ponownie na listę odhaczonych spraw i zobaczyła wśród nich niezalutowany punkt: auto do przeglądu. Ten punkt trochę zachwiał jej samozadowolenie, szybko więc wykreśliła numer warsztatu samochodowego. Niestety, nie było wolnej godziny, więc umówiła się za dwa dni.

Minęła ostatecznie skrzyżowanie ze światłami, co znaczyło, że za dziesięć minut dojedzie pod dom, w południowej dzielnicy miasta, prawie pod lasem. Wjeżdżając w osiedle, zauważyła nagle szyld warsztatu mechaniki samochodowej. Skreśliła gwałtownie. W kantorku, przy biurku siedział mężczyzna w drelichowym ubraniu.

– Nie byłam umówiona – powiedziała od progu – ale może znalazłby pan jeszcze dzisiaj czas, by przejrzeć moje auto, trzeba by wymienić olej i filtr.

– Jakiego rodzaju oleju pani używa? – zapytał mechanik fachowo.

Zanim zdążyła wziąć oddech, już pytał o filtr, pasek rozrządu i klocki hamulcowe.

– Nie mam pojęcia, o czym pan mówi, to są zbyt fachowe pytania. Do tej pory serwisowałam samochód i mam wszystkie przeglądy poświadczone i rachunki zachowane, więc pan się zorientuje bez mojej pomocy.

Podawała książkę przeglądów. Mechanik przejrzał, kiwnął głową na znak, że wszystko jasne. Miał kręcone włosy, z lekka przeredzone z przodu głowy, przyprószone siwizną, która w połączeniu z dawnym blondem dawała ciekawy melanż platyny. Był wysokim mężczyzną koło sześćdziesiątki, dosyć tegim, uśmiechał się łagodnie spod wąsa.

– Proszę wjechać do garażu – powiedział, spuszczając oczy, jakby zauważył, że kobieta mu się przygląda i jakby się zawstydził tych spojrzeń.

– O, nie, nie – wyciągnęła rękę z kluczykiem – niech pan sam go wprowadzi.

Mechanik otworzył drzwi peugeota i zatrzymał się.

– Stało się coś? – zapytała.

– Nic, nic, tylko ta muzyka, ciekawa, dziwna.

– Z płyty, z filmu Jaguar i Aimee – powiedziała. – Widział pan?

– Nie, chyba nie, a raczej na pewno nie. To niedzisiejsza muzyka, mało kto takiej słucha.

– Film jest sprzed sześciu lat, polski kompozytor, Kaczmarek – powiedziała, myśląc, że mechanik jest rzeczywiście zainteresowany muzyką.

– Proszę mi zostawić numer telefonu, myślę, że koło 20. będzie pani mogła odebrać samochód.

– Mieszkam tutaj, na osiedlu – powiedziała, podając wizytówkę.

Trzymał ją przez chwilę w ręce, wpatrując się w imię i nazwisko. Obrócił kartonik, jakby z drugiej strony ocze-

kiwał dodatkowych informacji.

– Jeśli mogę zapytać – zająknął się speszony – jakie pani ma panięskie nazwisko?

Emilia wzdrygnęła się na tę inwigilację, jak zawsze, gdy z byle powodów przychodziło jej się spowiadać z numerów PESEL, NIP, dowodu osobistego. Już miała na końcu języka pytanie, czy mechanik jest także zainteresowany numerem jej buta, biustonosza, ale mechanikowi jakoś tak ładnie patrzyło z oczu, że podała nazwisko, którym posługiwała się w szkole.

– Nie dalej jak wczoraj – powiedział – oglądałem fotkę z I klasy liceum i zastanawiałem się, gdzie też jest ta dziewczyna, którą odprowadzałem w jednym bucie do domu.

Podniósł oczy, a wtedy Emilia zobaczyła, że kręcą się w nich łzy.

– Emil? Emil Wiśniewski? – zapytała zaskoczona.

Skinął głową, jak mały zawstydzony chłopiec.

– Od jak dawna tu mieszkasz? Jak długo masz warsztat?

– Dziesięć lat – powiedział, podchodząc do biurka.

– Niesamowite, mieszkam tu dłużej od ciebie, ponad piętnaście lat i prawie codziennie przejeżdżam koło twojego domu, a dopiero teraz zauważyłam szyld.

– Jest od dziesięciu lat – powtórzył.

Podał jej wizytówkę. Podobnie jak on, spojrziała na drugą, pustą stronę, jakby zamierzała tam znaleźć dodatkową, tajemną wiadomość.

– Inżynier Wiśniewski. Skończyłeś studia.

Nie zareagował. Miała ochotę mu zdać wiele pytań, ale mechanik spoważniał i wyraźnie dał do zrozumienia, że zabiera się do pracy.

– Przyjdę o 20 – powiedziała.

– Gdyby nie ta muzyka, nie przyszłoby mi do głowy zapytać o panięskie nazwisko, pomyślałem, że z osób, które znam, tylko ty mogłabyś takiej słuchać – tłumaczył, podnosząc maskę samochodu.

Emilia wróciła do domu podekscytowana. Usiadła z kawą i lodami na balkonie. Zmrużyła oczy przed słońcem i zobaczyła tamtą scenę sprzed ponad czterdziestu lat. Ona, czternastoletnia licealistka, w granatowym fartuchu z kieszonką na lewej piersi i białym dopinanym kołnierzykiem, trzymała za rękę Emila, piętnastoletniego licealistę, który w środku roku szkolnego doszedł do klasy i usiadł obok niej w ławce, bo tylko tu było wolne miejsce. Ona, dziewczyna z końskim ogonem i jasną grzywką, szczupłutka, prawie chudziutka, co było podstawowym zmartwieniem jej matki, zakompleksionej wdowy, dla której dzieci pyzate były tymi zdrowszymi, idzie z Emilem, trzymając go za rękę i nie reagując na salwy śmiechu wybiegających ze szkoły uczniów.

W klasie wyróżniała się jeszcze i tym, że na górnej kieszonce fartucha miała wyszyty czerwoną muliną monogram „E”, co było powodem docinków wychowawczynie nade wszystko kochającej skromność, pokorę i zasadę, że pokorne cielę dwie matki ssie. Nie miała nic przeciwko temu, aby Emil siedział z nią w jednej ławce, wolnej od czasu, kiedy jedna z uczennic zrezygnowała ze szkoły po I semestrze.

Dobrze im się siedziało. Emil i Emilia. Emil był cichy, małomówny. Potrzasał jasnowłosą czupryną z kręconymi włosami. Uśmiechał się inaczej niż wszyscy chłopcy w klasie, patrzył też inaczej, powłóczyście, słodko jak amorki, kupowane na odpustowych straganach. Kiedy musiał wyjść na środek klasy do odpowiedzi przy tablicy, zacinął się, rumienił, co było powodem dociepów chłopaków, odgrywających rolę klasowych twardzieli.

Któregoś dnia zapytał równie nieśmiało, czy może ją odprowadzić do domu. Zgodziła się, choć czuła, że od tej pory będą pod czujnym okiem nie tylko klasy, ale i nauczycieli. Postanowiła nie słyszeć szeptów, nie zwierzać się koleżankom, co przyszło jej z łatwością, bo i przedtem tego

nie robiła. Nie przypuszczała, że pierwszy cios przyjdzie od strony twardzieli.

Po ostatniej lekcji, dzielonej na grupy, czekała przed szkołą, aż Emil wyjdzie z sali gimnastycznej. Wyszedł ostatni, w jednym bucie, zarumieniony, spocony. Grupa kolegów stała z boku i pokładała się ze śmiechu, komentując zdarzenie niewybrednymi słowami. Koleżanki okazały się bardziej solidarne, bo naskoczyły na chłopaków, stając tym samym po stronie Emila.

– Schowali mi jednego buta, abym nie mógł cię odprowadzić – powiedział.

Właśnie wtedy wzięła go za rękę i poszli tą samą, co zawsze drogą, on w jednym bucie i skarpetce na drugiej nodze. Szli w milczeniu, próbując nie słyszeć komentarzy i śmiechów. Emil odprowadził ją pod sam dom. Nigdy nie zaprosił go do mieszkania. Był już upalny czerwiec, zbliżał się koniec roku szkolnego. Emil nie przyszedł więcej do szkoły. Nigdy nie dowiedziała się dlaczego, nigdy więcej go nie zobaczyła.

– Coś mnie pchnęło do tego warsztatu, który nagle wyrósł mi przed oczami – tłumaczyła mężowi.

Przed 20. wyszła z domu, zabierając przy okazji psa na spacer. Kiedy była blisko warsztatu, zorientowała się, że nie ma kluczyków od samochodu. Zadzwoiła do domu.

– Kluczyki zostawiłaś u mechanika – roześmiał się mąż, pełen pobłażliwości dla jej roztargnienia.

Obróciła wszystko w żart. Do warsztatu wchodziła pełna niepokoju. Emila nie było. Poczuli się zawiedzeni. Samochód wydawał jej nastoletni chłopak, bardzo podobny do mechanika z czasów licealnych. Zapewne syn, pomyślała.

– Wymieniony olej silnikowy, filtr oleju, filtr paliwa, filtr powietrza, filtr kabinowy – powiedział fachowo. – Wszystko zapisane w książce przeglądów, następny przegląd po 105 tysiącach kilometrów – dodał, podając jednocześnie rachunek. – Dziadek prosił, aby pani spojrzała na ten but, zawieszony pod sufitem.

Spojrzała.

But wisiał pomiędzy zimowymi oponami, oddanymi na przechowanie.

Stary but, kiedyś takie nazywano pionierkami.

– Czy pani wie, dlaczego on tam wisi?

– Nie mam pojęcia – skłamała – widocznie dziadkowi coś się porobiło.

– Babcia mu też tak mówi – powiedział chłopak i uśmiechnął się promiennie, jak dziadek przed 40. laty. ■

Oczekiwanie

Moja Kobieta Winna Grzechu, namiętności pełna, wysiadzie za chwilę z pociągu. Czekam na nią z bukietem kwiatów. Odmieniałem jej imię przez wszystkie dni miesiący, przez zimę i wiosnę, odmieniam i teraz przez kolejne chwile. Wysiadzie w słońcu. Przrzekła, że nie tylko w listach będzie, lecz w życiu i że dotkniemy się najpiękniej.

Więc przyjedzie za chwilę. Być może zapragnęła mnie realnego z kości i krwi. Być może nie potrafi już rozmawiać z Abelardem, który mógł tylko pisać, ani z Hamletem, który stawiał pytania, ani z panem Flaubertem z domu Bovary, który tęsknił do innego życia, przybrawszy maskę kobiety, ani z panią Rosą, która dobrze wiedziała, że niekoniecznie trzeba mieć powód ku temu, by się bać, ani nawet z Kareniną, która nie chciała, aby Karenin się uśmiechał i przebaczał.

Być może pragnie tylko mnie. I mnie potrzebuje. W tym moja nadzieja. Wysiadzie za chwilę i powie, że jest zmęczona – przez tę podróż, przez Pascala, Dostojewskiego i Saskię Rembrandta. Wysiadzie uśmiechnięta. Podbiegnę

i wezmę ją na rękę. Powiem, że czekałem całe życie. Powiem, że kocham.

Nie, nie tak.

Nie ruszę się z miejsca. Poczekam aż ona podejdzie. Poczekam spokojnie. Poda mi rękę, którą z szacunkiem pocałuję, a potem przytulę ją delikatnie, obejmę ramieniem i pójdziemy przed siebie. Żadnych gwałtownych reakcji.

Bez sensu. Nie, jeszcze nie tak.

Za chwilę Moja Kobieta Winna Grzechu, namiętności pełna wysiadzie z pociągu. Podbiegnie do mnie stojącego z bukietem kwiatów w ręku. Wysiadzie w słońcu, zarzuci mi ręce na szyję i powie: Czekałam na ciebie całe życie, kocham cię, mój chłopczyku.

Moja kobieta. Moja Kobieta Winna Grzechu wysiadzie z pociągu.

Wysiadzie. Na pewno wysiadzie.

Czekam razem z kwiatami i słońcem.

Więc opanuj się jeszcze przez kilka minut.

Zapał papierosa.

Nie, nie tak.

Żuj gumę, czytaj coś nonsensownego.

Nie, nie tak. Bez sensu.

Czekaj spokojnie. Twoja kobieta za chwilę do Ciebie podejdzie. Powie: Dziękuję, że jesteś. Bądź moim źródłem, będę zawsze spragniona. Kochaj mnie, zobaczysz – stworzymy siebie od nowa dla siebie i dla życia. Jestem ostatnio więcej z tobą niż z sobą. Chcę mieć ręce pełne ciebie, a gdy zamkniesz oczy, pobiegnijmy razem po różę; po jej zapach i czerwień, kolcami przypieczętuujemy nasz dzień, a potem zaśniemy wplątani w siebie wszystkim, co nam dano i będzie cisza. I będzie ona – moja Kobieta Winna Grzechu.

Nie, nie tak.

Jeszcze nie tak. Moja kobieta wybiegnie z pociągu, zaśnięnie na mojej szyi i powie: Przytul mnie mocno, wejdź we mnie. Moja kobieta będzie moją, zwisając w moich ramionach. I powie: Nie bądź rozważny, bądź szalony i nie bój się ran, które są święte. Mam to, czego chciałem. I powiniennem dziękować Bogu, że o mnie pamiętał, że mnie nie pominął wśród tylu zadań do wykonania, próśb do wysłuchania. Chłonę każdą sekundę wyczekiwania, osuwam je, czuję ich długość i ból. Czuję cielesnie, dotykalnie. Oswajam nawet swoje rozczarowanie, które też wydarzyć się może. Nie proszę Boga, by je odwrócił, bo dlaczego miałby odwrócić coś ode mnie, skoro nie odwraca od innych? Trwam w chwili. Nad słuchuję. Czuję, że jestem bardziej niż wczoraj, bardziej niż kiedykolwiek.

A moja kobieta będzie za chwilę ze mną. Czekam na nią. Czekam. Będzie tym wszystkim, czego nie ma w tej chwili: ptakiem w locie i mgłą. Będzie realna, dotykalna, a nie tylko między snem a snem. Będzie moja. Wejdę w nią cały, a ona podda się moim rękóm i odwzajemni każdy gest. Nie będę jej o nic pytał, bo pytania mogą nas rozdzielić. Moje uczucia dla niej takie są, że chciałbym, aby spotkało ją wszystko, co dobre dla niej, choćby to miało być złe dla mnie.

Czekam na sen, o który się prawa modlić nie miałem, a który wydarzy się na pewno. Wydarzy się. Już za chwilę. Czas przestaje istnieć, a ja rozmawiam z nią, nawet gdy nie rozmawiam. Pozostaje tylko chwila, błysk nagłej pewnością, podnoszący na duchu i zapraszający w nieznanne. Nigdy jeszcze zapach kwiatów nie był taki silny. Radość też boli. Ale to nic. Ból urzeczywistnia. Tylko on jest prawdziwy. Wszystko z niego: strach, rozpacz, tęsknota, której zabić nie można, bo przemyca się w kolorze oczu i zapachu. I dlatego jest wieczna, jak trawa.

Moja Kobieta Winna Grzechu, miłości pełna – stoi przede mną.

W jej oczach siedzi demon – ten sam, który opętał Joannę, Matkę, tę od Aniołów.

Moja kobieta przytula się do mnie i mówi: Nie chcę być bez ciebie, nawet jeśli będę. ■

Tak, to ja, Sydonia

Tak, to ja, Sydonia Borck, krwi szlacheckiej, córka świętej pamięci Otto von Borcka i świętej pamięci Anny von Borck, de domo Schwie – cheld, urodzona w roku Pańskim 1545, na zamku w Strzmielu, siostra Doroty i Ulryka, wnuczka szalonego dziadka Ulryka i kuzyna Matzke, zwanego dzikim.

Tak, to ja, od dzieciństwa do innych dziewcząt niepodobna, niechwalący się, urodziwa, własnymi ścieżkami chodząca, a za mną pies Jurgen i czarny kot Chim, oczy mrużący przy obcych. To ja, dostojni sędziowie, niegdyś piękna dziewczica, Biblię czytająca, na ziołach się znająca, teraz stara kobieta, ciągle dziewica, w bojaźni bożej trwająca, w klasztorze maryjańskim do niedawna myśli ku Bogu wznosząca.

To ja, Sydonia, sędziowie sprawiedliwi i szlachetni, choć prawdy nieznający, bo omotani fałszywymi świadectwami bliźnich, a w szczególności Anny von Apenburg, Doroty Stettin i Anny Hebron, mnieśk z klasztoru w Marianowie, oskarżających mnie o szkaradne praktyki, zaklanianie i przyzywanie choroby i śmierci. Oskarżono mnie, związano, starą i bezradną istotę, wrzucono na trzeszczący wóz i przywieziono na zamek Oderburg.

Siedziałam długo w celi zimnej i wilgotnej, karmiona spleśniałym chlebem i wodą. Przez małe okienko słyszałam pisk mew znad Odry i krakanie kruków, kołujących nad bukami. Słyszałam języki innych więźniów, skrzypienie krat i brzęk łańcuchów. Przysną, rozmawiałam z ptakami, z drzewami, łapałam promień słońca na ścianie, przykładając go do serca mego i płakałam, kiedy mnie opuścił. Wszystko z samotności wielkiej.

W malinie widziałam psa i kota swego, po imieniu ich wzywałam, prosząc, by mi rany wylizali, ciepłem się podzielili. Gdybym taką była, za jaką mnie chcecie mieć, czyż trwoniałabym siły swoje na miotanie się od ściany do ściany, czyż wkładałabym głowę w kratę, wrzeszcząc o pomoc? Czyż wzywałabym imię Boga swego nadaremno i błagała w ciemnościach: To ja, Sydonia, sługa Twoja, daj mi znak Panie, że jest sprawiedliwość, której ciemnota nie przysłoni.

Spójrzcie na mnie, sędziowie sprawiedliwi, jak z pogardą odrzucam oskarżenia gawiedzi, która się przeciwko mnie przysięgała. Czym zasłużyłam na łamanie żeber, druzgotanie członków, zakładanie żelaznych butów na nogę i wsuwanie w palenisko? Czym na tron z kolcami, podgrzewany od spodu? Czym na obcęgi, usuwające paznokcie i zęby? Czym na żelazny hełm, ściskający głowę i na kneblowanie?

To, ja Sydonia, ciągle Sydonia, która resztkami sił odwołuje to wszystko, do czego przyznała się na torturach. Nie uśmierciłam pastora Dawida. Zszedł był, gdyż zbyt często wątle zdrowie piwem z mojej piwniczki krzepił. Nie z mojej mocy ród Gryfitów umierał bezpotomnie. Nie zgładziłam klasztornego furtiana, który nagłej dychawicy dostał, w zioła moje nie uwierzywszy i przestróg nie posłuchawszy. Nie zgładziłam siostry Magdaleny, zżarła ją gorączka płożowa w tajemnicy trzymana.

Nie potrafię czarować, nie służy mi diabeł, nie mam w nim kochanka, w staropanieństwie dogorywam, w dziewictwie mi łono uschło. Nie zabiłam księcia Filipa, nie zabiłam dziecka Prechelowi. Mimo całej wiedzy swojej, nie potrafię wyjaśnić ich zgonu. Przysięgam na krew Chrystusa, że ich śmierć nie moje sumienie obciąża.

To wszystko oskarżenia z palca wyssane, sędziowie dostojni, oskarżenia ludzi z chorą wyobraźnią, zawistników wszędzie diabła węszących. Przywołuję waszą roztropność, wzywam rozsądek, w mądrość wierzę, która nie pozwoli wam we mnie czarownicy zobaczyć, ani na stos mnie skazać.

Oto ja, Sydonia, stara kobieta oszukana przez bliźnich. Najsam – pierw przez Ernesta Ludwika, o oczach jasnych i ustach namiętych, syna księcia Filipa I. Książę afektem zapalał, małżeństwo obiecywał, a w końcu ożenił się z księżniczką Zofią Jadwigą, córką księcia brunszwickiego, cóż z tego, że jak noc listopadowa szkaradną i bez kształcenia żadnego, za to majątną i z krwią bardziej błękitną niż moja.

Potem brat mój, Ulryk, awanturnik i chciwiec, wymógł po śmierci rodzicieli naszych zrzeczenie się praw majątkowych w zamian za utrzymanie i renty roczne dla mnie i siostry mojej, Doroty. Od tej pory niestrudzenie, przez lat czterdzieści i więcej, praw swoich przed sądami dochodziłam, z pomocą opiekunów prawnych, jako że kobiety i dzieci głosu nie mają, a mężom swoim podporządkowane, w samotności i zgryzocie, żyć muszą i dopóki uroda z lic nie schodzi, na łaskawość liczyć mogą. Mało jednak łaskawości dla niewiast, narzeczonych odprawiających, w staropanieństwie przysięgi dotrzymujących, przed księciem korzystającym z *ius primae noctis*, czmychających.

Sędziowie sprawiedliwi, to ja, Sydonia.

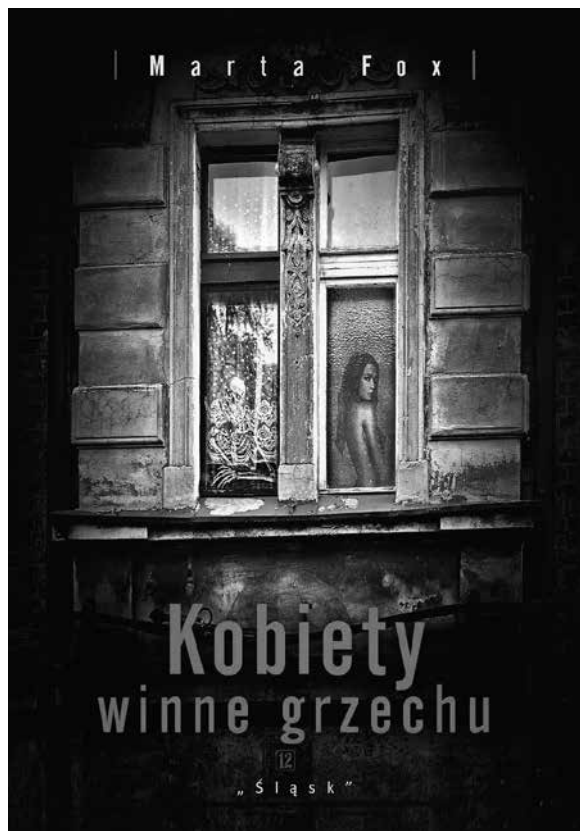
Nie ma we mnie mocy nadziemskich. Przecież we mnie nawet ludzkich mocy nie stało, by krewnym moim część majątku mnie należnego odebrać. Ludzie wierzą, w co wierzyć chcą, wymyślają złe moce, by swój los tłumaczyć, kozła szukają ofiarnego, bo wiedzy im nie dostaje, bo modlitw wznosić siły nie mają, bo łatwiej kamieniem rzucić w drugiego, byle kłody we własnym oku nie zobaczyć. Was sędziowie, proszę o pomoc i Boga mego jedyne, nie diabła kosmatego.

Jeśli głowa moja potrzebna jest do zaspokojenia sumień oskarżycieli moich, to zetnijcie ją. Już więcej sił nie mam do walki z oszczerstwami. Widać nie potrafiłam kochać bliźniego swego jak siebie samego. Nie potrafiłam trwać w posłuszeństwie wobec brata swego i sąsiada mego. Nie byłam cierpliwa ani łaskawa, unosiłam się gniewem i pychą, pamiętałam, co złe, i szukałam poklasku dla osoby swojej.

Zetnijcie mą głowę, a potem w ziemi pogrzebcie. Uwiercie, sędziowie dostojni, nie będzie wam cieplej od śmierci mojej, bo w życiu uczestniczyłam, jak w sakramentach. I przepowiadam wam, obiecuję, nie umrę cała, nie umrę.

Nim dwieście lat minie, imię moje powróci w pieśniach i każda kobieta je znać będzie. Każda kobieta, każda.

A bogowie będą je wypowiadać szeptem, Sydonia, Sydonia, niewinna Sydonia, niewinna kobieta. ■



Opowiadania pochodzą z książki Marty Fox *Kobiety winne grzechu*, wydanej przez wydawnictwo „Śląsk”.

W lipcowym Miesięczniku Śląsk ukazał się artykuł pt. „Śląskie rzeki pamięci” Mariana Uherka, dotyczący Odrzańskiego Spływu Wiosennego. Harcerze śląscy od lat organizują również Wiślany Spływ Jesienny rzeką Wisłą i jej dopływami. W tym roku po raz czterdziesty drugi spływ odbywał się 3–4 października. Każdy ze szlaków ma także swojego bohatera. W tym roku zostały spłynięte trzy szlaki: Szlak Braci Pukowców – rzeka Wisła od Zapory w Goczałkowicach do Nowego Bierunia, Szlak Alfreda Tkocza – rzeka Pszczynka od Warszowic (i wyżej) do ujścia do rzeki Wisły i Szlak Powstańców Śląskich – rzeka Gostynka od Gostynia do ujścia do rzeki Wisły.

Wiślany Spływ Jesienny to tradycyjna wędrówka Harcerskich Drużyn Wodnych i Żeglarskich Śląskiej Chorągwi ZHP w dorzeczu Górnej Wisły w ramach Złotej Jesieni Wodniackiej. Jej początek przypada na okres Harcerskiego Startu w drużynach. Od 1 września do 30 listopada drużyny organizują głównie wykapki i wycieczki wodne dla nowo przyjętych kandydatów i nieodznaczonych harcerzy. Wiślany Spływ Jesienny jest bardziej wymagającą akcją i harcerze muszą posiadać większe umiejętności.

4 października reprezentacje drużyn wodnych, jak co roku, spotkały się przy pomniku w Obozie Koncentracyjnym i Zagłady Birkenau w Brzeżnicy na uroczystym apelu. Odbył się apel pamięci, gdzie Pilot Chorągwi druh phm. Krzysztof Popek wygłosił okolicznościową gawędę, potem zostały złożone kwiaty i nastąpiła minuta ciszy i zadumy, na końcu harcerze odśpiewali Hymn ZHP i w zupełnej ciszy rozeszli się do swoich zadań. W tym roku z oczywistych względów spływ został skrócony do jednego dnia. Na uroczysty apel reprezentacje drużyn dojechały.

Krótko o bohaterach harcerskich szlaków.

Józef Pukowiec po wybuchu II wojny światowej został komendantem Chorągwi Śląskiej w Katowicach. Pozostawał w łączności z Rybnikiem, gdzie zawiązała się z jego pomocą Polska Organizacja Powstańcza, złożona głównie z dawnych harcerzy i uczniów gimnazjum. Mimo ścisłej tajemnicy, władze hitlerowskie



Początek spływu na rzece Pszczynce

Śląskie rzeki pamięci – ciąg dalszy

LESZEK SZULC

wpadły na trop organizacji. Józef Pukowiec już w grudniu 1940 roku dostał się do niewoli i był zamknięty w osobnej celi. Nie załamał się duchowo, nie zdradził nikogo. Po krótkim pobycie w Oświęcimiu na bloku 14, gdzie urządził współwięźniom wieczór wigilijny ze śpiewaniem kołęd i pieśni harcerskich, przewożony był z więzienia do więzienia. Został zgilotynowany w katowickim więzieniu przy ulicy Mikołowskiej. Warto również wspomnieć, że w kilka dni po ścięciu Józefa, aresztowano Jego brata – Bronisława, którego rozstrzelano w Auschwitz. Kolejny brat – Alojzy, dostał się do obozu Neuengamme pod Hamburgiem, był oficerem Wojska Polskiego. Gdy nastąpiła ewakuacja obozu drogą morską, zginął zatopiony na jednym z czterech statków, a czwarty z braci – Stanisław, także aresztowany przez hitlerow-

ców, przeżył wprawdzie pobyt w kilku obozach, ale wskutek wykonywanych na nim doświadczeń medycznych zmarł w 1948 roku.

Alfred Tkocz urodzony 27.05.1914 r. Należał do IX Drużyny ZHP im. Tadeusza Kościuszki w Chwałowicach. Był uczniem Seminarium Nauczycielskiego w Pszczynie, a następnie uczestniczył w kampanii wrześniowej w 1939 roku. Z nastaniem okupacji współorganizator Szarych



Chwila zadumy

Szeregów, działacz POP, ZWZ/AK. W stopniu kapitana pełnił funkcję zastępcy dowódcy kompanii AK w rejonie rybnickim. Został aresztowany 9.02.1944 r. Więziony w KL Auschwitz i tam zginął na krótko przed wyzwoleniem obozu.

Podczas I powstania śląskiego Tychy zostały zajęte na kilka godzin przez powstańców, w Czulowie zmuszono do kapitulacji kilkunastoosobowy oddział niemiecki, w Paprocianach zdobyto działa po zaatakowaniu kwaterującej w miejscowości załogi baterii niemieckiej. Pod kontrolą powstańców znalazły się ponadto czasowo m.in. Bojszowy, Jedlina, Bijasowice, a także nadgraniczny Bieruń.

Podczas spływu harcerze wykonują przeróżne zadania związane ze zdobywaniem sprawności i stopni harcerskich, znaków służb, odznaki chorągwiowej, stopni i uprawnień wodniackich. Są to zwiady przyrodnicze, prace na rzecz rzeki, wędrówki szlakami tradycji i historii regionalnej.

fol. aut.



Uroczysty apel reprezentacji śląskich drużyn wodnych



Osada harcerek dzielnie pokonuje przeszkody na wodzie



Harcerki z 27 Harcerskiej Drużyny Wodnej z Mikołowa



Śląskie tajemnice cz. 31

Sekret pałacu w Osetnie

JULIA MONTEWSKA

Na niewielkim wzniesieniu koło Góry Śląskiej, w otoczeniu fosy i wałów obronnych – a raczej tego, co po nich pozostało – istnieje piękny pałac z cylindryczną wieżą górującą nad całą okolicą. Dawniej, umieszczony na niej mechanizm zegarowy odmierzał sekundy, minuty, godziny wskazując upływ czasu w Osetnie. Nie wiadomo kiedy stanęło serce zegara, a o tym, że istniał świadczą tylko zgryzione rdzą cyferblaty wpatrzone w cztery strony świata. Pomimo licznych zmian i przebudów, jakie przeszedł pałac, obiekt tak naprawdę nigdy nie pozbył się cech obronnych, jakie zapoczątkowano w 1540 roku budując w tym miejscu założenie obronne, którego bryłę urozmaicała cylindryczna wieża w narożniku południowo-wschodnim.

Wybudowany przez Oswalda Tschammera obiekt po jego śmierci przeszedł w ręce jego syna Wolframa Tschammera, który go przebudował. Hans Wolfram von Loss był kolejną postacią, która sfinansowała przebudowę założenia. Za jego czasów dobudowano skrzydło północno-wschodnie, przez co pałac uzyskał plan litery „U”, typowy dla największych śląskich założeń rezydencjonalnych tego okresu. XIX wiek przyniósł wraz z nowym właścicielem – Juliusem von Carmerem – kolejną przebudowę, dzięki której pałac zyskał klasycystyczną formę. Do frontu dobudowano portyk kolumnowy oraz przekształcono część wnętrza, zaś w 1840 roku cylindryczna wieża, a właściwie jej górna część nabrała cech neorenesansu, finalnie uzyskano trójskrzydłowe założenie obejmujące dwa budynki mieszkalne, połączone dachami czterospadowymi oraz trzeci budynek parterowy nakryty dachem dwuspadowym. Carmerowie byli właścicielami pałacu aż do 1941 roku... i od tego okresu losy pałacu są owiane mgłą tajemnicy.

Z dokumentów archiwalnych, które odnalazł Piotr Lewandowski wynika, że w okresie wojennym w pałacu w Osetnie pracowano nad mechaniką precyzyjną z dziedziny optyki. Prawdopodobnie umieszczono tu zakład cywilny, produkujący na cele wojskowe, przeniesiony na prowincję z Berlina w celu ochrony przed nalotami, jednak nie ma jak dotąd jednoznacznej odpowiedzi, czy była to tylko produkcja czy też (podobnie jak w Opactwie Cysterskim w Lubiążu) działalność badawcza i eksperymenty z nowymi technologiami, być może dalsza kwerenda archiwalna rzuci na ten temat więcej światła. Na pewno jedną



fol. Julia Montewska

z ciekawostek jest fakt, że pałac, będąc przez długie lata siedzibą rodową rodziny von Tschammer, która dla podkreślenia swojego związku z Osetnem używała drugiego członu nazwiska Osten, powiązana jest z ministrem sportu III Rzeszy – Hansem von Tschammer und Osten, który był odpowiedzialny za zorganizowanie w 1936 olimpiady w Berlinie. Jest natomiast sprawą bardzo wątpliwą, czy kiedykolwiek odwiedził pałac w Osetnie zważywszy na fakt, że ten do lat już nie należał do jego rodziny.

Powojenne losy pałacu to cały korowód zmieniających się właścicieli i dysponentów. Obiektem zajmowali się kolejno: Kombinat PGR w Górze, od 1970 roku PGR Kietlów – Zakład Rolny Osetno, od 1977 PGR Kloda Mała – Zakład Rolny Kietlów Gospodarstwo Ryczeń, potem Agencja Własności Rolnej Skarbu Państwa, a od roku właścicielem jest osoba prywatna. Do 1977 roku obiekt pełnił jeszcze funkcję lokalową, wnętrza pałacowe przeznaczono bowiem na mieszkania pracownicze, jednak już wtedy stan pałacu wykazywał daleko posuniętą destrukcję. Tak na dobrą sprawę pałac, wobec pogarszającego się stanu technicznego, zaczął pustoszeć już w 1965 roku, jednak jakieś życie jeszcze wciąż się w nim tliło. W kolejnych latach ludzie odeszli,

a on sam został zamknięty na głucho. Pierwsi właściciele, którzy kupili obiekt od skarbu państwa, chcieli stworzyć tam hotel, SPA i kompleks konferencyjno-rekreacyjny, jednak wielkie plany prysły jak bańka mydlana, a pałac został ponownie sprzedany. Kolejni właściciele wymienili dach pałacu, po czym zamknęli rezydencję na głucho i jedynie echo tłuące się po pustych pałacowych wnętrzach woła o pomstę i prosi o ratunek, który niestety, nie nadchodzi.

Pałacowe wnętrza pozostają niedostępne dla zwykłego zjadacza chleba, obiekt można podziwiać tylko z zewnątrz, ponoć gdzieś jest pan klucznik, ale niestety nie było mi dane go spotkać. Nie można też wejść na wewnętrzny dziedziniec, który skrywa prawdziwe arcydzieło, jest to manierystyczny portal z lat 1617–19 dłuta Johanna Pola; który, sądząc po tym, co można zobaczyć przez wysoki mur, zachował się w dość dobrym stanie, mając na uwadze losy pałacu w czasach PRL i późniejszych. Pałac ma nowy dach i w zasadzie w takim stanie może trwać kolejne dekady, tylko to trochę mało, skoro mógłby być ozdobą całego regionu. Być może stagnacja przy remoncie pałacu to tylko okres przejściowy i niebawem powieje wiatr odnowy, który już na dobre ożywi ducha tego miejsca. ■

Julia Montewska — inicjatorka powstania fundacji ochrony zabytków dolnego śląska „Vestigium”, regionalistka, pasjonatka ruin, miłośniczka zabytków oraz architektury obronnej i przemysłowej Dolnego i Górnego Śląska, twórczyni internetowego portalu Łowcy Historii, publikuje w miesięczniku „Odkrywca”.

Ramzes

Sceny z życia dawnego Egiptu

ALEKSANDER BŁOK, *przełożył* MARIAN KISIEL

Osoby

Ramzes II, faraon XIX dynastii

Pсарu, gubernator Teb, miasta o stu bramach

Hamoizit, jęgo rządcą

Oficer

Urządник

Posłaniec

Prorok

Królowa, świta, handlarze, rzemieślnicy, murarze, skryby, przyjaciele, krewni Pсарu, klienci, żalobnicy, lud.

Rzecz dzieje się w XIV stuleciu przed Chr. (Nowe Państwo) w starych Tebach za czasów Ramzesa II.

Plac targowy z domem gubernatora w centrum miasta. Ranek. Nieladne i mroczne fasady względnie wysokich domów ze szczelnie zamkniętymi drzwiami. Okien na ulice prawie nie ma, widać tylko kilka na górnych piętrach. Do ścian przylegają ławki pokryte sitowiem. Plac powoli zaczyna wypełniać się ludźmi.

Przed głównym wejściem do domu gubernatora, przy zwieńczonej krenelażem ścianie pod akacją, siedzi domowy rządcą Hamoizit, wysoki i chudy. Jeszcze nie przyszedł do siebie po pijaństwie i mruczy pieśń: „Pij, pij, podnoś, pij, pij, podnoś”.

W drzwicach pokazuje się gubernator Pсарu, malutki i tłusty. Hamoizit nagle się zrywa i pada na brzuch.

PSARU Wstań, wstań, Hamoizicie. Pewnie masz nieczyste sumienie, skoro padasz przede mną jak przed faraonem. Nie mogą zasnąć, nawet Bizu nie pomaga; boli mnie brzuch, płonie głowa i mam gorzyc w ustach. Zamęczyła mnie ta przekłęta wieś.

HAMOIZIT Czy nie rzucono na ciebie jakiegoś uroku, władco?

PSARU Urok, urok! Zawsze unik, chytra gadzino! Czy wiesz, Hamoizicie, kim jestem?

HAMOIZIT Wiem dobrze, władco. Jesteś gubernatorem Teb, namiestnikiem Ziemi Południa i głównym nadzorcą królewskich prac.

PSARU Właśnie. Wiesz nadto, że król pozwolił mi całować swoje stopy, ale zakazał przy tym całować podłogę; że nie ma mi równego pośród ulubieńców króla; że wszyscy śmiertelnicy nie podchodzą do mnie inaczej, jak w niskim ukłonie; albowiem wszyscy ludzie chodzą w moim świetle.

HAMOIZIT Wiem, władco. A nadto możesz jeszcze tworzyć prawo, podwyższać podatki, rozstrzygać wszelkie niejasności i dawać pokój krajowi.

PSARU I takiego człowieka chcesz schytrzyć?

HAMOIZIT Ty, niczym Thot, jesteś mężem prawdy, świadkiem nadziei; ty jesteś głową sądu; ty słyszysz wyraźnie i mówisz rozumnie; ty budzisz trwogę w tym, kto jest nieprzyjacielem króla i wiesz, co skrywa się w każdym człowieku...

PSARU Tak właśnie, Hamoizicie. A ponieważ wiem, co skrywa się w każdym człowieku, to nie ukryje się przede mną i to, co skryte jest w tobie, ponieważ ty również jesteś człowiekiem, a przy tym – pijanym człowiekiem.

HAMOIZIT Nic się nie ukryje przed twoim spojrzeniem; ale przecież wydaje mi się, że jestem czysty przed tobą. Ja, panie, nie przed tobą nie ukrywam.

PSARU Łiesz, łiesz, niegodny niewolniku. Wiem dokładnie, jak prowadziłeś się w tym czasie, kiedy ja wypełniałem wolę mojego pana.

HAMOIZIT W tym czasie uśmierzałem bunt murarzy królewskich grobów, mój władco.

PSARU Być może uśmierzałeś, ale mimo to znowu łiesz. Co mi odpowiesz na to, jeśli ci powiem, że wałęsałeś się po ulicach i zalaływało od ciebie piwem, jak z piwiarni? Żeś siedział w tej piwiarni z dziewczkami i z girlandą na szyi? Żeś się jeszcze uczył śpiewać pod fletnię, intonować i grać na harfie? Że w ogóle byłeś podobny do młotka ze słomy, domu bez chleba i świątyni bez boga?

HAMOIZIT Władco, ty czytasz w sercach, jak boski Ra; klnę się na Ozyrysa, nic przed tobą nigdy więcej nie ukryję, albowiem ty widzisz to, czego nie widzi nikt i słyszysz to, czego nikt nie słyszy.

PSARU Przyjmijmy jednak, że wszyscy doskonale widzieli, jak się tarzałeś po placu i słyszeli, jak ryczałeś pieśni...

HAMOIZIT Pozwól mi na swoje usprawiedliwienie powiedzieć, że wszystko to stało się z jednego powodu, z rozpacz...

PSARU Zapamiętaj, Hamoizicie, zapamiętaj jak głupio działała wino, trzymaj się z dala od piwa i lepiej zapomnij o obu trunkach. Upity winem pada twarzą w dół, a upity piwem – na twarz. A przecież pijany może się zapomnieć i nagać wiele nieostrożnych i niebezpiecznych słów, za które przyjdzie potem odpowiadzić. A jak to wygląda, kiedy do rządcy gubernatora przychodzą ze sprawą i zastają go, jak małe dziecko, tarzającego się po podłodze?

HAMOIZIT Masz rację, władco, masz rację; uwierz, że tylko rozpacz sprawiła, że wyszły ze mnie te wady, jakie wyliczyłeś.

PSARU Cóż cię przywiodło do takiej rozpacz? Czy twoje własne sprawy? Czy też może państwowe?

HAMOIZIT I te, i te, na nieszczęście. Nektemmut z towarzyszami wdarł się do mego domu; ukradli moje zboże, wylali mój olej, przygotowany na dzień koronacji. Wtargnęli też do spiżarni i wynieśli trzy wielkie chleby, osiem bułek, wytaszczyli bukłak z piwem i go wypili, pod moją nieobecność...

PSARU Kiedy w tym czasie leżałeś pod drzwiami piwiarni, próżniaku. Zdaje mi się, że zdążyłeś już nadrobić utracone i dlatego wcale mi ciebie nie żal. Powiedźże lepiej, jakie państwowe sprawy sprawiły, żeś zhańbił wysoki tytuł rządcy domu gubernatora Teb, miasta o stu bramach?

HAMOIZIT Ty wiesz, panie, że robotnicy na nowych budowach stale się buntują. Dziesiątego mechira przełamali pięć murów grobu, dobrali się do południowej części świątyni boskiego Seta i wynieśli ziarno faraona.

PSARU Tak, tak. I to cię tak silnie wzburzyło, Hamoizicie? No a gdzie był w tym czasie strażnik królewskich grobów?

HAMOIZIT Mówią, że wezwał żołnierzy, ale robotnicy ich nie posłuchali.

PSARU No tak, zawsze wiedziałem, że ten strażnik to niewydarzony urzędnik, a do tego jeszcze i łapówkarz. Kiedy będzie okazja, powiem dwa słowa faraonowi...

HAMOIZIT A mnie się wydaje, panie, że strażnik uczynił wszystko, co mógł...

PSARU Zamilcz lepiej, Hamoizicie, i nie opowiadaj swojemu panu o tym, co ci się wydaje. Czy nie wziąłeś przypadkiem od niego łapówki, skoro go tak stanowczo bronisz? – No, a moje spichlerze?

HAMOIZIT Bogom niech będą dzięki, panie! Twoje kosze są pełne ziarna, i żadna ręka złodzieja dotąd na nich nie spoczęła.

PSARU Bogom niech będą dzięki, Hamoizicie. To pierwsza radosna wiadomość, jaką od ciebie usłyszałem; nawet brzuch mniej

mnie teraz boli. A co do królewskich grobów, to w końcu nie jest to nasza sprawa. Widzę, że gość mój obudził się i idzie tutaj. Jeśli będzie chciał zobaczyć miasto, idź za nim, usłuż mu i bacz, żebym nie usłyszał od niego ani jednej skargi na ciebie.

GOŚĆ (*stając w drzwiach*) Jak twoje zdrowie, szlachetny panie? Dlaczego tak wcześniej porzuciłeś swoje łóżko?

PSARU Miły gościu, moje zdrowie nie pozwoliło mi zasnąć. Czyjeś głupie spojrzenie urzekło mnie i nie mogę towarzyszyć ci dzisiaj na spacerze. Będzie z tobą mój rządca; ja zaś muszę się ubrać i przygotować do raportu dla boskiego faraona. Dlatego wybach. (*odchodzi*)

GOŚĆ Jak cię zwą, skrybo?

HAMOIZIT Hamoizit, panie.

GOŚĆ Idź za mną, Hamoizicie. Chcę przejść się po targu i zobaczyć, czym się tutaj handluje.

Hamoizit z gościem wmiszał się w tłum, który w tym czasie wypełnił plac. Zaczynał się dzień targowy, przyniesiono owce, gęsi, kozy, woły; przechodzą osły obciążone słomą. Chłopi i rybacy przykucnęli przed wiklinowymi tacami z chlebem, owocami, warzywami, mięsem, rybą i materiałami. Sprzedają wędkę, maty, bransoletki, naszyjniki, pomadę, perfumy, cynę, żelazo, bursztyn, szkło, fajans, drogocenne kamienie. W otwartych pomieszczeniach widać, jak garncarz lepi, szewc wyprawia skórę, sprzedawca tkanin pracuje, siedząc na podłodze, mistrz ozdabia wielką alabastrową wazę, stolarz skleja drogie meble, cukiernik sprzedaje daktyle, syropy, ciastka, przyprawy; w gospodzie smażą gęś na rożnie, a jakiś człowiek, usiadłszy na niskim stołku, przygotował się do przyjęcia góry jadała, stojącego przed nim; w tym zaś czasie fryzjer pospiesznie go strzyże. Pani kazała jubilerowi wytopić bransoletkę ze sztabki stopu; w tym czasie przed jego sklepem zatrzymuje się przedni wielbłąd karawany, która przywiozła złoto z pustyni; Negr, zręcznie zeskakując z wielbłąda, w milczeniu podaje Hamoizitowi sakiewkę, którą ten, także milcząc, jak zwykle chowa pod suknię. – Z piwiarni już rozlegają się krzyki: „Wino gwiazdy Horusa, władcy nieba! Pij do końca! Szczęśliwy dzień! Pij do dna!”

Plac jest upstrzony ubraniami różnokolorowych kupujących, sprzedawców i przechodniów – kupców, oficerów, urzędników, mieszczan, kapłanów i plebsu; tłoczą się Syryjczycy, Etiopczycy, Nubijczycy, Negrzy, Fellachowie.

Sprzedawcy wykrzykują nazwy towarów, oferując naszyjniki ze szklanych paciorków, mocne buty, sznury koralu, flakony perfum – od jednej kropli tych perfum wszyscy będą biec za tym, kto je kupił.

Hamoizit pokornie postępuje za gościem Psaru, już objuczonym zakupami. Gość daje za wszystko dobrą zapłatę i handlarze zaczynają go nagabywać tak, że przychodzi mu w końcu ukryć się w domu gubernatora.

Na placu pojawili się spacerowicze; porumienieni mieszczanie chodzą boso i z długą trzcina w ręce. Powoli przejeżdża rydwan, przechodzi łysy kapłan, owinięty w biały płaszcz.

Urzędnik podchodzi do oficera.

URZĘDNIK W końcu odnalazłem ciebie, mężu mocarny i szczęśliwy, mężu królewskiej piękności! Sam lew faraona nie może równać się z tobą w męstwie! – Czy dawno powróciłeś?

OFICER Ledwie skończyła się jedna wojna, już zaczyna się druga. – Czybyś mi zazdrościł?

URZĘDNIK Nie pytałbyś mnie o to, gdybyś wiedział jak ciężkie jest życie biednego skryby.

OFICER Więc sądzisz, że lepiej być oficerem niż skrybą?

URZĘDNIK Nie wiesz, ile nas kosztuje nauka, ile wcześniej musiałem znieść pobić, zanim stałem się skrybą. Nauczyciel każdego dnia mówił do mnie: „Masz więc sto ciosów. Dla mnie jesteś osłem, którego biją. Jesteś głupim Negrem, który dostał się do niewoli. Jak orła przyucza się do siedzenia w gnieździe, jak sokoła uczy się latać, tak ja robię z ciebie człowieka, a ty bądź mi wdzięczny!” Z każdym słowem bił mnie pałką; a bywały dni, kiedy mnie kładziono na podłodze i wybijano trzciniowymi różgami bez liczenia, chcąc mnie dokładnie zmienić w cielęcinę.

OFICER Cóż, nauka nie należy do przyjemnych. Ale jeśli już o tym mówimy, opowiem ci, jak ja zostałem oficerem. W dzieciństwie wepchnęli mnie do koszar i zamknęli. Ciosy też sypały się na mój brzuch; bili mnie po oczach, jak konia, siniaki nie schodziły z mojej głowy, a głowę miałem strzaskaną. Leżałem, a mnie tłuczono, jak belkę papirusu. Potem odprawiono nas na górską syryjską wycieczkę. Zawsze bolały mnie plecy, ponieważ chleb i wodę musieliśmy taszczyć na barkach, jak osły. Jak woda skisła, musieliśmy ją pić. Kiedy doszliśmy do wroga, sił już nie starczyło. Z powrotem wracałem podobny do drzewa wydrążonego przez korniki. Wieziono mnie na osle, ubranie ukradli złodzieje, a sługa uciekł.

URZĘDNIK Wielki Ra, gdzież jest sprawiedliwość? Zaprawdę, lepiej odmienić swoje serce, pozostać nieszczęśliwym skrybą i zarządzać ludźmi!

OFICER Teraz już mi chyba nie będziesz zazdrościł. Nikomu nie życzę być oficerem.

URZĘDNIK Ale czy naprawdę wszystkim tak ciężko się żyje w Egipcie?

OFICER Wszystkim, oprócz kapłanów, wszystkim! Czy mało narodu rozdeptały wrogie rydwany? Czy mało pożarł lew faraona? Czy mało umarło od upału, głodu, gorączki? Tak zginął mój ojciec, tak zginęli wszyscy moi przodkowie! Tak było za Totmessa, tak było za Amenhotepa, tak było zawsze!

URZĘDNIK Bądź więc przeklęty ojczu, któryś mnie spłodził! Bądź przeklęta matko, któraś mnie urodziła!

Pojawia się półnagi prorok w lachmanach, szaleńczo wymachując rękami. Gapię zbierają się wokół niego; chłopcy pędzą za nim, targają go za rozczochrane siwe włosy i rzucają w niego główkami cebuli.

PROROK O, Egipcie, Egipcie, Egipcie! Biada, biada ci! Od jednego pasma górskiego do drugiego przenosisz płacz i jęki dzieci i żon swoich! Niczym śmierdzący smok przemykasz się między dwoma pustyniami! Biada ci, narodzie grzeszny, ludu obciążony nieprawością, plemię zbojeckie, dzieci wyrodne! Piaski pustyni zasypią was! Gdzie was jeszcze uderzyć, skoro mnożycie przestępstwa? Cała głowa chora, całe serce osłabłe; od stopy do szczytu głowy nie ma w nim części nietkniętej! Kraj wasz spustoszony, cudzoziemcy tratuja wam niwy na waszych oczach!

Na szum i krzyki wybiegają niewolnicy, klienci, krewni z domu gubernatora. Hamoizit także wygląda zza drzwi. W oknie na górze pojawia się łysa głowa Psaru.

PROROK Biada ci, Egipcie, biada; biada wam, Teby; stolico, stałaś się wszeteczną, żyła w tobie prawda, a teraz żyją w niej mordercy. (*grozi kulakami Psaru*)

HAMOIZIT Panie, panie, schowaj się szybko, on rzuci na ciebie urok!

Psaru szybko chowa się za oknem.

PROROK Egipcjanie to ludzie, a nie Bóg; ich konie to ciało, a nie duch! Gdy Pan wyciągnie rękę, runie wspomóżyciel, upadnie wspomagany i zginą oni wszyscy razem. (*Odchodzi.*)

Rozlega się okropny szum, wbiega kilka dziesiątków murarzy, ubrudzonych gliną i wapnem. Machają narzędziami i ciągną za sobą trzech skrybów; nadzorcy są przestraszeni i żałośni.

SKRYBA Z powrotem! Z powrotem! W imię faraona!

MURARZE Nie z tobą chcemy mówić, psie! Nie chcemy dłużej cierpieć! Psaru! Psaru! Gdzie nadzorca prac? Niech on nas rozsądzi!

HAMOIZIT Nadzorca jest zajęty.

MURARZE Nie ma co gadać! Chodźcie tu, bierzcie łomy, wyłamcie drzwi!

HAMOIZIT Nadzorca jest niezdrów, nie może do was wyjść.

MURARZE Nie ma co! Dawać go tutaj. Niech rozsądzi! (*Ho-*

moizit zatrzaskuje wrota.) Wyłamać drzwi! Psaru! Psaru! (w stronę drzwi leżą kamienie.)

HAMOIZIT Nie ma rady, trzeba zawołać pana.

Odchodzi. Szybko w drzwiach staje już wypudrowany, wyrumieniony i ubrany w biały kaftan Psaru. Ma kwaśny wyraz twarzy, trzyma się za brzuch. Murarze ucichli i nisko uklonili się Psaru.

PSARU Co się stało, przyjaciele?

MURARZE Przyszliśmy do ciebie, ponieważ nie mamy już więcej sił, by cierpieć. Rozsądź nas ze skrybą Hamuasem. Jesteśmy głodni, a on mówi, że wydał nam całe ziarno w zeszłym tygodniu.

PSARU Podejdź tu, Hamuasie. Czy wydałeś im całe ziarno w zeszłym tygodniu?

HAMUAS Wydałem, nadzorczo.

PSARU Więc widzicie, wydał.

MURARZ Czyli więcej ziarna nie dostaniemy?

DRUGI Jeśli nie dostaniemy, to zejdziemy z miejsca.

TRZECI Nie będziemy pracować!

CZWARTY Nie kradnij naszych zapasów!

PSARU Ciszej, przyjaciele. Wysłuchajcie wcześniej z uwagą tego, co wam powiem. Jeśli do was nie wyszedłem od razu, to czy nie dlatego, że nie miałem nic, czym mógłbym się z wami podzielić? Co się zaś tyczy waszych słów: „nie kradnij naszych zapasów”, to czy po to zostałem tutaj postawiony jako nadzorca, żeby kraść? Przecież nie jestem winny temu, że w moich spichlerzach już nic nie ma. Skądże mam wziąć ziarno?

MURARZ Choćby ze spichlerza faraona!

DRUGI Ze świątyni Seta!

TRZECI W imię Amona, w imię faraona, więcej nas nie zmuszą do pracy!

HAMOIZIT (*do skryb*) Cóż tak patrzycie? Chwytajcie ich, bierzcie pod straż, wrzućcie do więzienia!

HAMUAS Czy nie słyszałeś, że kleli się imieniem faraona? Nie wolno go kłaść!

MURARZE Chleba, chleba! Wołajcie żony i dzieci, idziemy do faraona!

NIEWOLNIK (*przez tłum*) Gdzież jest Psaru, potężny władca?

PSARU Poczekajcie, przyjaciele. Kto szuka Psaru, kto chce widzieć biednego Psaru?

NIEWOLNIK (*cicho*) Wiedz, władco, że król, najmiłościwszy Ra, już wyjechał z pałacu i konie mkną do twojego domu, albowiem dowiedział się o złym stanie twojego zdrowia i pragnie cię zobaczyć w drodze do świątyni Amona.

PSARU Ej, Hamoizicie, podejdź tutaj!

HAMOIZIT Co każesz, władco?

PSARU Słyszałeś, co powiedział ten niewolnik?

HAMOIZIT Słyszałem, panie.

PSARU Cóż nam teraz czynić?

HAMOIZIT Pozwól pomyśleć.

PSARU Myśl, tylko szybciej. Żle się stanie, jeśli król ich tu znajdzie.

HAMOIZIT Żle, panie.

PSARU Jak sądzisz, co należy uczynić, żeby sobie poszli?

HAMOIZIT Sądzę, że należy obiecać im ziarno.

PSARU Chyba masz rację. – Ej, przyjaciele! Idźcie i w spokoju przystąpcie do pracy, a jutro dostaniecie więcej ziarna, chociaż w zeszłym tygodniu wzięliście już wszystko, co się wam należało. W spichrzach więcej nic nie ma, ale mimo to jutro wdam wam to, co znajdziemy.

MURARZE Znamy cenę obietnic! Wiele nam obiecywano! Za wsze jutro! Nie odejdzimy, póki nie dostaniemy ziarna.

PSARU Ciszej, przyjaciele, ciszej. Hamoizicie, Hamoizicie?

HAMOIZIT Słucham, panie.

PSARU Słyszysz, co oni mówią?

HAMOIZIT Jak można nie słyszeć? Słyszę!

PSARU Widzisz, że oni nie odejdą bez ziarna. Co robić?

HAMOIZIT Nie mogę wymyślić.

PSARU Poczekajże. Mówiłeś, że coś ci ukradziono?

HAMOIZIT Ukradziono, panie; ukradł ten sam Nektemmut, który tu stoi i krzyczy głośniejsz niż inni...

PSARU A co on ci ukradł?

HAMOIZIT Ukradł ziarno, olej, osiem bułek, bukłak z piwem...

PSARU To z twojego domu?

HAMOIZIT Z domu, panie, i jeszcze ze spiżarni...

PSARU A ze spiżarni niczego nie ukradli?

HAMOIZIT Ze spiżarni na razie niczego nie ukradli.

PSARU Przyjaciele! Oto pójďte z tym dobrym człowiekiem i weźcie to, co on wam wyda. A ty, Hamoizicie, idź, otwórz swój skład i wydaj ziarno tym biednym ludziom.

HAMOIZIT Chwała ci, Psaru! Tyś naszym ojcem! My zaś twoimi dziećmi! Jesteś łaską podtrzymującą starca! Jesteś obrońcą uciśnionych! Tyś jest schronieniem dla tych, którym zimno w Tebach! Tyś jest chlebem cierpiących!

Murarze idą za całkowicie zdezorientowanym Hamoizitem. Kiedy odeszli, z domu wyszli krewni, niewolnicy, przyjaciele, klienci, Psaru chodzi między nimi i zadowolony zaciera ręce.

PSARU Nic dziwnego, że król lubi Psaru; nic dziwnego, że wszyscy ludzie chodzą w świetle Psaru; nic dziwnego, że kłaniają się Psaru! Kto, oprócz Psaru, zdołałby tak zręcznie pozbyć się próżniaków! A teraz wiedzcie, że wnet tu przybędzie sam boski syn Ra! Zróbcie drogę pogromcy nieprzyjaciół, potężnemu bykowi, który kocha prawdę! Albowiem widziany był już pod portalem Pirai, niczym słońce pojawiające się rano na wschodzie nieba, aby zalać cały świat swoimi promieniami!

W tym czasie rynek trochę opustoszał, ponieważ nastał czas południowego odpoczynku. Pod piwiarnią zwałił się pijak. Nagle, pędząc przed siebie, popychając i powalając nielicznych przechodniów, wbiega drużyna czarnych skorochodów. Za nimi pojawia się pluton różnokolorowej obcej gwardii ze sztandarem, buławą, pikami, toporami i tarczami. Stają szpalerem, dopychając ludzi do ścian. Psaru, jego przyjaciele i wszyscy, prócz żołnierzy, padają na twarz. Wjeżdża Ramzes, piękny jak bóg Ozyrys. Stojąc na małym rydwanie, sam, z wachlarzem w ręce, drugą ręką osadza na zadach dwa białe konie niemal na wprost drzwi domu gubernatora. Za rydwanem faraona zjawiają się rydwany królowej i świty. Wszyscy z wachlarzami. Królowa ma mocno i pięknie umalowaną starzejącą się twarz. Król schodzi z rydwanu i wchodzi na tron z małym podnóżkiem, który już zdążyli wynieść z domu.

RAMZES Doszło do naszych uszu, że sługa nasz Psaru jest niezdrowszy. Przybyliśmy więc, żeby zobaczyć naszego wiernego sługę Psaru. Czy Psaru, zarządca świętego miasta, może jeszcze pozostać w naszej służbie?

Psaru leży bez ruchu. Król zwraca się do jednego z przyjaciół.

Podnieś go, i niech nam odpowie.

PSARU (*wstaje*) O, Horusie między ludźmi, wybrańcu słońca, ulubieńcu Amona, złoty jastrzębiu, wiecznie bogaty i najpotężniejszy. Byłem jak kłosa ścięty sierpem żniwiarza na polu twoich ojców, dopóki twoje światło nie oświeciło mnie, i twój blask nie oślepił mnie, i twoja mowa nie podniosła mnie, i oto stoję przed tobą i odpowiadam tobie.

RAMZES Niechaj Ozyrys przedłuży dni służby naszego Psaru. Teraz niech Psaru powie nam, jak spędził czas we wsi i jak wypełnił rozkaz swojego władcy.

PSARU O, prawdziwie mocny jak Ra, ulubieńcu słońca, władco obu Egiptów! Ze wschodu na zachód i z zachodu na wschód objechałem powierzona mi przez ciebie ziemię; byłem u bogów krainy południowej i byłem u bogów krainy północnej; wszędzie włączałem zdrowszych młodzieńców do twojego najpotężniejszego wojska, wcześniej wszystkich zamykałem w więzieniach i spichlerzach, żeby nie zdążyli uciec w góry; ponieważ ty wiesz, że pokojowi Egipcjanie nie lubią wojny i boją się twojego spojrzenia.

RAMZES Przyjemnie nam słyszeć, że Psaru zdołał uprzedzić ucieczkę leniwych i tchórzów. Niech wiedzą wszyscy, że i nam woj-

na nie jest potrzebna, ale nie zatrzymamy jej, dopóki nie pokonamy wszystkich nikczemnych wrogów z pustyni syryjskiej i pustyni libijskiej, i będziemy walczyć do pełnego zwycięstwa. Niech nam odpowie sługa nasz Psaru, czy ma pod dostatkiem broni, pod dostatkiem rydwanów i pod dostatkiem chleba dla wojska?

PSARU Wiesz, że nie ma rydwanów na świecie, które mogłyby się równać z siłą i lekkością rydwanów Egiptu. Mam pod dostatkiem broni i wszędzie widziałem jedno – jak twoi wierni skrybowie zrećnie zabierali zboże chłopom, tak że nie było w całym kraju Południa ani jednej chałupy, która mogłaby ukryć przed tobą chleb, ziarno lub mąkę.

RAMZES Cieszy nas, co nam powiedział sługa nasz Psaru. A kto tam stoi z tyłu niego – czyż to przypadkiem nie strażnicy spichlerzy i skrybowie?

PSARU Tak, to oni, władco; zrobili więcej niż było zrobione od czasów boga Ra; zebrali w jedno żniwo więcej pszenicy niż zebrano przez ostatnie trzydzieści lat.

RAMZES (zwracając się figlarnie do królowej) Psaru dopiero co powrócił ze wsi. Czy nie wydaje ci się, że Psaru obliczem i manierami stał się podobny do chłopca?

Królowa uśmiecha się kamiennym uśmiechem. Królowny i święta się śmieją. Po chwili wszyscy zaczynają się śmiać służalczo.

RAMZES Wydać złoto, dać dużo złota honorowemu namiestnikowi miasta, władcy Kraju Południa, czczonemu przez lata Psaru, który osiągnął nieskazitelną starość.

Przed faraonem stawiają stolik z droгоценnościami. On bierze najcięższy naszyjnik i wiesz go na szyi Psaru. To samo czynią królowa i królowny, tak że Psaru w końcu nie może ustać na nogach pod ciężarem klejnotów wiszących na jego piersiach i plecach. Zaczynają rzucać złoto ludowi. Skrybowie zapisują podarunki. Psaru z trudem wyprostowuje się, wznosi ręce i śpiewa pochwalną pieśń na cześć faraona, którą wszyscy podchwytyją.

PSARU

O, królu, tyś Horusem między ludźmi!

Ty zapewniasz mi byt!
Ty zapewniasz byt mojemu bratu!
Tyś okrył sławą
Niewolnika twójego!
Z tobą doczekałem
Szczęśliwych lat!
Królu promienisty,
Ulubieńcu Amona,
Króluj na wieki,
Jak Ra!

RAMZES (w zamyśleniu) Niech wszystkie ludy nasze poznają, jak wielka jest moc nasza i jak niegasnąca jest nasza sława! Niech spływają do stóp naszych jak ziarenka piasku gonione przez wiatry pustyni. Niech nasze lwy rozerwą na kawałki wszystkich podłych wrogów! A wtedy porazimy świat czynami naszymi; wzniesiemy piramidy przewyższające piramidy ojca naszego; zbudujemy świątynie wspanialsze niż świątynie Seta. Tak powiedział nam Amon, wielki bóg i ojciec nasz; tak mówi nam ulubieniec Amona Uzirmari-Sotpuniri, syn Ra, Ramzesowi-Miamun.

DWORZANIN Posłaniec z Syrii właśnie przybył i oczekuje na pozwolenie, aby pojawić się przed twoim obliczem.

RAMZES Niech wejdzie. (do posłańca) Kim jesteś?

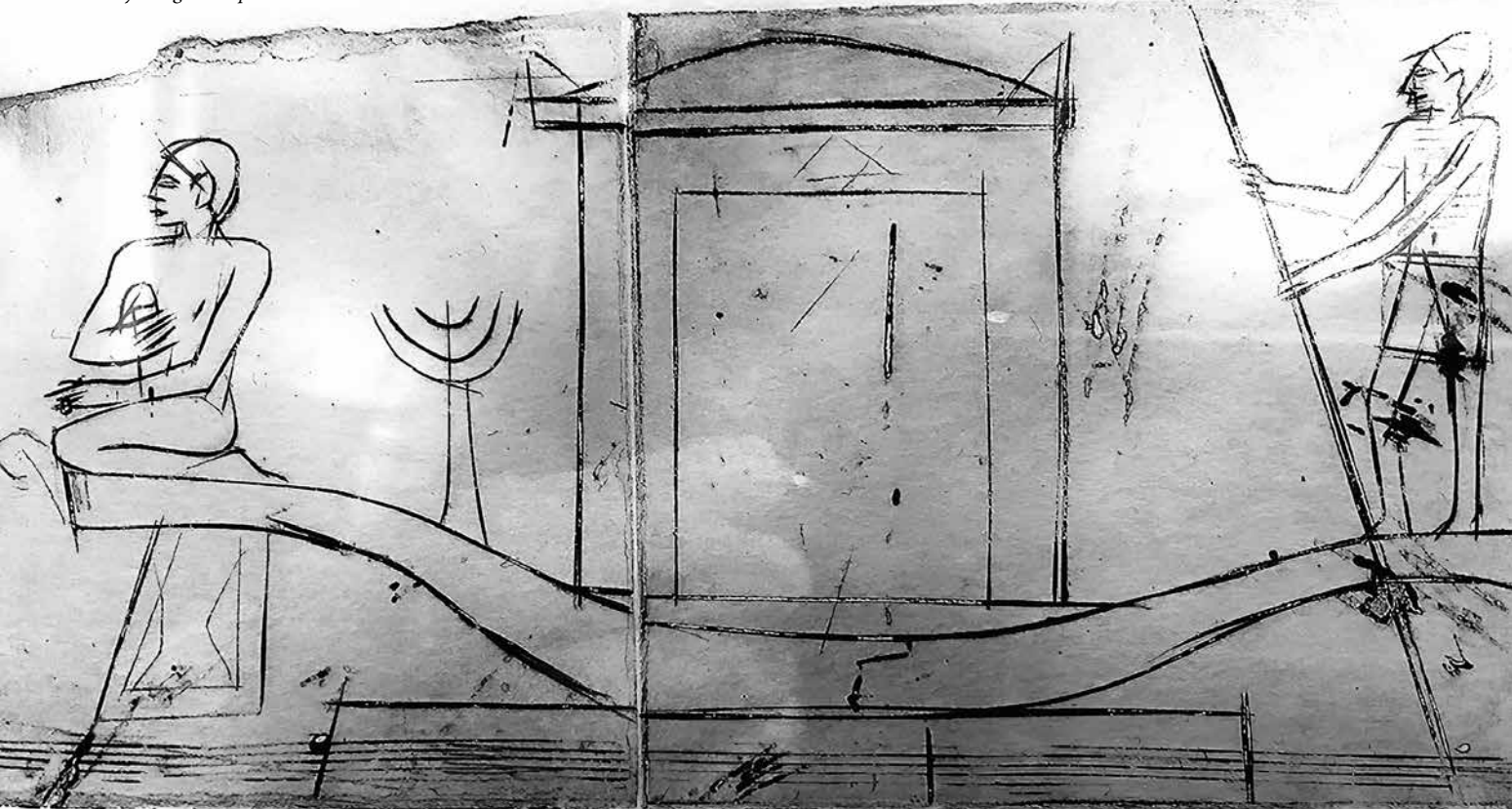
POSŁANIEC O, wielki, potężny, nieśmiertelny! Przesłał mnie książę Mahedo z pismem do ciebie, o, wspaniały!

Podaje gruby plik. Ramzes przekazuje go tłumaczowi.

RAMZES Przeczytaj.

TŁUMACZ (czyta) „Królowi, mojemu władcy, mojemu słońcu, ja, Abdadad, sługa twój, powiadam tak: Hitizaru, zwyciężony namiestnik niegodnych Hiti, naruszył pokój i przyjaźń, jaką jego przodkowie zawarli z twoimi przodkami. Zapomniał o władzy bogów, zebrał swoich dowódców, żołnierzy i wojenne rydwany, idzie przeciwko zarządcom i królom, których ty postawiłeś w całym kraju, żeby płacili ci podatek i czcili twoją wielkość. Posłałem szpiegów do państwa podłego Hitizaru i powiedziałem im: idźcie i zobaczcie, co dzieje się u podłego Hiti. I szpiegdy zobaczyli, że rozłożył się obozem opodal Kodszu, a jego niegodziwi

rys. Bogdan Topor



P. 84

e. 2.

Topor



rys. Bogdan Topor

sprzymierzeńcy wraz z nim. Racz królu mój i mój władco, słonce moje, szybciej przysłać swoich łuczników i swoje wojenne rydwany. Jeśli bowiem zmitręzysz – ja zginę!”

RAMZES (po chwili milczenia) Idź i powiedz swojemu księciu, że łucznicy moi są gotowi, a moje wojenne rydwany są niepoliczalne jak morski piasek. Powiedz księciu, żeby był spokojny, albowiem naruszający pokój podły Hitizaru rozpadnie się. Powiedz mu, że święty lew Ramzinu-Miamuna już ryczy i łamie pręty swojej klatki, gotowy rzucić się do boju w ślad za rydwanami swojego pogromcy. Idź i przekaz swojemu księciu odpowiedź króla obu Egiptów. (posłaniec odchodzi). Niech spadnie klątwa na głowę podłego Hitizaru, naruszającego pokój i przyjaźń. Przeszkodził mi w budowie świątyni wielkiemu bogu, lecz ja go dosięgnę, a rydwany moje rozdepczą go, i powrócę, żeby zadziwić świat nowymi piramidami! – Niechaj posłańcy powiadomią namiestnika Etiopii, że nie możemy go przyjąć, albowiem sam król postanowił przybyć do wojennego obozu swoich wojsk. – Podążajcie wszyscy za mną do świątyni, aby złożyć ofiarę wielkiemu bogu!

Ramzes odjeżdża ze świątą, odprowadzany okrzykami tłumu. Przyjaciele i krewni rzucają się, aby uczcić Psaru, całując jego stopy i ubranie, i uwalniając go od złota, którym jest obwieszony. Psaru chciałby podążać w ślad za faraonem, lecz potyka się i upada. Niosą go do domu i lamentują. Grupa przyjaciół przed domem zaczyna odmawiać zaklęcia:

„Magiczna moc Psaru, syna pani Tentnubaty, jest mocą Ozyrysa Atumu, króla bogów. Moc jego lewej skroni jest równa mocy lewej skroni boga Tumu. Jego górna warga jest boginią Izydą, jego dolna warga boginią Neftis, jego zęby są mieczami, jego ciało Ozyrysem, jego palce – niebieskimi węzami, jego brzuch – Nu, jego boki – piórami Amona”.

Plącząc, wybiegają z domu kobiety – bosa, z rozpuszczonymi włosami, posypanymi popiołem.

KOBIETA Szakal Anubis strzeże go!
DRUGA Zaklęcia nie pomagają!
TRZECIA Umiera!
CZWARTA Psaru opuścił ziemskie mieszkanie!
PIĄTA O, smutku, o, rozpacz! Na zachód, na zachód! Odchodzisz na zachód, namiestniku, i sami bogowie się smucą!
SZÓSTA Odchodzisz na zachód, najlepszy z ludzi! Byki, na zachód! Wasz pan idzie za wami z tyłu! Sami bogowie się smucą!

Cały plac zatopiony jest we łzach. Kobiety, przyjaciele i klienci mieszają się w tłumie.

KOBIETA Zemsta, zemsta na tym, kto zgubił władcę!
DRUGA Zemsta, zemsta na tym, kto zgładził najlepszego z ludzi!
TRZECIA Zemsta, zemsta!

Pojawia się prorok w oberwanym ubraniu.

PROROK Oto Pan, wsiadłszy na lekki obłok, wkroczy do Egiptu. Zadrzą przed Nim bożki egipskie, omdleje serce Egiptu w jego piersi. Zginą wody z morza, rzeka opadnie i wyschnie, kanały poczną cuchnąć, ramiona Nilu w Egipcie zmaleją i wyschną; trzcina i sitowie powiędną. Ogołoczone będą brzegi Nilu, cała roślinność Nilu uschnie, wyginie, i już jej nie będzie.

KOBIETA Zemsta, zemsta na tym, kto zgładził władcę!
DRUGA Oto, kto zgładził władcę! Bij, bij, bij!...

Tłum rzuca się na proroka.

PROROK Wydam Egipcjan w ręce srogiego pana; okrutny król będzie nimi władał. Tak mówi Pan, Pan, Pan...

Tłum oszalał, bije proroka pałkami, rzuca w niego kamieniami. W tym czasie Hamoizit ze smutnym obliczem wyszedł z domu. Otacza go tłum szlifierzy, rzeźbiarzy, garncarzy, jubilerów, stolarzy, fryzjerów, grabarzy, skrybów, którzy zbiegli się z różnych stron.

STOLARZ Najtrwalsze krzesła na łapach lwa!
FRYZJER Mogę zrobić w trzy dni dwanaście peruk!
POZOSTALI Kuferki na pościel! Powijaki! Najlepsze balsamy! Sole! Perfumy!
HAMOIZIT Poczekajcie, poczekajcie, nie wszystko na raz. Najpierw balsamista. Ej, balsamisto!
BALSAMISTA Jestem, panie.
HAMOIZIT Za ile dni zrobisz mumię?
BALSAMISTA Zrobię za dwanaście dni!
HAMOIZIT To idź sobie. Takich nam nie potrzeba. Czy nie wiesz, że ludzi nie wolno balsamować krócej niż siedemdziesiąt dni? Pracuj dla kogo chcesz, tylko nie dla umiłowanego faraona.
DRUGI BALSAMISTA Ja zrobię, ja umiem. Zapewne mnie pamiętasz – to ja zajmowałem się poprzednim namiestnikiem.
HAMOIZIT Pamiętam, pamiętam, przyjacielu, przypominam sobie.

DRUGI BALSAMISTA Tylko moja praca będzie kosztować drożej niż dwanaście dni.
HAMOIZIT (z powagą) To zrozumiałe, że drożej. Kto mówi o tym, żeby było taniej? Ile więc, powiadasz?
DRUGI BALSAMISTA Nie zejść niżej stu srebrników.
HAMOIZIT Ot, i masz. Najpierw pomyśl, a potem mów. Sto srebrników, kto to słyszał?
TRZECI BALSAMISTA Ja zrobię za siedemdziesiąt pięć.
GŁOS W TŁUMIE Zabili!
DRUGI Utopili w rzece!
TRZECI Tam jego droga!
CZWARTY Psu – psia śmierć!

Nastał wieczer, na horyzoncie stoi ogromny Syriusz.



MIĘDZY CISZĄ A HAŁASEM

MARIAN GRZEGORZ GERLICH

Śpieszmy się kochać pisarzy...

... ich dobre książki. Niestety, szybko, nieomal gwałtownie, w tym „rozdygotanym” świecie terażniejszości, zapominamy o ich twórczości. Nawet o tych powieściach, reportażach, zbiorach esejów, czy tomikach poezji, które nas kiedyś fascynowały, rodziły nowy namysł. Nasuwa mi się nieodparcie skojarzenie z pewną myślą – ustawicznie mnie intrygującego – Brunona Schulza. Kiedyś pisał, cyt.: *Istotą rzeczywistości jest sens. Co nie ma sensu, nie jest dla nas rzeczywiste. Każdy fragment rzeczywistości żyje dzięki temu, że ma udział w jakimś sensie uniwersalnym.* Przywołuję pewne spotkanie sprzed wielu lat. Był to swoisty – jak powiadają antropologowie „czas graniczny”. Konkretnie między niby gwałtownym, a jednak powolnym, upadkiem jednego okresu, tego „starego”, który jednak jeszcze wydawał dziwne pomruki, a powolnymi narodzinami kolejnego, „nowego”, który budził nie tylko nadzieje, ale i obawy. Przyznajmy, że nawet wedle „ludowej ontologii” każdy czas zmiany to czas groźny, nawet kategorycznie demonogenny. Ponoć gdy jest zmiana rodzą się upiory. A wspomniane spotkanie odbywało się wówczas gdy w Polsce następował schyłek ustroju politycznego, czyli koniec PRL-u i rodziła się „nowa Polska”. Właśnie o tym dyskutowaliśmy w czasie rozmowy, w katowickich *Kaktusach*. Było to spotkanie, przed wyjazdem do Koszęcina, które zorganizował ekonomista, prof. Jerzy Pietrucha. Wtedy to Roman Bratny zastanawiał się nad tym, co będzie dalej z polską kulturą, z narodową literaturą. W pewnym momencie powiedział do mnie tak mniej więcej: „Jest pan najmłodszy. Czy pana pokolenie, kiedy osiągnie lata, w którym ja teraz jestem – a był przed 70-tką – będzie jeszcze pamiętało o *Kolumbach*. Byłem zszokowany. Momentalnie, szczerze i wręcz bez namysłu powiedziałem, że na pewno będziemy pamiętać. Za-

cząłem to stanowisko uzasadniać wartością samego dzieła, popularnością filmu w reżyserii Janusza Morgensterna. Także miejscem pokolenia polskich Kolumbów w naszej tradycji. Pisarz jednak nadal miał wątpliwości i wskazywał na dziwne losy mitu w kulturze. Wreszcie powiedział, że pamięć o pisarzu i jego dziełach trwa najwyżej jedno pokolenie; gdzieś 25 do 30 lat. Stwierdzenia i sposób myślenia Bratnego wówczas odrzuciłem. To samo powiedział ostatnio jeden z uczestników programu telewizyjnego o Kornelu Filipowiczu; bodaj jego syn. Ale już od dawna wiem, że Bratny miał rację. A dziś jeszcze bardziej pisarze są narażeni na zanikanie pamięci o ich twórczości. Nawet o tych dziełach, którymi byliśmy kiedyś zafascynowani: intelektualnie, emocjonalnie i estetycznie. Oczywiście nie dotyczy to wszystkich, ale przyznajmy, że także i takich postaci, których dzieła tworzą w polskie „uniwersum symboliczne” – w tym arcydzieła polskiego kanonu literatury. Ponadto my, współcześni czytelnicy – coraz bardziej jesteśmy poddani presji wielości różnych ofert kulturowych. To dobrze, gdy jest to zespół dzieł wartościowych lecz tak nie zawsze jest. Zalewa nas często twórczość „pseudo-kulturowa”. W efekcie coraz bardziej odwracamy się od tego, co klasyczne, wielkie. „Odklejamy się od kultury wysokiej”, jak mówi mój znajomy antropolog. Coraz mniej czytamy, z upodobaniem „pozeramy” tandetę. Po prostu upojeni blichtrzem doraźności, zmieniających się mód ulegamy wszechogarniającej tandecie. W efekcie jesteśmy na postronku pop-kultury. Pomijam oczywiście takie przykłady, kiedy dochodzi do niezwykłego z nią „romansu” – jak w przypadku dzieł semiotyka Umberto Eco. Może my dziś zachowujemy się – bardzo przepraszam za porównanie – jak ów biedny piesek przywiązany do łańcucha przed swoją budą.

Przypadek ten opisuje w jednym z wywiadów laureat „Nike” 2020 roku – Radek Rak. Mówi, że zwierzę przywiązane do łańcucha potrafiło chodzić tylko w koło. A kiedy zostało uwolnione z owego łańcucha nadal chodziło tak samo. Dopiero interwencja R. Raka – pisarza i weterynarza z zawodu – przywróciła mu dawną zdolność poruszania się. Ten przykład rodzi wiele skojarzeń. Przecież my jesteśmy też na uwięzi i w efekcie chodzimy po jakiejś drodze przez kogoś nam wyznaczonej. Nie jesteśmy zatem prawdziwie wolni, mimo, że pozornie to my dokonujemy wyboru. Wielu z nas to ofiary czyli – parafrazując tytuł ostatniej książki Michała Rauszera – swoiste „bękarty” nie systemu państwowego, ale w części złego systemu nastawionego wyłącznie na zysk. Ale istnieje nadal i zawsze margines i możliwość racjonalnego wyboru – a zatem nie narzekajmy. A jeśli jest prawdziwe jest to, co kiedyś powiedział R. Bratny – iż życie książek jest stosunkowo krótkie, to pomyślmy i wprowadźmy konsekwencje z tego opisu stanu rzeczy. Inaczej nastąpi przerwa w dążeniu do zachowania ciągłości naszego dziedzictwa i kultury. Na zjawisko to trzeba spojrzeć szerzej, z punktu widzenia naszej kultury narodowej i regionalnej. Nie chcę teraz podejmować dyskusji na temat śląskiej kultury regionalnej jak i regionalnej literatury. Pomijam też niedysyjszą ciekawą dyskusję na łamach czasopisma „Fabryka Silesia” o kanonie literatury regionu górnośląskiego. **On był sformułowany przez wybitne postaci. Ja mam na uwadze przede wszystkim wartościowe dzieła, o których zapomnieliśmy, także i te powstałe w naszym regionie.** Dla tożsamości i tradycji ważna jest zawsze ciągłość. Ale wielu myślicieli powiada, iż o nowoczesności decyduje „ciągłość i zmiana”. Ale – zmiana twórcza.

Harold Bloom a/i Poldy Bloom

JERZY PASZEK

Będę się zajmował dwiema postaciami o tym samym nazwisku, ale o zupełnie odmiennym statusie ontologicznym. Harold Bloom (1930–2019) to amerykański profesor z Yale University, zajmujący się historią literatury, a także jej teorią. Poldy zaś jest postacią literacką, Leopoldem Bloomem, mężem Molly, z *Ulyssesa* Jamesa Joyce’a. Mówiąc o Haroldzie nawet bardzo skrótowo, trzeba powiedzieć, iż w okresie 60 lat (1959–2019) opublikował blisko 50 książek, a w tym tak sławne, jak *The Anxiety of Influence. A Theory of Poetry* (1973; przeł. A. Bielik-Robson i M. Szuster pt. *Lęk przed wpływem. Teoria poezji*, Kraków 2002; jest to 19 tom serii „Horyzonty Nowoczesności”; używam skrótu LPW) bądź też *The Western Canon: The Books and School of the Ages* (1994; przeł. B. Baran i M. Szczubińska pt. *Zachodni kanon. Książki i szkoła epok*, Warszawa 2019; nakład Wydawnictwa Aletheia; stosuję skrót ZK). W polskich warunkach kulturalnych XX wieku odpowiednikiem Harolda mógłby być prof. Henryk Markiewicz (1922–2013), żyjący podobnie długo i tak samo pracowicie, bo uprawiając historię polskiego pozytywizmu oraz teorię wiedzy o literaturze, ogłosił (biorąc pod uwagę różne broszury i skrypty) także blisko 50 własnych pozycji bibliograficznych!

Znamy bibliotekę Leopolda Blooma, bo sam sporządził spis swoich 25 książek (J. Joyce: *Ulysses*. Przeł. M. Słomczyński. Kraków 1997, s. 637–639; używam skrótu: Ul) i dwa razy już o niej pisałem („Prace Filologiczne. Literaturoznawstwo” 2018; *Blask arcydzieł*, Katowice 2020). Rozmiary domowej biblioteki Harolda nie są mi znane, ale przypuszczam, iż co najmniej 100-krotnie przewyższała listę Poldy’ego, mając na pewno ok. 400 tomów zalecanych przez prof. Blooma czytelnikom (ZK 608–643). Nie miał 50 000 woluminów jak Markiewicz, bo stale korzystał z bibliotek Uniwersytetu Yale (ZK 9). Poldy ma książki po angielsku, a tylko jedna jest w obcym, czyli *Soll und Haben* Gustava Freytaga, wydrukowana na szwabach („gotyckie litery”, Ul 638). Harold czytał w wielu językach (angielski, francuski, niemiecki, hiszpański, włoski, rosyjski; grecki i łaciński; jidysz i hebrajski), ale w opasłym woluminie *Zachodniego kanonu* poskapał nam detalicznych analiz np. sonetów Szekspira; gdy szczegółowo bada wiersze Dickinson (ZK 332–350), to narzeka na ich ciemność i wieloznaczność, choć liryki te trudno mi – jeśli idzie o niejasność wersów – zestawiać z głębokimi, mrocznymi i pogrążonymi w matecznikach zagadek etymologicznych utworami Norwida!

Harold Bloom wymyślił oryginalną terminologię, dotyczącą genezy i ewolucji wpływu jednego poety (prekursora, mocnego twórcy) na drugiego (debiutanta, efebę, słabszego początkowo liryka). Wspomniane terminy nazwał bardzo oryginalnie: 1. clinamen, „czyli poetycka omyłka”, 2. tessera, „czyli dopełnienie i antyteza”, 3. kenosis, „czyli powtórzenie i nieciągłość”, 4. demonizacja, „czyli antywniosłość”, 5. askesis, „czyli oczyszczenie i solipsyzm”, 6. apophrades, „czyli powrót zmarłych” (ZK 247–248). Nie będę ukrywać, iż same poetyckie nazwy owych pojęć tak mnie oczarowały, że mając w bibliotece IBL PAN dostęp do tomów Blooma, napisałem esej w stylu jego (używając oczywiście tej ponętnej nomenklatury!) pt. *Polotny staffizm Wierzyńskiego*, zamieszczony w 5. tomie zbiorowej serii „Skamander” (Katowice 1986, red. I. Opacki i in.). Chodziło mi o wielorakie rodzaje zapożyczeń debiutującego poety u starego mistrza, którym był tu Leopold Staff. Bloom sugeruje, że każdy czeladnik stara się naśladować (popelniając i plagiaty chwytów literackich, i błędnie pojmując intencje i preferencje poprzednika) swego wybranego mistrza, aby w końcu go „pochłonąć” i uzyskać status mistrza dla nowego efebę.

W drugim wydaniu *Lęku przed wpływem* (1997) autor dodał obszerny rozdział pt. „Strach przed kontaminacją”, w którym obwieszcza, iż najsilniejszym poetą z Zachodniego kanonu jest Szekspir, będący tak potężnym twórcą i prekursorem, że w zasadzie wszyscy dziś pochodzimy od niego, bo bez jego poezji, sonetów i dramatów, nie zaistnielibyśmy w świecie kultury. Igrając dwuznacznością w języku angielskim rzeczownika

„will” („wola”) i skrótem Williama – Will – pisze np.: „Większość z tego, co wiemy na temat **woli**, pochodzi od **Willa**” (LPW 16; wszystkie podkr. J.P.). Taka wielka inwestycja, dotycząca kanonizacji (czyli włączenia do Zachodniego kanonu) Szekspira (on z kolei zadłużył się nie tylko w dramaturgii Christophera Marlowe’a, ale i w *Opowieściach kanterberyjskich* Geoffreya Chaucera) wpływa na kompozycję całej grubej (644 stronic!) księgi Blooma o 26 wybranych przezeń twórcach najważniejszej naszej tradycji literackiej. Tak więc w 21 głównych rozdziałach tej syntezy mówi się o: Szekspirze, Dantem, Chaucerze, Cervantesie, Montaigne’em i Molierze, Miltonie, Samuelu Johnsonie, Goethem (pisarzach tzw. „epoki arystokratycznej”); Wordsworthie i Jane Austen, Walcie Whitmanie, Emily Dickinson, Dickensie i George Eliot [Mary Ann Evans], Tolstoju oraz Ibsenie (tzw. „epoka demokratyczna”); Freudzie, Prouście, Joice, Virginii Woolf, Kafce, Borgesie, Nerudzie i Fernandezie Poesoi, Beckettie (tzw. „epoka chaotyczna”, ZK 5–6).

Całość jest podporządkowana idei naczelnej, czyli tezie o dorobku Szekspira jako punkcie centralnym Zachodniego kanonu. Mogą o tym zaświadczyć niektóre tytuły kolejnych rozdziałów: „Szekspir, centrum kanonu”, „Dama z Bath, Przekupień [z *Opowieści kanterberyjskich* Chaucera] i postać szekspirowska”, „Szatan Milтона a Szekspir”, „Freud: odczytanie szekspirowskie”, „Zapasy Joyce’a z Szekspirem”, „Beckett... Joyce... Proust... Szekspir”. Zamierzam się zająć głównie wywodami Blooma zawartymi w rozdziale 18, poświęconym analizie więzi Joyce’a z dramaturgiem elżbietańskim. Prawie od 50 lat cieszę się *Ulyssesem*, więc łatwiej będzie mi polemizować na tym podstępnie dobranym poletku pojedynkowym ze znawcą przede wszystkim literatury angielskiego romantyzmu, jakim od debiutu (praca doktorska o Shelleyu) jest Bloom. Nadmienię tu jeszcze, iż był on również redaktorem tomu *James Joyce’s „Ulysses”* (New York 2003).

Nie ukrywam, iż nie zgadzam się z nim w podstawowej (dla mnie!) kwestii, jaką jest zaliczanie do kanonu Zachodu obu obszernych powieści Joyce’a, czyli *Ulyssesa* (1922) oraz poematu prozą *Finnegans Wake* (1939); przy czym, oczywiście, obiema rękami podpisuję się pod tezą o kanoniczności fabuły o Odyssie. Nie mogę się przekonać, że Poldy Bloom zasypia na końcu pierwszej z wymienionych narracji i pogrąża się w głębokim śnie w drugiej fabule, przybierając zresztą dziwaczne imiona i nazwiska, począwszy od Humphreya Chimpdena Earwickera (akronim HCE, gdyż w polskiej adaptacji scenicznej skrót ten czyta się jak czasownik „chce!”), a skończywszy na sekwencji: Harun Childeryk Eggeberth, Hocus Crocus Esquilocus czy Here Comes Everybody, co Krzysztof Bartnicki oddał jako Hen Chodzący Everyman, a autor sparodiował w dźwięcznej frazie Hump cump Ebblybally (zob. mój szkic pt. „*Mszakakrada*”. *Jak dziennikarze (s)potykali się z „Finneganów trenem”?* w t. zb.: *Transdyscyplinarność badań nad komunikacją medialną*. Tom 3: *Tożsamość dziennikarza*. Pod red. M. Kity, M. Ślaskiej. Katowice 2013, s. 239–240).

Odóż zgadzam się z Vladimirem Nabokovem, że *Finnegans Wake* to „spetryfikowany superkalambur” oraz oczywista dla większości znawców, a przede wszystkim miłośników klasycznej literatury „groteskowa, wymizdrzona, nierówna, malpiarska i nafaszerowana kalamburami [...] powieść [...], jedna z największych porażek w dziejach literatury” (V. Nabokov: *Wykłady o literaturze*. Przeł. Z. Batko. Warszawa 2000, s. 181, 442). Bo po prostu nie może się udać jakakolwiek narracja, oparta na dominującym chwycie retorycznym, jakim jest tutaj kalambur. Jak można spierać się z Szekspirem nie uciekając się do argumentów (obserwujemy to w scenie bibliotecznego w *Ulyssesie*, gdzie Stefan Dedalus wprawia w podziw gości księżnicy swoimi dywagacjami o Hamlecie i jego ojcu), a pracowicie tylko wysnuwając dwuznaczniki (niektóre kalambury Joyce’a zawierają nawet po 8 aluzji!) na temat nazwiska dramaturga i jego konkurentów? Zobaczmy, co cytuje Bloom o Szekspirze

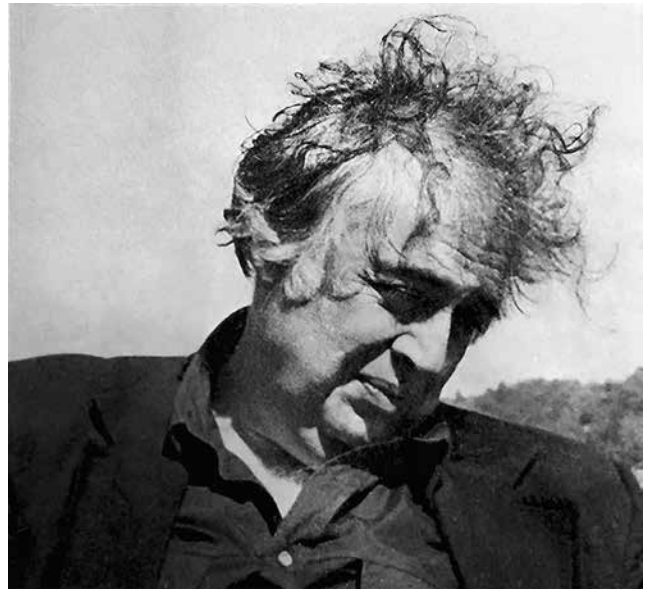
z książki Joyce'a (ZK 488): „Shem (jeden z synów HCE) pojęcia nie miał, że jeszcze inny **szastpiór**, jakis **Szpicpir**, jedwuznacznie spolaryzowana autofoto czy że dwukładnie toto szamo jako zep (parn!) że parczo miło mu szemyszało czy też zgadywało że jest szam i że, do **szkot dyszkensy tagrajów** [...]”.

Pisze, iż „szkot dyszkensy tagrajów” są pisarzami XIX wieku: Scottem, Dickensem oraz Thackerayem (ZK 489), ale przecież trudno się tego domyśleć, a jeśli ten orzeszek rozgryziemy: czy samo przekręcanie nazwiska Willa (szastpiór, Szpicpir) i wymienionych prozaików coś mówi o admiracji jednych (tu pewnie Szekspira i Dickensa jako twórców kanonicznych) lub wzgardą objawianą względem innych (tu: Scotta i Thackeraya)? Wątpię! Notabene, w cytacji są błędy: ma być „jeszjeszcze”, „szemyszało” i „dykenszy” (J. Joyce: *Finneganów tren*. Przeł. K. Bartnicki. Kraków 2012, s. 177). W oryginale czytamy: „other shaggspeck, other Shakhisbeard” oraz „scoot, duckings and thuggery” na tej samej 177 stronie, bo wszystkie edycje FW (powszechnie przyjęto taki skrót) mają tę samą paginację, dochowaną też w polskiej translacji. Jeśli nawet tłumacze tu błędzą, to cóż mówić o czytelnikach!

Gdy już jestem przy polskich przekładach książek Harolda: w LPW istnieje „Indeks nazwisk”, co zapewne powinno nieco ułatwić nieprofesjonalnym lektorom zrozumienie podstawowych faktów, czyli o kim się mówi. Na s. 230 pojawia się wtrącenie „(jak widzi to Abrams)”, ale po pierwsze: brak tego nazwiska w indeksie; po drugie – trzeba znać życie Blooma, by wiedzieć, że chodzi o jego nauczyciela uniwersyteckiego, Meyera Howarda Abramsa, autora krytycznych opinii o swoim uczniu: w eseju *Jak to się robi z tekstami* („Literatura na Świecie” 2003, nr 9–10, s. 301; przeł. A. Lipszyc) omawia Blooma, a także tomy Jacques’a Derridy i Stanleya Fisha, podsumowując rzecz drastycznie: „Wszystkie trzy teorie są też samobójcze [...]”! W LPW cytuje się wiersz Moschusa z Syrakuz (brak w indeksie!) o Bionie ze Smyrny (ten sam brak!), a czytelnik dopiero z *Małej encyklopedii kultury antycznej* (Warszawa 1988) dowiadyduje się, o kim wspomina wszechstronnie odcytany Bloom! Nb. opiekunem naukowym LPW był redaktor „Tekstów Drugich”, Ryszard Nycz, czołowy erudyta polskiej sceny teoretycznoliterackiej! Sam autor LPW i ZK nie daje szans na porównanie cytowań w tych książkach z ich podstawą źródłową, bo przypisów tu brak! W ZK nawet indeks nazwisk pominięto! Mogę zrozumieć „elegancję” dywagacji bez przypisów, ale gdzieś w końcu muszą znaleźć odpowiedź na fundamentalne pytanie: z jakich źródeł korzysta autor (z oryginałów czy przekładów, z edycji krytycznych czy popularnych?)!

W omawianym tomie przed 21 rozdziałami głównymi (nb. mój *Blask arcydzieł* też ma 21 segmentów i też dzieli się na trzy epoki: od Homera do Krasińskiego i Blake’a, od Potockiego do Prusa, od Żeromskiego do Nabokova) umieszczona jest „Elegia dla kanonu”, znana z cytowanego numeru bloomowskiego „Literatury na Świecie” jako „Podzwonne dla kanonu” (tłum. M. Szuster). Czyli tłumacz ZK, Bogdan Baran, mógł wyzskać przypisy Marcina Szustra z polskiego miesięcznika, ale nie wiadomo, dlaczego te informacje – przeciwko którym nie protestował Bloom za swego życia – tu akurat komuś przeskadzały... Tak więc na s. 30 ZK poskąpiono wiadomości, gdzie Ernest Robert Curtius umieścił swój esej *Poezja jako unieśmiertelnienie*; na s. 53 podano wprawdzie nazwisko M. Krzeczowskiej, która była tłumaczką eseju Emersona *Szekspir, czyli poeta*, ale znów nie ma informacji, że ten przekład był wydrukowany w Krakowie w roku 1909...

Wróćmy jednak do spotkania Harolda z Leopoldem. Opis powieściowego Blooma pełen jest niesamowitych niespodzianek i pułapek, zastawionych na czytelników przez profesora Blooma. Oto np. takie zdumiewające zdania, twierdzenia i tezy: „Poldy jest zarówno Ulissem, jak i duchem Hamleta seniora, Stefan [Dedalus] zaś zarówno Telemachem, jak i Hamletem juniorem, a ponadto Poldy i Stefan wspólnie tworzą Szekspira i Joyce’a” (ZK 472); „Niebanalnym rysem Poldy’ego jest bogactwo świadomości, umiejętność zamieniania uczuć i doznań w obrazy [‘wizje’]. [...] Poldy odznacza się szekspirowskim życiem wewnętrznym, o wiele głębszym niż życie wewnętrzne Stefana, Molly czy którejkolwiek innej postaci w powieści. [...] Nic mu nie umyka, nawet jeżeli jego reakcje na postrzeżenia są rutynowe” (ZK 477); „Poldy wzruszał jednak Joyce’a i wzrusza nas, ponieważ wśród hordy Irlandczyków jako jedyny nie objawia tego, co Yeats zwał ‘zajadłym sercem’ [przeł. M. Kłobukowski]” (ZK 478); „protagonista Joyce’a [zdaniem Hugh’a Kennera] potrafił żyć w Irlandii bez złośliwości,



Harold Bloom, ok. 1982 r.

bez przemocy i bez nienawiści” (ZK, *ibid.*). W końcu prof. ma nawet „własne bloomowskie sny” (ZK 485), co może oznaczać zlanie się bohatera i badacza w jedno!

Dodam tu także fakt, iż w różnych segmentach (nie tylko w rozdziale o Joysie) swej syntezy Bloom powraca do postaci ulubionego i uwielbianego przezeń Poldy’ego. Bywa ten akwizytor chyba najmłodszym członkiem na świecie: „Poldy Joyce’a, ledwie w średnim wieku, wydaje się dwa tysiące lat starszy od każdego innego dublińczyka” (ZK 318). A jego kompletność – jako charakteru w utworze – jest w zdumiewający sposób uodwodniona w enumeracji obiektów przestrzennych powieści: „Poldy [...] jest ogromnie przekonujący, ponieważ jest tak kompletną osobą, co było główną intencją Joyce’a. Ironiczna formuła Austen [w jej *Perswazjach*] nie sankcjonuje przedstawienia kompletności – nie towarzyszymy jej postaciom z powieści **w sypialni, w kuchni, w ubikacji**” (ZK 291). Czytelnikom *Uliksesa* wiadomo, iż już na początku drugiej części tego utworu Leopold Bloom znajduje się w kuchni i zasiada w ogródkowej ubikacji, a rzecz cała (narracja!) kończy się całowaniem pulchnych kształtów Molly w małżeńskim łóżku.

Uważam, iż pomimo faktu, że w *Uliksesie* jest tyle samo odwołań do dzieł Szekspira co do Biblii, czyli po dwie kolumny stron w indeksie nazwisk (zob. W. Thornton: *Allusions in „Ulysses”. An Annotated List*. Chapel Hill 1968, s. 525–526, 548–549), a w *Finneganów trenie* jest ich ponad 300 (ZK 490), to i tak Joyce nie „pożarł” dramaturga sprzed 3 lub – teraz – 4 wieków, a tylko przyczynił się do – by użyć z premedytacją tego polisemantycznego terminu – kanonizacji jego dorobku! Nie mogę się też przyzwyczaić do super hiperbolicznego stylu dywagacji prof. Blooma. Jak bowiem można napisać o dwu wybitnych prozaikach XX wieku, że jeden od drugiego oddalony jest na kosmiczne odległości? Uważnie przeczytajmy takie zdanie: „Opowiadania Hemingwaya, chociaż najlepsze z nich są zaiste **wspaniałe**, dzielą **lata świetlne** od *Finneganów trenu*, który nasza nowa antyelitarna moralność zamyka w coraz szczuplejszym kręgu czytelników, co jest ogromną stratą estetyczną” (ZK 481). A przecież już *Ulikses*, zawierający cytacje i aluzje do 18 języków jest trudny w odbiorze dla lektora bez podstaw filologii, ukończonej w trybie rozszerzonym (neofilologia + filologia klasyczna), to co mówić o ostatnim dziele (arcydziele???) Joyce’a, w którym niektórzy doszukują się aż 77 języków (zob. M. Piechota: *Poliglotyzm wielkich romantyków polskich (Mickiewicz, Słowacki, Krasiński)*. Katowice 2016, s. 20, przypis 30 o istniejącym w Internecie eseju Petra Skrabanka pt. *Night Joyce of a Thousand Tiers*). Uważam więc, iż to, co może pojąć prof. Bloom, tego nawet wyobrazić sobie nie może Poldy Bloom, skądinąd także wielki wielbiciel Szekspira!

Harold Bloom zupełnie serio namawia swojego czytelnika do długotrwałego wtajemniczenia się w ostatni tom Joyce’a, składając mu przy tym perswazyjnie propozycję „nie do odrzucenia”: „Poświęć ogromną część życia na *Finneganów tren*, a dzieło to nagrodzi ci wysiłek; taki jest jego zamysł” (ZK 254). Mam spore wątpliwości, czy to się komukolwiek udało bądź uda!

Komedie na miarę

KSIĄŻKI

ANNA WĘGRZYŃIAK

Dzieło Joanny Warońskiej – obszerna monografia skamandryckiej twórczości komediowej – to pierwsze całościowe ujęcie tematu. Aby objąć taki ogrom materiału, trzeba różnych kompetencji, czasu i cierpliwości. Warońska, specjalizująca się w międzywojniu, do tego zadania jest dobrze przygotowana, jest rzetelna (świadczą o tym przypisy), ma dużą wiedzę literaturoznawczą i teatrologiczną, a przede wszystkim dysponuje ogromnym materiałem (kilkudziesięciostronicowa bibliografia). Oprócz tekstów stanowiących podstawowy przedmiot badań, czyli: komedie oraz ich realizacje sceniczne, odbiór towarzyszący dziełom drukowanym/ wystawianym w okresie Dwudziestolecia (recenzje, opinie, wspomnienia...), recepcja powojenna (opracowania, studia, opinie...), istotnym dopełnieniem są wypowiedzi o charakterze krytycznym i metakrytycznym, a także liczne głosy współtworzące kontekst społeczno-polityczny. Najogólniej rzecz ujmując, jest to praca ambitna, solidna, na dobrym poziomie merytorycznym, imponująca mnogością zebranych materiałów źródłowych, w której niejedyn badacz straciłby orientację. Aż trudno wyobrazić sobie żmudne kwerendy i górę fiszek...

Skrętnie gromadzone opinie, recenzje i recenzynki (z gazet i programów) mające dziś wartość archiwalną posłużyły badaczce do zbudowania wnikliwej, dobrze sproblematyzowanej pracy na temat „komediowej” aktywności skamandrytów, tworzących zarówno teksty oryginalne, jak i przeróbki. Wszystkie zasługi poprzedników, którzy „komedie” skamandrytów po wojnie drukowali, badali, wspominali i komentowali zostały w tej pracy rzetelnie odnotowane. Nawet znawcy tematu o wielu rzeczach dowiedzą się po raz pierwszy.

Podjęłam, że największą trudność sprawiło Autorce przyjęcie takiego kryterium układu, by niczego nie zgubić, a jednocześnie zachować hierarchię ważności ocen omawianych faktów. Ba, ale jak to zrobić, jeśli danego autora czy dzieło w różnym czasie oceniano różnie, inaczej w latach 20., inaczej tuż przed II wojną, jeszcze inaczej w latach 50., nie wspominając późniejszych dekad. Opinie zmieniali krytycy, ale też sami autorzy (casus *Murzyna warszawskiego*). Ponieważ Warońska skrupulatnie odnotowuje wszystkie zmiany, stara się nie uronić żadnych szczegółów i wiernie odtwarza losy każdego dzieła czy gatunku, bombardowany faktami czytelnik ma problemy z ich zapamiętaniem. Uważne, wręcz drobiazgowo posługiwanie się archiwalnym materiałem gazetyowym budzi uznanie, ale niepokoi to, że odbiorca tego nie unie-

sie. Wydaje się paradoksem fakt, że stanowiący o wartości dzieła bogaty materiał źródłowy może przeszkadzać w ogarnięciu całości. Nie namawiam Autorki, by coś wycinała, zwracam jednak uwagę na potencjalną trudność lektury, co może ograniczyć krąg czytelników do osób obdarzonych cierpliwością. Z drugiej strony, faktograficzny porządek okraszają różne „smaczki”, np. przy referowaniu okoliczności towarzyszących *Karierze Alfa Omege*, poznajemy „śledztwo” dotyczące trudnych relacji łączących Hemara z Kiepurą.

Klasyczna kompozycja całości (wstęp, wprowadzenie, 3 rozdziały, podsumowanie, spis realizacji komedii, bibliografia) nie budzi zastrzeżeń. Za przyjętym układem prezentowanych kwestii (od ogólnej panoramy genologicznej – przez niepisany „program” grupy łączącej indywidualności – do omówienia konkretnych praktyk artystycznych) przemawia logika oraz wstępne założenie badawcze (omówienie tego, czym charakteryzuje się skamandrycka „komedia”).

Przedmiotem refleksji we *Wprowadzeniu* jest trudna kwestia opanowania genologicznego „bałaganu”, panującego w komediowych gatunkach międzywojnia. W tym przypadku, pomijając skomplikowane relacje pomiędzy nazwą i pojęciem, trzeba również uwzględnić ówczesny stan świadomości genologicznej oraz słabą pozycję gatunków komediowych (Młoda Polska gardziła zabawą). Warońska korzysta z dostępnych opracowań, ale też sprawdza, uważnie studiuje wypowiedzi krytyków i ludzi związanych z ówczesnym teatrem (Boy, Winawer, Osterwa, Jaracz, Horzyca, Fryde...), czyta programy teatrów i kabaretów, przytacza metatekstowe utwory skamandrytów, śledzi toczącą się w międzywojniu dyskusję na temat gatunków komediowych, które stopniowo torują sobie drogę do ówczesnego odbiorcy.

Następnie przedstawia stanowiska twórców związanych z grupą Skamander (manifesty, recenzje na łamach pisma „Skamander”, szopki, teksty kabaretowe, dodatki primaaprilisowe, rubryki „Cyrylika Warszawskiego”, skandale) i dopiero na tak zarysowanym tle Autorka opisuje próby definiowania gatunków komediowych w teatralnych recenzjach skamandrytów. Bardzo trafnie wskazuje, że ich teorię dramatyczną i teatralną fundowały – jakże odmienne (drukowane na łamach „Skamandra”) – artykuły Witkacego i Breitera, uwzględnia nawet wypowiedzi skamandrytów na temat polityki reperturowej poszczególnych teatrów. Zebrany materiał faktograficzny poddaje analizie, interpretuje liczne wypowiedzi i reakcje



skamandrytów na teatralne wydarzenia (najczęściej są to protesty lub sprzeciwy). Przytłoczona nadmiarem skamandryckiej „aktywności”, w połowie rozdziału II zaczęłam się gubić. Nie namawiam Autorki, by tekst okroiła, ale zwracam uwagę kłopot z przyswojeniem takiej mnogości faktów. Lepiej czyta się drugą część rozdziału, zawierającą teatralne biogramy Lechonia, Hemara, Iwaszkiewicza, Słonimskiego, Tuwima, Wittlina, Horzycy, Zawistowskiego, Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej – dla ułatwienia orientacji czytelnika może warto wprowadzić pomiędzy biogramami małe odstępę.

W rozdziale *Model(e) gatunków komediowych w teatralnych recenzjach skamandrytów* badaczka znakomicie zaprezentowała teatralną świadomość twórców/recenzentów, wskazała których autorów i za co oni cenią, do jakiej tradycji nawiązują (np. Fredro, Zapolska, Moliere, Beaumarchais, Shaw...), jak definiują „lekkie” gatunki (farsa, krotochwila, groteska). Analizując genologiczną świadomość skamandrytów, Warońska nie zapomina o tym, że klasyfikacja utworów wystawianych w teatrze jest płynna (np. Horzyca uznaje komedie za sielanki dramatyczne) i dlatego cierpliwie bada zależne od zmian wrażliwości i kompetencji widzów „przesunięcia na osi genologicznej” (dobrze powiedziane!). Mając na uwadze tak istotną dla skamandrytów aktualność, wskazuje cennie przez nich inscenizacje „klasyki” (np. Fredry), podkreśla, że ich zainteresowanie gatunkami komediowymi wynikało z uwzględnienia potrzeb czasu i „prostego człowieka”. Zapraszając widza do udziału we wspólnej zabawie, mieli szansę wypowiedzenia się o problemach społecznych, ich utwory pozwalały uderzać w myślowe schematy i torowały drogę nowym obyczajom. Dostrzegając zmiany zachodzące w kulturze, w okresie pierwszego dziesięciolecia skamandrycy akceptowali witalny, optymistyczny „światopogląd komediowy” (czy można mówić o takim „światopoglądzie”? – mam wątpliwości; jeśli na-

wet tę kategorię stosuje Janusz Stradecki, autor pierwszej, nieocenionej monografii grupy, to jednak warto wziąć to słowo w cudzysłów).

Doceniam przemyślaną kompozycję całości. Od uwag na temat obecności/atrakcyjności gatunków komediowych w międzywojniu Autorka przechodzi do konkretnych. W rozdziale *Teatralne aktywności skamandrytów*, eksponując skamandryckie przekonanie o wielkiej roli teatru w budowaniu nowego społeczeństwa po roku 1918, ich diagnozę rzeczywistości politycznej i społecznej, a także potrzebę tworzenia nowej wrażliwości, Autorka rzeczowo omawia różne formy tych aktywności (adaptacja/tworzenie/tłumaczenie tekstów, polityka repertuarowa, funkcje kierownicze w teatrach, dyskusje, recenzje, recytacje...), a po omówieniu ogólnym, ze szczególnym uwzględnieniem głosów pojawiających się na łamach czasopism „Skamander” i „Wiadomości Literackie”, z pietyzmem rekonstruuje proces „walki o teatr”. Dokonuje przeglądu teatralnych zainteresowań i porównując odmienne programy reformowania teatru, wskazuje drukowane na ich łamach artykuły fundujące teatralną i dramatyczną teorię skamandrytów (Witkacego i Breitera).

W obszernym III rozdziale pt. *Poradzić sobie z grafofobią* (tytuł znakomity!) Warońska z bliska przygląda się autorom – obserwuje co ich łączy, co różni, które cechy uznać za wspólne, zgodne ze skamandryckim programem (np. niechęć do celebracji, brak akceptacji dla nazbyt awangardowych koncepcji reżyserskich, od których wieje nudą, bo sama oryginalność prowadzi donikąd), a które trzeba uznać za własne, specyficzne dla twórczej jednostki. Zbierając dane, badaczka komediowej twórczości skamandrytów nie tylko gromadzi opinie recenzentów na temat utworów wystawianych i podaje informacje o tekstach zaginionych (wydobywa je ze wspomnień), ale też wskazuje projekty zamierzone, nie zrealizowane. Drobiazgowo odnotowane „ślady” trudno zakwestionować. Moje wątpliwości budzi tylko jedno zdanie: „zapis ten zapowiadał wprawdzie nowy dramat”. Trudno wierzyć Lechońowi, piszącemu już tylko dziennik, że myśli o projekcie komedii. To raczej żart (bo „pocziwa polska idiotka” marzy o federacji), a nie „lakońiczny zapiszek” pomysł na komedię.

Po części teoretyczno-socjologicznej (genologia teatrologiczna) następują problemowe ujęcia zagadnień istotnych dla tematu, z którymi wiążą się nazwiska konkretnych twórców: naprzód „kabarciarze” Tuwim z Hemarem, następnie Lechoń, Słonimski, siostry Kossaków, Iwaszkiewicz, Hemar i skamandryci adaptatorzy. Wiem ze *Wstępu*, że o kolejności pojawiania się szkiców decydował czas ukazywania się tekstów, ale zauważam możliwość innej motywacji przyjętego porządku. Otóż, zasadność tego ukła-

du – wynikająca z hierarchii elementów skamandryckiego „programu” – trudno kwestionować, bo kolejność tekstów (czyżby przypadek?) komponuje się bardzo logicznie. W komediową twórczość skamandrytów musi wprowadzać „lżejsza Muza” (przecież to ich specjalność, grupowy wyróżnik, któremu do dzisiaj zawdzięczają niepoehlebne oceny twórców i krytyków „poważnych”), za nią lokuje się Lechoń z *Panią Walewską* (w niej nowa „lekcja patriotyzmu”), po niej powinien pojawić się „felietonista” Słonimski, dalej Kossaków jako rzeczniczki przemian obyczajowych (Magdalena bawi się śmiesznościami, Maria zabiera głos w dyskusji na tematy społeczne), liryczny Iwaszkiewicz (autor tylko dwu komedii i najmniej skamandrycki) i wreszcie Hemar destruktor, z etykietką „tekściarza” (znakomicie został pokazany rozwój warsztatu komediopisarza). To układ idealny. W każdym z podrozdziałów znajduję interesujące uwagi o charakterze genologiczno-interpretacyjnym, najwyższej oceniam umiejętność pokazania przemian gatunku i linii rozwojowej piszącego.

Twórczość skamandrytów, będąca przedmiotem rozlicznych badań, jest zjawiskiem dość dobrze opisanym, a jednak wciąż pojawiają się opracowania, odsłaniające coś nowego. O dziejach i praktykach grupy Skamander, a także jej ocenach Warońska wie wszystko (nie tylko w interesującym ją zakresie dramatu i teatru) i znakomicie tę wiedzę wykorzystuje: wybiórczo, selektywnie, podporządkowując dotychczasowe ustalenia przyjętej linii problemowej. Trzeba pamiętać o tym, że działalność skamandrytów – w żadnej sferze – nie sprzyja ujęciom komplementarnym i zawsze wymyka się generalizacjom. Pasjonaci awangardy krzywią się na „eklektyzm”, rzeczników trudno definiować „nowoczesności” zniechęca nienowoczesność/tradycjonalizm, z kolei tych, którzy stawiają sztuce bardzo ambitne wymagania razi skamandrycki romans z popkulturą i „podkasaną muzą”. A przecież człowiek współczesny, będący „produktem” kultury XXI wieku (respektującej potrzeby masowego odbiorcy) powinien docenić diagnozy i praktyki skamandrytów.

Monografistka podjęła ambitne zadanie przybliżenia ogromu ich starań w obszarze twórczości „komediowej”, konfrontując stanowiska odbiorców międzywojnia, ale też współczesnych, zaprezentowała różne na ten temat opinie. O wielu sprawach pisano, ale nie tak, bo jednak w innym ujęciu – dzieła i formy lokowano w innych kontekstach, akcentowano odmienne kwestie. Sugestie wcześniejszych badaczy są tutaj rzetelnie przywołane, czasem sprawdzane i rozwijane. Idąc tropem Ratajczakowej, która nazywa Zorna „genialnym marketingowcem”, autorka interpretuje komediopisarstwo Słonimskiego znacznie szerzej, wykorzystując prace

z zakresu marketingu (Kotler, Kardaszewski), socjologii, kulturoznawstwa. Dzięki nowym kontekstom nie tylko *Herostrates z Chicago* wybrzmiewa bardzo współczesnie. Za najlepsze partie omawianej książki uważam fragmenty o charakterze analityczno-interpretacyjnym, w nich dobrze widać pomysłowość, sprawność „warsztatową” oraz erudycję autorki. Podrozdział *Od anarchisty do komentatora* – jeden z najlepszych – czytałam z zainteresowaniem, bo „gładko” spotykają się w nim główne wątki problemowe tej książki (odbiór, kwestie genologiczne, cechy konstrukcyjne, linia rozwojowa: „od anarchisty do komentatora”). Kompetencja genologiczna i wnikliwa obserwacja materiału pozwalają Autorce sformułować dojrzałe wnioski – istotnie, Słonimski (komediopisarz felietonista) umiał korzystać ze sporu antagonistów i zazwyczaj unikał jednoznacznych rozstrzygnięć, a tym samym skłaniał odbiorcę do myślenia.

Do wczoraj opracowania poświęcone skamandryckiej komedii były niepełne i rozrzucone, zainteresowani tą problematyką musieli sięgać do kilku książek, licznych recenzji i wspomnień. Po książce Warońskiej – dzieła będącego ważnym kompendium wiedzy na temat roli komediowych gatunków formujących wrażliwość odbiorcy w okresie międzywojnia – droga jest przetarta. Po tę pozycję będą zmuszeni sięgać wszyscy poważnie zainteresowani twórczością skamandrytów. Warto też dodać, że Autorka wytycza dalsze kierunki poszukiwań (np. słusznie upomina się o monografię dramatów Słonimskiego), sugeruje możliwość nowych interpretacji.

Warońska jest mistrzynią w gromadzeniu materiałów, podziwiam jej skrupulatność i panowanie nad tekstami różnego gabarytu i autoramentu (od solidnych monografii przez recenzje... do wspomnień i wspominek), z których – jak idący po śladach detektyw – wydobywa argumenty na poparcie stawianej tezy. Przyjęta metoda dowodzenia wyklucza polemikę, bo prawie wszystkie wnioski są tu poparte cytatami i obudowane przykładami, a ewentualne wątpliwości podpowiada sama Autorka, przytaczając sprzeczne racje, motywacje, opinie. Jest to więc praca oryginalna, istotnie dopełniająca naszą wiedzę o działalności skamandrytów. O jej wartości decydują: bogactwo materiałów, sprawny warsztat naukowy, bardzo dobrze wykorzystana literatura przedmiotu, przemyślana kompozycja całości i poszczególnych części. ■

Joanna Warońska: *Komedia na miarę. Skamandryci w teatrze*, Wydawnictwo Uniwersytetu Humanistyczno-Przyrodniczego im. Jana Długosza w Częstochowie, Częstochowa 2019, 519 s.

Doświadczanie miłości

KSIĄŻKI

ANNA TLAŁKA

Barbara Gruszka-Zych w tomie *Nie chciałam ci tego mówić* zabiera nas w podróż do korzeni. Poetka mierzy się z tendencjami współczesności do zapomnienia o swoim pochodzeniu. Dedykuje swój tom rodzicom, dzieciom i ich dzieciom. Drugim filarem książki jest słowo, litera, poezja, które nie umierają, nawet „jeśli słońce nie zagłąda do nich od lat” (*Książki*). Trzeci, a zarazem pierwszy filar to – miłość.

Prologiem książki staje się cytat z Księgi Zachariasza, który zapowiada nam, że Autorka chciałaby „na nowo dotykać świat” (*Ironia*), zadaje pytanie: „czy ktoś dziś umyje nam dłonie?”. Czy Poetka wierzy w to? Może jednak ktoś nam je umyje, ponieważ woda płynie mimo upływu lat (***) *te delikatne dłonie...*), a dźwiga je ciało poety w swojej transcendencji.

Czy Poetka wyraża obawę przed tym, co nadejdzie? Czytając wiersze Gruszki-Zych ma się wrażenie, że przyjmuje stany rzeczy ze spokojem, jednakże w jednym z wierszy pisze o „tonach niepokoju” i bólu przesywającym całe ciało (***) *idzie burza...*). Myślę, że ten ból jest bliiski wielu. W innym miejscu pisze: „boję się co w nich napisałam dla kogo innego, a ty bierzesz je do siebie” (***) *siedzisz nocą...*). Nie chciała mówić zbyt wiele, ale miała taką potrzebę. W obecnym czasach wszystko „nie przyznaje się jak pragnie światła” (***) *koniec już bliski...*).

Mam wrażenie, że komponując tomik Gruszka-Zych chciała je ujrzeć i wypuścić na świat, zarazić nim świat. Przywrócić świat do porządku, który dawno już legł w gruzach. Ponieważ wydaje się, że coraz więcej osób mówi tym samym głosem współczesnych realiów, zapominając o prawdziwych wartościach, zapierając się, że „to nie ich wina, że nie znają tej drogi, prawdy i życia” (*św. Piotr in Gallicantu*). Kamieniem węgielnym jest rodzina, z której pochodzimy, wiara bez której by nas tu nie było.

Jan Paweł II w *Tryptyku rzymskim* pisał o „źródle”, szukał go w zatoce lasu, w strumieniu. U Barbary Gruszki-Zych odnawianie „źródła” jest trzepotem skrzydeł ptaków („synoalicy, czy szpaka”), niezmienna miłość – „kwiaty zatrzymane w opadaniu” (***) *w ten dzień*), drugi człowiek i wszystkie doświadczenia. Należy także wierzyć, że praca pomoże nam wznieść się wyżej, choć tyle zmian i niebezpieczeństw wokół. W jednym z wierszy autorka nawiązuje do herakliteskiej *pantha rei*, chociaż mam wrażenie, że wcho-

dzi z nią w polemikę, bo centrum świata u niej się nie zmienia, są nim korzenie chrześcijańskiej cywilizacji. Pomimo zmian: „drzewa są nadal wielkie” (*nocą*), a te „które urodziło Boga zakwitnie” (***) *Jeżus nadjedzony...*), pomimo tego że wielu chciałoby o nim zapomnieć. Tutaj przychodzi mi na myśl wiersz Sylwii Plath, która pisze, że nie jest „drzewem, zakorzenionym w ziemi, / Świącym mineralne wody i macierzyńską miłość”. U Gruszki-Zych korzenie drzewa są jej korzeniami.

W książce znajduje się wiele wątków dotyczących miłości. Zmieniając porządek: najpierw jest ciało, potem litera. Poetka subtelnie opowiada o „przesypywaniu piasku z jednego ciała do drugiego” (*stoje między dwoma mężczyznami*). Wspólnie mierzymy się z czasem. Zanim coś zostanie napisane, najpierw jest ciałem. Litera są zawsze „świeżą trawą” (*książki*), nawet, jeśli nie zagłąda się do nich od lat. Żyją swoim własnym życiem. Po sobie mogą zostawić litery, które są ciałem. W miłości jednak nie trzeba zbyt wielu słów, „jest albo jej nie ma”, jak pisał ks. Jan Twardowski. Mimo odległości, zawsze będziemy tęsknić za fizyczną obecnością. Autorka pisze: „Morze jest opowieścią / suknią łąką słońce wiązaną rumianków / tylko kobieta chce być ciałem kochanym”.

Kobieta, która „chce być ciałem kochanym” (*najpierw jest ciało*). Dla niej liczy się obecność. Celebrowanie chwil z ukochaną osobą, zapisywanie ich jak w kadrze. Wiara w prawdziwą moc miłości i czerpanie z niej garściami bez lęku. Kochanie więc i mocniej. W rozważaniach Tischnera na temat miłości odkrywamy, że ona chce być nią coraz bardziej. Miłość wciąż samą siebie chce polepszać (bo ona nas rozumie najbardziej). Podobne refleksje mam po przeczytaniu tomiku Gruszki-Zych. Tylko ciało wcielone, które czuje tak samo jak my, jest w „niewoli ciała”. A my?

Miłość sentymentalna, bliska wielu kobietom, „wisiorek przypominający płatek małego kwiatu, czerwonego jak kropla krwi” (***) *mam na sobie coś od ciebie*), kiedy ktoś odrywa miłość od kogoś, odczuwamy przejmujący ból. Te drobne elementy pomagają pamiętać o Człowieku. W tomie, bardzo osobistym, autorka pisze o ludziach dla niej ważnych. Ocala od zapomnienia „święte przyjaźnie”, zwraca się do nich w osobliwy sposób, próbując ożywić wspólnie spędzone chwile, chce zatrzymać czas. Poetka pisze też o „wzbierającej tęsknocie” i konieczności pogodzenia się z faktem utraty bliskich osób.



Na okładce książki znajduje się wiersz, który jest klamrą spinającą wszystkie teksty; autorka mierzy się w nim ze śmiercią. Chciejmy żyć godnie i dobrze, wznoś się coraz wyżej. Bądźmy na tej drodze sobą. To, co pozostawiamy po sobie, wiele o nas mówi: którądy podążaliśmy, czy znaleźliśmy w tej wędrówce prawdę, czy wciąż do niej zmierzamy? Świat, od którego uciekają zwierzęta i świat, który także nas złapał w sieć. Ale miłość jest spoiwem, można tylko próbować ją obejmć, bezskutecznie. Piękno jest w codzienności, nie tylko w metafizyce, nie trzeba także wiele mówić, tylko czuć.

Gruszka-Zych pisze lekko, lektura jej wierszy jest dla mnie przyjemnością. Piśmo o rzeczach bardzo istotnych, przyjmuję je, zgadzam się z nimi, nie mam potrzeby wchodzenia w polemikę, zarazem się jej tęsknotą, także niepokojem. Pełnym uznania jest dla mnie fakt nie podawania przez autorkę odpowiedzi, niemówienie wprost, ale mocne, międzyślowe zmuszanie do refleksji. Bardzo ujęła mnie „zawstydzona bliskość”, dotykając prawdy o człowieku. W obecnym świecie brakuje nam „zawstydzonej bliskości”. Poetka nie chciała tego mówić, ale powiedziała i ja za to dziękuję. Nie chciała, bo sięga najgłębiej, czy ktoś inny może tam zajrzeć? Albo zrozumieć? Ktoś równie wrażliwy?

Wiersze Barbary Gruszki-Zych z tomu *Nie chciałam ci tego mówić* w pozamysłowy sposób mnie „otulają”. Wychodzę poza granice wiersza w objęcia ich autorki. Tak, to dobre słowo. Jest to poezja w pewien sposób konfesyjna, szlachetna i subtelna, ale i uzmysławiająca nam, że trzeba stale „zszywać”, aby trwać. Pierwsza strona okładki książki przedstawia sylwetkę autorki. Dla mnie to zaproszenie na spotkanie. ■

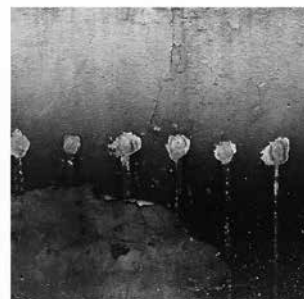
Barbara Gruszka-Zych: *Nie chciałam ci tego mówić*. „Śląsk” Wydawnictwo Naukowe, Katowice 2019, 60 s.

Postscriptum do *Postscriptum*

KSIĄŻKI

PIOTR SKOWRONEK

Andrzej
Szuba
W Y G A S I Ć



Górnośląskie Towarzystwo Literackie
„Śląsk”

Nowy tomik wierszy Andrzeja Szuby łączy z poprzednimi wypróbowana strategia poetycka: minimum słów oraz wspólny poszczególnym utworom (numerowanych rzymsko, jak lata) tytuł – *Postscriptum*. Ascetycznie ścieśniający przestrzeń utworu do kilku słów, po to, by porazić nimi czytelnika. Pozwolić im wybrzmieć, bo żaden komentarz nie wydaje się adekwatny. Sam proces lektury, odkrywania sensów, tych często zaledwie kilkulinijkowych utworów wydaje się ich interpretacją – pisała o wierszach i ich autorze Barbara Gruszka-Zych.

Słownik języka polskiego ma dla nas dwa tłumaczenia słowa „postscriptum”. Pierwszym jest „dopisek do listu, artykułu itp., umieszczony na końcu po podpisie autora”; drugim: „dodatkowe informacje podane na zakończenie audycji, przemówienia lub książki, mające charakter objaśnienia, uzupełnienia lub podsumowania”. Byłyby więc miniatury Szuby dopełnieniem, dopiskiem, dodatkiem, uzupełnieniem... czego? Wierszy – to oczywiście. Tych, które pojawiają się jedynie (czy aż) w imaginacji poety i odbiorcy. Obrazów doskonałych, bo niezapisanych. Poetyckich światów nieograniczonych słowem. Idealnie przejrzystych. Spójnych i nieprzegadanych, bo wypełnionych wprost milczeniem, a przy tym idealnie do siebie przylegających.

Tom rozpoczyna myśl przypisana obserwacji egzystencji, która swoją tajemnicą raz po raz wyziera i nam zza podszewki świata: „być żeby nie być żeby potem / znów być lecz już zawsze jakby / nie można było tak od razu” (CXC VII). Kto z nas nie wpadł nigdy, do tak pomyślanej ontologicznej studni? Kto nie pytał? Nie łapał oddechu? Kto nie szukał tego, kogo warto pytać? Platon wyraził to tak: „Od dawna bowiem, rzecz jasna wiadomo wam, co macie na myśli używając wyrażenia *bytujący*. My wszakże, którzy swego czasu sądziliśmy, że je rozumiemy, popadliśmy teraz w kłopot”; Heidegger natomiast zapytał: „Czy w dzisiejszych czasach dysponujemy odpowiedzią na pytanie, co właściwie rozumiemy pod słowem *bytujący*? W żadnym razie nie. Czy jednak dzisiaj fakt, że nie rozumiemy wyrażenia *bycie*, jest naszym jedynym kłopotem? Bynajmniej. Dlatego przede wszystkim musimy na nowo obudzić zrozumienie dla sensu tego pytania”. Dla Szuby jest ono zasadniczym. Balansowanie na granicy istnienia i nieistnienia, słowa i milczenia, czasu i bezczasu jest podstawowym rytmem tej poezji, aż do bezlitosnego wyzwania: szkoda / słów (DCCXL).

Metafizyka lapidarnych tekstów, któ-

rym można przypisać podobieństwo z japońskim *hai-kai* poprzez zwięzłość zaledwie kilkuwyrazowej treści, rozlewa się zatem na tekst nienapisany i ujawniony, bowiem „nie w słowie / a w milczeniu / się ukrywa” (DCXCVIII).

Pewną wskazówką wobec poetyki Szuby jest pojawiająca się dwukrotnie dedykacja *in memoriam* W.C.W. Idzie o Williama Carlosa Williama, amerykańskiego poetę, pisarza i dramaturga. Wyraźny trop znajdziemy w *Postscriptum* DCCXLV: „nic / nie zależy / od czerwonych taczek”. *The Red Wheelbarrow* (Czerwona taczka) to jeden z najgłośniejszych wierszy Williama. Julia Hartwig, tłumaczka poezji Williama, pisała: „miał to być język codzienny, bezpośredni i wyzbyty wielosłowia, ekspresja poetycka oparta na leksyce autentycznie amerykańskiej, dążąca do konkretności, do przywrócenia przedmiotowi jego pełnego i symbolicznego”. Williams w myśl koncepcji „triadic-line poetry” dzieli zdania na trzy części, każdą zapisując w osobnym wersie. Szuba jako poeta i tłumacz poezji amerykańskiej jest mistrzowi wierny.

W grze/konwencji „postscriptum” środek ciężkości wiersza jest poza tekstem dostępnym czytelnikowi i tylko echem daje znać o głównym rytmie poetyckiej wyobraźni. Konstrukcja tomu przywodzi na myśl asyndeton, do którego wprowadza nas bezokolicznikowy tytuł *Wygasić*. Co? Kogo? A może, jak podpowiada Redakcja: „był, który z czasem musi sam się wygasić”?

Każdy punkt stanowi temat oddzielny, spójny ludzkim istnieniem. Mało jednak w owych dźwiękach barw osobnych, odrębnych, właściwych konkretnej, a nie uniwersalnej historii. Są jak czysty dźwięk, który dociera do naszych uszu. Zaraz po przeczytaniu/usłyszeniu, jego źródła szukamy także, a może przede wszystkim w sobie. „Ja” wychylone jest tam nieustannie ku „ty”, ale brak jakichkolwiek graficznych wyróżników tekstu, interpunkcji czy innych przesłanek do jego pełnej identyfikacji. Tak, jakby w niczym nie chciał nas Szuba ograniczać, hamować, wiązać, dając nam niezwykłą swobodę myśli, która daleka jest od klasycznej interpretacji. Często, zupełnie wyraźnie nadawca, bo przecież tylko on dopisuje kolejne postscripta, wiedzie nas ku swojej litanii. Jej wersami możemy do woli żąłować, układając mozaikę poniekąd własnych westchnień, pytań i wątpliwości: „który oganiasz się / od nas / milczeniem” (DCCII); „nauz / jak się odnaleźć / w rozrzuconej nicości” (DCCXIV); „jesteś wszystkim / czego o tobie / nie wiemy” (DCCXLVI); „domilcz / za siebie / panie” (DCCXL).

Często poeta operuje frazeologizmami, którym nadaje odmienne zaskakujące znaczenie: „znamy się z niewidzenia / z niesłyszenia / z nieistnienia” (DCCV); „niedopowiedz / swoimi / słowami” (DCCXXI); czy mniej lub bardziej wyraźną aluzją literacką: „żeby choć / nic po tobie / a tu słowa słowa” (DCCXXVI); „odszedł / i dalej nie wie / i nie wie że nie wie” (DCCVI). Ton wybija-nych osobno dźwięków jest ciemny, minoryowy. Trudno wreszta w współczesnej poezji doszukać się choćby śladów afirmatywności. Wydaje się, że cierpi na chroniczną depresję, a świat i ona sama niemiłosiernie ją uwiera. Rozpad, przemijanie, wytarcie języka, jego zużycie, nieprzystawalność, niedowierzanie zmysłom: „aż dziesięć palców / jakby dotyk / coś mógł” (DCCI) to symptomy ewidentnej choroby. Pacjent ma pretensje, walczy, stawia opór, bo, jak chciał Camus, „jest jedynym stworzeniem, które nie zgadza się być tym, czym jest”, ale nawet wbrew sobie ma czasem ślady nadziei: „gdy porzucisz / nieprzeniknioną jasność / gdy się unaocznisz” (DCCLXIV).

Wierszom Andrzeja Szuby towarzyszą abstrakcyjne, nieoczywiste fotografie Tomasza Kowalskiego. Pełne pęknięć, wyrw, „zadrapań”, śladów łączy istnienie z nieistnieniem, trwanie z przemijaniem powoli gasnąc: „odkąd cię nie ma / jesteś wszędzie / i skrzytnie tępisz fotografie” (DCCXVI). Między nimi a tekstem toczy się swoista gra.

Miała rację Barbara Gruszka-Zych, pisząc, iż wielość słów recenzji nie przystoi wobec syntetyzmu poezji Andrzeja Szuby. Słowa stają się nagle puste, ich nadmiar uwiera. Trzeba zatem: „wygasić zdania / słowa litery / interpunkcję” (DCCXLIV). ■

Andrzej Szuba: *Wygasić*. Górnośląskie Towarzystwo Literackie – „Śląsk” Wydawnictwo Naukowe, Katowice 2020, 100 s.

Podwórka czasu. O malarstwie Jacka Rykały

MARIAN KISIEL

Część 1. Miasto

*Wer das Dichten will verstehen,
Muß ins Land der Dichtung gehen;
Wer den Dichter will verstehen,
Muß in Dichters Lande gehen.*

Johann Wolfgang Goethe

Miasto rodzinne jest miejscem intymnym. Może być zwyczajne, bez architektonicznych atrakcji i blasku historii, a jednak sprawia nam przykrość, kiedy ktoś je krytykuje. Jego brzydota nie robi nam różnicy; nie robiła nam przeciw różnicy, kiedy byliśmy dziećmi, chodziliśmy tam po drzewach i pedałowaliśmy na rowerach po nierównych brukach, kiedy kąpaliśmy się w stawach.

Yi-Fu Tuan

Miasto spowite słońcem. Panuje wieczna pogoda, nie pada deszcz, nie widać śniegu zbrylonego w koleiny. Rzeczywistość jest wypełniona jakąś „cudownością”, jakąś „nadnaturalną atmosferą”, magią. „Silny snop światła – pisała Violetta Sajkiewicz – wydobywa [...] jaśniejące blaskiem bramy, tajemnicze przejścia, ławki i porzucone samochody”. Ale świat opustoszał. „W słońcu stare place milczą”, twierdził Georg Trakl w *Pięknym mieście*. Tak samo tutaj. Słońce wyostrzyło kształty domów, rzuciło cień na ulice. Odkryło to, co skrywa noc: brud i nieład. A może jedynie odkryło codzienność, która wszak nie wkłada kostiumu, by przykryć swoje niedostatki. Gdzieś niedaleko, jak w *Słonecznym popołudniu* (2000) czy *Ulicy Kasprzaka* (2001) pojawiają się „wieczni chłopcy” przy wymarzonej aucie, albo matka pchająca wózek. Są uśmiechnięci, pełni życia. Ale nie ma tu życia, na obrazach wykorzystane zostały stare fotografie. *Punctum* jest uśmiech, nawet jeśli przez chwilę naszą uwagę przykuwają znaczek z numerem domu czy tablica z nazwą ulicy. Człowiek w przestrzeni miasta to „puste znaczące”.

1. Ulica, bramy

Ulice nie tętnią życiem i nie są przedmiotem zainteresowania malarza. Gapie nie przystanął na chodnikach i nie obserwują, co się dzieje po drugiej stronie ulicy. Po szynach rzadko przejeżdżają tramwaje (*Miejsce pracy*, 2008) i raczej trudno spotkać spacerowiczów (*Czerwone Zagłębienie*, 1998). Na sosnowieckiej *Ulicy Legionów* (2007) brama wejściowa jest tak samo pomalowana na zielono, jak w *Będzinie* (*Będzin – światło*, 2006). Półotwarta zaprasza w głąb podwórka, podobnie jak przejścia bramne, które nie bronią wejścia czy wjazdu na dziedzińce kamienic, bo bramy zostały wyrwane (*Ta nasza młodość...*, 2005/2008), albo ich nigdy nie było.

Bramy są tożsamością domu. Kute, dekoracyjne, pamiętające swoją przeszłość, może wyjątkowość (*Brama pod 9*, 1988), teraz zaniedbane, odrapane, okaleczone, straszą przechodniów, ukazując pospoliczość miejsca (*Wokół podwórka 3*, 1989), albo jego niezwykłość, kiedy dziedzińiec zmienia

się w łąkę (*Mgła*, 1997). Ale bramy są także progiem, który przekracza się, przechodząc z jednego świata do innego. Ze świata, jaki znamy, do świata, jakiego nie znamy. Jest to próg magiczny, nawet wtedy, kiedy rzeczywistość, która się przed nami otwiera jest inna niż ta, o jakiej myśleliśmy, że nas wyrwie z naszej nieciekawej codzienności.

2. Podwórko

Podwórka nie są estetyczne. W *Pięknej nieznanym* (1996) ściany domów są tak samo odrapane, a może nigdy nie były tynkowane, jak w *Podszeptach dzielnicy Sielec – chłopcy* (1993/2000). Na sznurkach suszy się pranie, nie krępując się widokiem swojej nędzy (*Pranie*, 1984). Rozwieszona bielizna, odjęta nagle ciałom, nie różnicuje mieszkańców, ale ich do siebie zbliża. Nikt zresztą nie patrzy na jakość prześcieradeł, czy są poplamione czy podarte, nowe czy zużyte. Na podwórku wspólnota mieszkańców jest cielesna. Z otwartych okien spływają zapachy gotowanego obiadu, z szeregu komórek i latryn wypływają wyziewy takie same, jak na innych podwórkach. W oknach firanki robione szydełkiem lub przemysłowe i doniczki z kwiatami są miarą zadbania, a stojące pod ścianą samochody marki Syrena czy Warszawa – miarą zamożności.

3. Ogród

Miasto ma swoje ogrody. Wyrastają nieoczekiwanie za rogiem kamienicy, wabiąc żółtymi mleciami na w sposób nieogarniony panoszącej się trawie. Pochylona akacja czy śliwa dobrze służy gospodyniom, które zaczepiają o nią sznurki i ciągną je aż do komórek. Na tych sznurkach zawisną poszwy i prześcieradła, wystawiając swoją intymność na czułe promienie słońca. Opodal nawłóć, albo trawy kołyszają się na wietrze. *Mgła* ustąpiła, budzi się nowy dzień (*Mgła*, 1997). Gdzie indziej troskliwy sąsiad pobielił wapnem pień jabłoni (*Ogród*, 1994), choć w zarośniętej przestrzeni, oddzielonej byle jakim płotem i rozsypującym się murem, trudno zachować swobodę angielskiego *a garden*. A przecież dba się tak samo o rośliny za furtką (*Furtka*, 2000), jak przy domu (*Żółte liście*, 1985).

Nieład i troska o porządek, bylejąkość i pragnienie piękna unieważniają się. Natura ozdabia ścianę z oknami, tworzy namiastkę przydomowego, zadbanego ogródka i zaraz panoszy się przy chodniku prowadzącym od bramy (*Agnieszka. Cykl – Rezydencje*, 1998/2000). Przy sztachetach rośnie dziki rabarbar (*Płot – szpary*, 2005) i zewsząd wyrastają nieproszeni goście (*Jasiek*, 1990). Swojski, bezpieczny świat.

Część 2. Dom

Dom jest miejscem intymnym. Myślimy o domu jak o swoim miejscu, ale zachwycające obszary przeszłości przywołuje nie cały dom – budynek, na który można tylko patrzeć – ale jego części i wyposażenie, to czego możemy dotknąć, co ma również zapach: strych i piwnica, kominek i wielkie okno, ukryte zakątki, taboret, złożone lustro, nadłamana muszla.

Yi-Fu Tuan

Dom sięga poza ściany budynku i ogród wokół niego. Zbiera krążące dźwięki, zapachy i widoki. Obejmuje przyrodę, historię i doczesne dobra, które go wypełniają. Dom jest miejscem naturalnych objawień: tutaj niebo i ziemia spotykają się w jakiś szczególny sposób, horyzont jest daleki lub bliski, światło ma swój blask, a deszcz zaledwie mży lub jest silną ulewą.

Joseph A. Amato

Przyzywa nas nie całość, ale część. Ma swój konkretny kształt, zapach, przemawia swoim językiem. Drzwi skrzypią inaczej niż rozsychnięta się szafa albo łóżko, na którym już nikt nie odpoczywa. Wysuwana szuflada ze stołu obiecuje odmienną niespodziankę niż szuflada w kredensie. Krzesło szura sobie znaną opowieścią, zawsze inaczej. Zepsuty zegar niespodzianie odezwie się w głuchej ciszy. Martwe klucze w zamku zaskrzypią, przypominając, że drzwi czekają na otwarcie i dom czeka. „Myślimy o domu jak o swoim miejscu”, pisze Yi-Fu Tuan. „Dom obdarzony pełnią oniryczną jest jedynym, w którym można przeżywać marzenia intymności w całym ich bogactwie”, dopowiada Gaston Bachelard.

1. Stół

Stół wyznacza centralne miejsce domu. Zawsze jest pośrodku, nawet jeśli ten środek się przesuwa. W nim zbiegają się wszystkie dobre i złe siły, jakie rządzą nami i światem. Ku niemu zdążają domownicy, chcący połączyć się w intymnej bliskości. O nim marzą wędrowcy, rzuceni z dala od domu. Przy nim trzyma się miejsce dla tego, który pobłądził w drodze. Ten, który już nie usiadzie przy nim, bowiem ubył w inną przestrzeń, zachowuje swoje miejsce jako „puste znaczące”. Bez stołu nie ma domu, jak w *Kamieniu na kamieniu* Wiesława Myślińskiego. Poskładany po wojnie z rozerwanych elementów, z odzyskaną szufladą, która służyła świnom za korytko, później okaleczony, z trzema nogami dębowymi i protezą z drzewa śliwkowego, jest metaforą świata, który podlega prawom czasu. „Cóż, przychodzi na człowieka czas, przychodzi i na stół” – pisze Myśliński.

Stół w nieswojej przestrzeni. Jest tak wielki, że mógłby wypełnić salę bankietową. Ale nie jest ani stołem biesiadnym, ani rodzinnym, „zamiast obrusem przykryty spłowiąłą materią” (Eduardo Sassi), z cukiernicą pośrodku, z ustawionymi na miejscu osób podpartymi obrazami, z trzema (może kilkoma) drewnianymi krzesłami, z których jedno jest przewrócone, jest stołem martwym. Nie znamy jego kształtu, choć widzimy owal, nie wiemy jakiego jest jego piękno, bo pomięte płótno, jak całun, skrywa jego wizerunek.

Obrazy są podparte, uszło z nich życie, są z różnych lat. *Kobieta* (1999) patrzy zza ornamentowej szyby, zamknięta w pokoju lub łazience. *Gwoździe* (1999) na trwałe przybiły rodzinną fotografię do dziurawych pleców obrazu. *Szkoła* (1994) fotografię dziecięcych postaci z nauczycielką zespoliła z drzwiami, niczym górne okienko, z którego można wyrzucić na świat. Życie, które ubyło, trwa w osobliwych miejscach pamięci: starych ramach, popękanej sklejce, zmiętej tkaninie. Jeśli kolor to spłowiła, oddający swoją soczystość czasowi, godzący się na jego nieubłagany upływ.

2. Drzwi

Drzwi! Drzwi to cały Wszechświat Pólotwarca, a przynajmniej jego obraz pierwotny, samo źródło marzeń, w którym tłoczą się pragnienia i pokusy; pokusa, by zajrzeć do głębi bytu, pragnienie zdobycia tych wszystkich, którzy się jeszcze wahają. Drzwi są ilustracją schematu dwóch przeciwstawnych możliwości, które dzielą w sposób zdecydowany dwa typy obrazów. Czasem są zamknięte, zaryglowane. Czasem otwarte czy też otwarte na oścież.

Gaston Bachelard



Jacek Rykała

Uchylone drzwi. Czy zapraszają? Wnętrze domu ukrywa się w mroku sieni (*Podszepty Dzielnicy Sielec – Marysia*, 1991), mrok jest tym głębszy, im jaskrawsze jest słoneczne światło (*Cień*, 2001), ujawniające odrapaną fakturę drewnianych skrzydeł. *Światło Środuli* (2001) jest intensywne, wydobywa strukturę kocich łbów. Chodnik czy ścieżka prowadzą na podwórko, na którym rozwieszono poranne pranie (*Światła Środuli – kamienie*, 1995). Bruk wdziera się w naturę, poprawia ją, tworzy na placyku kamienną mozaikę. Można po niej przejść do komórki czy chlewika (*Zmierzył wszedł cicho...*, 2015), albo pójść po suszące się w słońcu prześcieradła (*Elisabeth Blaut*, 2008; *Prześcieradło*, 2011). Zieleni jest mało, kamień przykrywa to, czego nie widzimy i o czym nie wiemy. Pochłania życie, którego jesteśmy ciekawi, ukryte za drzwiami.

Ale drzwi nie zapraszają do domu, a jakby z niego wypraszają. Jakby już nie było w nim życia, to znaczy – w sensie egzystencjalnym – jakby nie był zamieszkały. Albo: jakby – niczym w dziewiątej elegii duinejskiej Rilkego – „własny wysłużony próg we drzwiach” był już nie tylko dla „dwojga kochanków”, ale dla wszystkich, „co przyjdą... przelotnie”. Wnętrze w prześcieniu jest dla nikogo. W wierszu *Dom przeznaczony do wyburzenia* Jacek Rykała napisał: „gdy dom / przeznaczony do wyburzenia / opuści ostatni człowiek / zalega w nim taka cisza / że wstydzisz się / szelestu własnych kroków”. W tej ciszy nie ma człowieka, są przedmioty: „które nagle / straciły swoje miejsce / i / przestały być potrzebne / w pośpiechu / zostawione / leżą cicho / na schodach / w przejściach / na korytarzach”.

3. Przedmioty, cisza

Nie widzimy ich, pozostały w ciszy opuszczonego domu, lub widzimy je wystawione na pośmiewisko świata. Pierwsze, ukryte, wstydzają się swojej intymności, tego, że zostały opusz-

czone przez ciała, którym zawsze służyły. Drugie rozpaczliwie obnażają swoją nicotę. Wewnątrz i na zewnątrz domu są zbędną resztką. Wyproszone z życia i mieszkania.

Płot 6a (1982) odgradza to, co potrzebne od tego, co niepotrzebne; porządek od nieporządku; życie od śmierci. Nie widzimy, co jest po drugiej stronie płotu; z naszej strony walają się resztki drewna, cegły, jakieś łachy. Drewniana ławka także jest dotknięta zębem czasu, ma połamane siedzisko. Obraz jest lustrem: pokazuje tę samą przestrzeń z lewej i prawej strony. Czym się różnią? Po lewej stronie siedzi stara kobieta, której już nie ma po stronie prawej. Jej milczenie spowodowane jest w milczenie ziejących pustką okien i drzwi.

Rilke napisał: „Patrz, [...] domy / zamieszkiwane przez nas jeszcze trwają. My tylko / mijamy obok wszystkiego, jak fale powietrza. / I sprzyśnięga się wszystko, by nas przemiłczyć, może / na wpół jak hańbę, na wpół jak niewyraźną nadzieję”. Idąc za przenikliwą sugestią, mieszkańiec domu, tego świata wypełnionego zbędnością, mógłby rzec za Tadeuszem Słowikiem: „nie wypełniam sobą świata, lecz jedynie wypożyczam siebie”. Dlatego po prawej stronie obrazu mieszkankę domu, która „wypożyczyła siebie”, zabrała cisza.

Część 3. Mieszkańcy

Kim jest człowiek? Tym, który musi zaświadczyć, kim jest. Zaświadczyć to tyle, co okazać, ale zarazem ręczyć za to, co okazywane. Człowiek jest tym, kim jest, właśnie wtedy, gdy daje świadectwo własnemu istnieniu. Dawanie świadectwa nie jest dodatkowym i ubocznym wyrazem człowieczeństwa, lecz współtworzy ludzkie istnienie.

Martin Heidegger

Jesteśmy tu może tylko po to, by powiedzieć: dom, most, studnia, brama, dzbanek, owocowe drzewo, okno – najwyżej: kolumna, wieża... ale powiedzieć, zrozum, o, powiedzieć tak, jak nawet samym rzeczom nie marzyło się nigdy.

Rainer Maria Rilke

Friedrich Hölderlin pisał, że „Poetycko mieszka człowiek na tej Ziemi”, co dla Martina Heideggera było znakiem tego, że poeta jest kimś „wyrzuconym w Pomiędzy” bogów i ludzi. I w owym Pomiędzy „rozstrzyga się kim jest człowiek i gdzie osadza on swoje istnienie”.

1. Twarze

Gdzie są mieszkańcy tego świata? Część obrazów nie ma tytułów, ma imiona. *Loniek* (1988) przywołuje podwórko od strony szopki. Dach przykryty papą chroni coś zamkniętego w byle jak skleconej komórcie, od której sznurki z bielizną prowadzą w stronę domu. Ławka z jednej deski służy odpoczynkowi, ale widok na szopkę nie jest widokiem na ogród. Na podwórku Łońka jest to, co na każdym podwórku: wiaderko na wodę, łopata oparta o ścianę, coś wala się po ziemi. Przybity gwoździem numer 2 jest być może numerem domu. W pięcioczęściowej górnej sekwencji obrazu – zestaw zdjęć. Centralnie przybity do ramki kawałek firanki albo obrusa, dzieło szydełka i białej nici. Jak w innych domach zwykle chronił przed muchami, ale tutaj spełnia rolę okna – kto przez nie patrzy? Przyczepione legitymacyjne zdjęcie chłopca i jego trzy o różnym stopniu zatarcia fotografie dorastania. A może to nie dorastanie, może wokół niego są jego bliscy – brat, ojciec, dziadek? Zatarła pamięć.

Na tym samym podwórku *Edward* (1995) patrzy na nas odświętnie ubrany, lecz co znaczy haczyk, który jest chyba jakimś jego atrybutem? *Karol* (1988) spod numeru 11 stoi wraz z księdzem i trzyma komuniijną świecę (który to rok?); *Janusz* (1993) wita nas zdjęciem przyklepionym plastrem u wjazdu na jego podwórko. *Jasiek* (1990), *Barbara* (1995), a wreszcie *Madonna ze Środuli* (1995), każdy ze swoim zdjęciem – komuniijnym, z młodości.

Gdzie teraz są? „Kiedyś / powiesiłem wystawę” – pisze Jacek Rykała w wierszu *Kiedyś*. – „minęło kilka dni / poszedłem do galerii / dostałem kawę / kierowniczką mówi / że ktoś chce mnie widzieć / idę // stary otyły mężczyzna / w poplamionym gabardynowym płaszczu / bierze mnie za rękę / prowadzi do obrazu // obraz duży skomplikowany / pięćdziesiąt dwie części / na jednej z nich / zdjęcie III klasy / szkoły powszechnej z Będzina / w ławkach siedzą / ostrzyżeni chłopcy / wyprostowane dziewczynki // mężczyzna / nie puszcza / mojej ręki / wyciąga drugą / palcem / dotyka ostrzyżonej główki / w przedostatniej ławce / mówi / ten malutki to ja”.

2. Fotografie

Roland Barthes powiada: „Fotografia odnosi się nie do przedmiotu, lecz do czasu”. I dodaje: „Fotografia jest martwym teatrem Śmierci”, to znaczy, że „śmierć nie może oglądać siebie”. Pozbawiona tragizmu, unieruchamiająca Czas, sprawiająca, że „Czas zostaje połamany”, otwiera na inne *punctum* niż to, jakie widzieliśmy w uśmiechu matki pchającej wózek czy ucieszonych młodzieńców w aucie. Tym nowym *punctum* jest historia zamknięta w fotografii: „fotografia mówi mi o śmierci w czasie przyszłym”.

Patrząc na *Kochanków z ulicy Kaliskiej* (1997) rozpoznaję to samo podwórko z *Casablanki* (2005), ale nie to ważne, że Rilkeńska „przelotność” mierzona jest *wydeptanym* progami w drzwiach czy *przeddeptanym* płacykiem, ile historię przyszłości zamkniętą już w roześmianych twarzach. To samo zdjęcie komuniijne w *Madonnie ze Środuli* (1995), *Szarym mydle* (2009) i *Dziewczynce II* (2011) jest opowieścią trzech różnych historii dzieciństwa i jednej historii końca.

Zatrzymanie w kadrze nie jest zatrzymaniem w obrazie. Nie jest też wspomnieniem osoby, bo przedmioty jakie do niej należały przestały już być jej własnością. Stając się bohaterem wyobrażonej opowieści, postać z fotografii rozpoczyna inną opowieść. Taką, jak *W starych domach*. Tę: „w oświetlonym wnętrzu sieni / stoi młoda / byle jak ubrana / kobieta / z papierosem w ustach / ma dużo czasu”. Tę: „przez podwórko / idzie stary mężczyzna / siada na krześle przed domem / spluwa / i zapala papierosa / w szklanej cygarniczce // całe życie za nim”. Oderwane od siebie, obie osoby zostały „połamane przez Czas”.

3. Głosy

Czy drzwi, które otwierają świat na samotność, głośną jego głosy? Dopelnieniem obrazów Jacka Rykały są wiersze i małe prozy. Osoby z przeszłości mówią, śpiewają, złością się lub wymieniają miłosne zaklęcia. Te głosy zlewają się w jedną wielką ciszę.

Dzień jak o dzień. *Południe*. Zagłębiowskie miasto, stara dzielnica. Ludzie pochowani po domach, ukryci w cieniu. Nikt nie przechodzi ulicą, nie przejeżdżają Syrenki i Warszawy, nie czuć spalin. W powietrzu unosi się zapach mydlin: „białe pranie / ostre słońce / stukot młotka / – pani Heniu, ja idę... / – idź, idź...” ■

Szkie ten – w wersji rozszerzonej – pt. *Fragmenty dyskursu o czasie*, ukazał się w językach polskim i angielskim (tłum. Ewa Staszewska) jako wstęp do albumu Jacka Rykały *Czarne słońce*, Nakło Śląskie – Katowice 2020.



Jacek Rykała, *Żarówka w sieni*, olej, kolaż, 160 x 93cm, 2018







Jacek Rykała, *Mrok śnieg*, olej, 179 x 123 cm, 2019

Książka o Witoldzie Szalonku

PIOTR GRELLA-MOŻEJKO

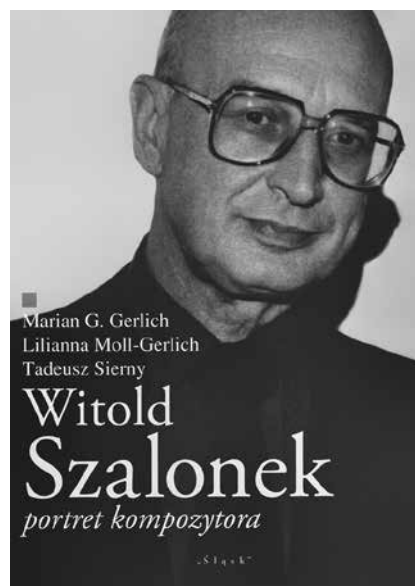
Nakładem wydawnictwa „Śląsk” ukazała się książka wspomnieniowa poświęcona człowiekowi i artyście, o którym pamięć szybko płowieje, nawet zanika: *Witold Szalonek portret kompozytora*. Książka wyjątkowa, wręcz niezbędna w bibliografii twórcy, którego dzisiejsza pozycja w historycznych kontekstach polskiej i śląskiej muzyki jest odwrotnie proporcjonalna do jego niecodziennego dorobku. *Witold Szalonek*... to praca zbiorowa pod redakcją trojga osób reprezentujących różne dyscypliny, a muzyka to tylko jedna z nich; jest to więc, jak stwierdzają w zdaniu otwierającym ów tom, literackie „[s]potkanie muzyka [Lilianny Moll-Gerlich], filozofa [Tadeusza Siernego] i antropologa kultury [Mariana G. Gerlicha]”, spotkanie, dodać trzeba, treściwo bogate, czytelniczo zajmujące, a i formalnie świetnie zakomponowane. *Witold Szalonek portret kompozytora* jest w najlepszym tego zwrotu znaczeniu „książką dla każdego”. Szerokie interdyscyplinarne ujęcia tematu są, według mnie, dzisiaj potrzebne bardziej niż kiedykolwiek – demony ograniczonej oraz w gruncie rzeczy tumaniącej specjalizacji i tak już dosyć złego nabroili. Pisze się osobne, potężne artykuły (jeśli nie książki) o dwuminutowej części większego utworu, albo o podróży Chopina dyliżansem z jednej miejscowości do drugiej – i gdzie tu miejsce na rzeczdywiście istotną refleksję?

Praca składa się z ośmiu części, czy też odsłon, z których każda traktuje o osobnej stronie życia, działań i twórczości tego fenomenu współczesnej sztuki i humanistyki jakim był śp. Witold Szalonek.

Pierwsza odsłona, mnie szczególnie bliska, „Peregrinus” [Podróżnik], to odzwierciedlenie „rozmów z Witoldem Szalonkiem w zwierciadle antropologii kulturowej”. Tekst sam w sobie fascynujący barwnością i rytmem wypowiedzi, ale też odautorskich pytań, rozważań i komentarzy. Naprawdę wiele można się tutaj o Szalonku dowiedzieć jako o człowieku obdarzonym żywą, wysublimowaną inteligencją, szerokim wachlarzem zainteresowań, wielką wiedzą, acz przede wszystkim zadumać się nad losem tego wędrowcy przez historyczne konsytuacje, etnosfery, formacje kulturowe: jawi się on jako człowiek pozostający z własnego wybo-

ru ciągle na rozstajnych drogach, ponad sztucznie narzucanymi granicami etno-kulturowymi. Nawet w rozmowach, które z Witoldem Szalonkiem prowadziłyśmy w Katowicach i Wrocławiu (te ostatnie mniej więcej na rok przed jego śmiercią), uderzała mnie jego jakby gotowość na cierpienie (stoickie, ale też zabarwione szczyptą cynizmu pogodzenie się z tymże) związane z jednej strony poczuciem osamotnienia w Polsce – gdzie, jak utrzymywał, nie rozumiano go – z drugiej zaś z ostro postrzeganą izolacją w niemieckim środowisku muzycznym; zaiste, miałem wrażenie, iż w jakimś sensie decyzję o przeprowadzce do Berlina uważał może nie tyle za błędną, ile nie spełniającą jego początkowych oczekiwań i nadziei (choć tutaj mogę się mylić, niech wybaczą mi ci, którzy znali go lepiej). Obserwując samego siebie (a miał do siebie rzadko spotykany dystans), świetnie zdawał sobie sprawę ze swojej odmienności i, jak już napomknąłem, efekty tej odmienności przyjmował z pokorą, co wcale nie znaczy, że nie frustrował go pobyt na wyizolowanym atolu życia i twórczości, gdzie znalazł się – będąc bezkompromisowo sobą.

Czy był rozgoryczony? Najpewniej tak, lecz była to gorzka mądra, okraszona wyrozumiałością. Nie należy zapomnieć, że pod koniec życia zaczęto darzyć go szacunkiem należnym klasykowi, „Warszawska Jesień” zamówiła u niego utwór na spory skład – w odpowiedzi skomponował dla wśmienitego Kazimierza Dawidka *L'Hautbois mon amour* na obój solo, dwie harfy, kotły i orkiestrę smyczkową (1999), dzieło tyleż dla siebie nowe, co piękne. Ono otwierało, jak zresztą kilka innych utworów, nowy rozdział twórczości – była to muzyka, w przypadku której mówić można o syntezie awangardy – Szalonkowej sonorystyki! – z uduchowioną tradycją. Według mnie *L'Hautbois mon amour* jest przykładem swoście pojętego *sonorystycznego neoklasycyzmu*: ostre a giętkie faktury jakby rodem z lat trzydziestych XX stulecia spierają się o prymat z partią solową oboju, w której pojawiają się wielodźwięki, traktowane melodycznie (!) oraz inne efekty, jak np. gra w obojowej „stratosferze” dostępnej jedynie najlepszym wirtuozom. Potem wręcz paryska liryka, elegancka, szlachetna, w której wszystko się spełni-



ło, więc nie ma sensu udawać... Zamiast walki o swoje, o nowość, jest tu panestytna nostalgia, właśnie – miłość. Miłość do muzyki i jej miejsca w coraz bardziej schodzącym na psy świecie (Szalonek mówił o „skundleniu ludzkości”). W tym i kilku innych dziełach tego ostatniego okresu komponowania, powrócił Witold Szalonek do najgłębiej wbitych w grunt dźwiękowości korzeni swojej estetyki. Odbieram ten utwór – dosłownie! – jako jego „łabędzi śpiew”, jako ten Mahlerowy „Leb’wohl mein Saitenspiel” z X Symfonii. Liryka pogodzenia się z nadchodzącym, przeżywanym może (?) dniem ostatnim.

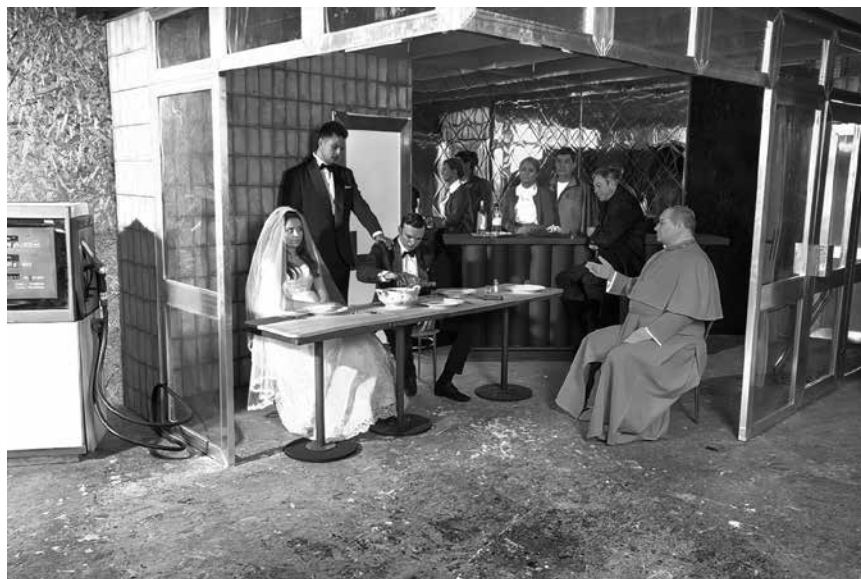
Tej uduchowionej tradycji poświęcili autorzy dużo miejsca, szczególnie dziełom chóralnym – to one prawdopodobnie najlepiej oddają końcowy etap ewolucji kompozytora. Rozdział o tej nowej dla twórcy drodze koncentrują się na *Trzech hymnach św. Jana Nepomucena* – to rozmowy Mariana G. Gerlicha z księdzem kanonikiem Alfredem Szkróbką, jawiącym się jako *spiritus movens* tego twórczego projektu, oraz Jerzym Matulą, dyrygentem Chóru św. Cecylii, patronki muzyki, dla którego dzieło powstało. Z kolei Anna Szostak mówi o *Srebrnym preludium i Modlitwie*, którymi to dziełami dyrygowała w wyjątkowych warunkach (nie zdradzę!) w Berlinie.

Kim był Witold Szalonek? Zmaga się z tym pytaniem przedwcześnie zmarły Piotr Baron w celowo kontrowersyjnie zatytułowanym, doskonałym esaju *Polak, Ślązak czy Niemiec? Kompozytor czy filozof? Nauczyciel czy mentor?* Dla mnie był śląskim Polakiem na rozdrożach historii. Na równi z Bacewiczówną, Bairdem, Lutostawskim, Pendereckim, Serockim dał polskiej muzyce świadomość odrębności i oryginalności.

Znajduję jedną tylko odpowiedź: był Mistrzem. Za pracę o nim autorstwa trójki wyżej wymienionych wybitnych przedstawicieli śląskiego myślenia musimy być – po prostu – wdzięczni. Wspomniała, mądra książka.

Zdarza się, że w nurcie płynącego czasu, wśród zmienności rzeczy i zjawisk, człowiek poszukuje pewności, punktu zaczepienia, przekonania, że życie nie jest wyłącznie bezładną wędrówką, niekończącym się trwaniem, ciągłym doświadczeniem chaotycznej codzienności. Cóż to jednak oznacza? Może niezgodę na samego siebie i zastaną rzeczywistość? Może świadomość, że trzeba nieustannie zmieniać punkt widzenia, bo świat przyjmuje różne zaskakujące kształty, podlegając jakiemuś porządkowi intelektualnemu. Albo pragnienie samopoznania, określenia własnego statusu? Oczywiście, możliwe jest powtórzenie, ono przecież nadaje życiu sens, obdarza go znaczeniem, jednak tak naprawdę problem zasadniczy związany jest z poczuciem braku, niedopełnienia, jakie towarzyszą każdej egzystencji. Wyjściem z tej sytuacji, wobec trudności z uchwyceniem sensu istnienia, może stać się próba powrotu. Powrócić można w zasadzie do wszystkiego: ludzi, zdarzeń, wspomnień. Na jawie i we śnie. Tę drugą możliwość, czyli ucieleśnienie problemów w imaginacyjnym świecie, wybiera Henryk, bohater Gombrowiczowskiego *Ślubu*, który wystawił na inaugurację nowego sezonu Teatr Zagłębia w Sosnowcu.

Napisany w 1946 roku przez długie lata czekał na premierę, przechodząc po drodze liczne perypetie. Sam autor nie ułatwiał mu drogi na scenę wykluczając na przykład możliwość wystawienia na prowincji, gdy chciał to uczynić Tadeusz Byrski, reżyser, współtwórca teatru radiowego, w kierowanym przez siebie kieleckim teatrze im. Stefana Żeromskiego. Negatywnie odniósł się również do planów Tadeusza Kantora zainteresowanego adaptacją mówiąc wprost, że nie chce być kojarzony z niszową awangardą i nie godzi się na to, „aby *Ślub* debiutował jako sztuka eksperymentalna, obok Witkacego”. To już daleka przeszłość. Z dramatem mierzyli się później najwięksi twórcy teatralni, by wspomnieć Jerzego Grzegorzewskiego i jego dwie realizacje w Teatrze Polskim we Wrocławiu (1976) i Teatrze Narodowym (1998). Jerzy Jarocki wędrował z tym utworem przez długie lata scenicznej działalności, zaczynając w Studenckim Teatrze Gliwice (1960), później w warszawskiej PWST (1972), tamże w Teatrze Dramatycznym (1974), następnie Starym Teatrze (1991) i rok później Teatrze Telewizji. Z tekstem Gombrowicza spotkał się także Krystian Lupa w jeleniogórskim Teatrze im. C. K. Norwida (1984). Tę bardzo wybiórczą galerię wypada uzupełnić o nazwiska Anny Augustynowicz, autorki



fol. Piotr Lis

Ostatnie wspólne zdjęcie

WOJCIECH LIPOWSKI

szeroko komentowanej i bardzo udanej adaptacji *Ślubu* w szczecińskim Teatrze Współczesnym (2016), gdzie starała się wykorzystać m.in. możliwości lingwistyczne, jakie daje tekst w kształtowaniu przestrzeni ludzkiej egzystencji; czy Eimuntas Nekrošiusa, litewskiego reżysera, który w Teatrze Narodowym (2018) zaproponował odczytanie tego klasycznego dzieła w kontekście teatru absurdu. Wróćmy jednak do Sosnowca.

Odczytanie dramatu Gombrowicza dokonuje się tutaj częściowo w pozatekstowym wymiarze. Radosław Rychcik, reżyser spektaklu, zaproponował niezwykle statyczną, mocno skróconą, złożoną jakby z fotograficznych ujęć, wędrówkę po wybranych motywach dzieła. Bardzo trudno widzowi, w takim ujęciu interpretacyjnym, wejść w Gombrowiczowską grę, jak sam pisał „wewnętrzna praca duchowa” głównego bohatera, głęboki proces psychiczny, jaki obserwujemy u człowieka, dla którego impuls twórczy stanowi motor działania na drodze do samopoznania. Z pewnością autor adaptacji osiągnął efekt zaskoczenia sytuując akcję w fotorealistycznej przestrzeni stacji benzynowej (autorem scenografii jest Łukasz Błażejewski), gdzieś na antypodach świata, głębokim, zapomnianym marginesie bytu. Czy ta sceneria miała podkreślić kontrast pomię-

dzy sztucznością i naturalnością oglądanego świata? Odwoływać się do znanych dzieł popkultury, wchodzić w dialog z otoczeniem społecznym, a może tylko odzwierciedlać stan duchowy Henryka, człowieka „mętnego”, „nieukończono”, „niejasnego”, który powraca do miejsca wykluczonego, zapomnianego, by zgubić się w bezkształcie, niedojrzałości, poczuć pewnie tam, bo wreszcie u siebie, zanurzyć w chaos, gdzie zdarzyć może się wszystko?

W przypadku Rychcika mogliśmy już doświadczać podobnych zaskoczeń, gdy brał na warsztat wielkie dzieła polskiej literatury. Przypomnijmy *Wesele* (2016) z Teatru Śląskiego, którego akcję umieścił w irlandzkim pubie wśród zdarzeń lat 70. ubiegłego wieku, *Dziady* (2014) w poznańskim Teatrze Nowym rozegrane w scenerii Ameryki Północnej czy krakowskie *Wyzwolenie* (2017) pokazane w klasie szkolnej niczym z amerykańskiego filmu dla młodzieży. Czy ta swoista galeria atrakcyjnych obrazów scenicznych wiedzie w stronę sensu tekstu, podejmuje z nim dialogiczność? A może wcale nie musi oznaczać zależności od rzeczywistości jako przedmiotowej rzeczywistości? Być może chodzi nie tyle o zaskoczenie, co rozpoznawalność rzeczywistości znanej odbiorcy, ukazanej w nieoczekiwanym kontek-

ście sprzeczności, w jakim tkwią bohaterowie powyższych utworów.

Czytanie *Ślubu* w spektaklu sosnowieckiego teatru podąża inną drogą. Przypomnijmy tylko w wielkim uproszczeniu, że ten „dramat wewnętrzny” rozgrywa się w obrębie psychiki śniącego bohatera, który w tej osobliwej przestrzeni stwarza rzeczywistość, buduje świat z własnych problemów, urojeń i próbuje nad nim zapanować walcząc jednocześnie o własną tożsamość. Przestrzeń dzieła utkana jest ze skojarzeń, gestów, obsesji. Droga Henryka wiedzie ku władzy nad rzeczywistością. Pożądanie wszechmocy, pragnienie ślubu z narzeczoną, a w końcu powrotu do niewinności wiedzie poprzez eliminację autorytetów, władzy i zastąpienie ich gmachem „kościola międzyludzkiego”, gdzie wartość egzystencji powstaje we współdziałaniu jednostek. W efekcie bohater dryfuje pomiędzy pragnieniami, dawną moralnością, anarchią prowadzącą do śmierci przyjaciela, tracąc w ten sposób jedyne oparcie i podąża w kierunku destrukcji własnych oczekiwań. Tyle Gombrowicz. A jak jest w spektaklu Radosława Rychcika?

Henryk, grany bardzo sugestywnie i niepokojąco przez Michała Bałagę, powraca na głęboką prowincję, pogrąża się w rzeczywistości zdegradowanej, bo, jak można przypuszczać, to miejsce będzie dlań odpowiednie, by pozbyć się kompleksów, rozwikłać duchowe problemy, znaleźć spełnienie. Chyba w tę stronę idzie aktor analizując tekst Gombrowicza. W dramacie jest to postać niezwykle skomplikowana wewnętrznie, uwykułająca głęboką niewiarę w sens własnych działań a jednocześnie marząca o hierarchicznym świecie, porządku i własnej świętości. Tych sprzeczności i właściwości Henryka możemy się tutaj jedynie domyślać. Natomiast Bałagę udało się niejako rozłożyć na poszczególnych adwersarzy osobiste niespełnienia, odbić to wszystko w lustrze przystawionym do twarzy Ojca (wyrazisty Andrzej Dopierała), matki (oszczędna Maria Bieńkowska) – wywyższonych, następnie ponizonych, czy Władzia (nieokreślony Tomasz Kocuj). Wszyscy odzieni i obcy jak nierzeczywista Mania, daleka i prawie nieobecna czy powracająca nieustannie wyrzut sumienia, wstydliva strona natury Pijak (balansujący na krawędzi groteski Grzegorz Kwas), który mógłby znacząco uzupełnić postać Henryka, wejść w polemikę z jego fantastycznym światem, stanowić przeciwwagę, a jest tylko jedną z postaci dramatu.

W pośpiesznym, złożonym, jak wspomniano, z fotograficznych sekwencji *Ślubie* udało się zbudować akcję dramatyczną, przy zachowaniu jednostkowej perspektywy, ze zderzenia antagonistów funkcjonujących w rzeczywistości snu Henryka na prawach dopeł-

nienia. To właśnie postaci wypełniające przestrzeń wyobraźni wzmacniają iluzję władzy absolutnej, ale też uświadamiają, szczególnie Pijak i Władzio, jak wątle są zapewnienia poddanych o wierności i zaufaniu w „świecie wiecznego naśladownictwa, sztuczności i mistyfikacji”. I tu prosiłoby się o pewną umowność przestrzenną sceny. Unieruchomione, realistyczne tło redukuje możliwość odniesień, budowania znaczeń, jakie oferuje stwarzająca wyobraźnia Henryka powracającego z tułaczki wraz całym bagażem doświadczeń, płataniną przeczuc, których może dociekać uważny odbiorca. Rychcik, wikłając Henryka w wyraźny kontekst społeczny (vide bywalcy zapuszczonej stacji benzynowej, robocze stroje rodziców-właścicieli), redukując dramat do kilku motywów, ogranicza niejako dostęp do bogactwa, nazwijmy to, rytmu myśli bohatera-artysty pragnącego dotrzeć do spraw zakrytych przez przyszłość. Gombrowicz pisał w *Dzienniku*: „*Ślub* na scenie powinien stać się górą Synaj, pełną mistycznych objawień, chmurą, brzemieną tysiącem znaczeń, rozpędzoną pracą wyobraźni i intuicji, Grand Guignolem, obfitującym w igraszki, zagadkową *missa solemnis* na przełomie czasów u stóp niewiadomego ołtarza. Ten sen jest snem i toczy się w ciemnościach, on ma prawo do tego, aby go rozjaśniały tylko błyskawice (bardzo przepraszam, że w sposób tak górnolotny wyrażam się, ale inaczej nie mógłbym dać do zrozumienia, jak ma być wystawiony *Ślub*)”.

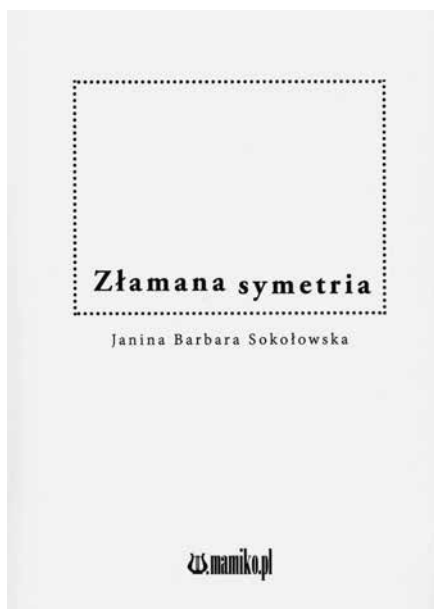
Powyższe słowa zostały przytoczone nie na prawach zarzutu, ale podkreślenia, że sam autor przeczucwał trudności i problemy, z jakimi zmierzają się przyszli inscenizatorzy tego klasycznego już utworu. Należy pamiętać, że *Ślub* jest bez wątpienia najtrudniejszym w realizacji spośród trzech ukończonych dramatów pisarza. Trudności dotyczą nie tylko adaptacji, ale także odbioru. Charakterystyczna dla poetyki tego dzieła gra snu, przywołująca dzieła Calderona czy Strindberga, nie wybrzmiewa w sosnowieckim spektaklu zbyt mocno, pozostając w kilku mocniejszych akcentach, a szkoda, bo Henryk w wykonaniu Bałagi ma wszelkie podstawy, by wypełnić teatr nie tylko zmaganiem z oporną formą rzeczywistości, ale próbą dotarcia do istoty, filozoficznej przestrzeni utworu. Można odnieść wrażenie, iż reżyser chciał, aby główne akcenty spektaklu dotknęły kontekstu egzystencjalnego dzieła Gombrowicza. Henryk poszukuje przecież usilnie, rozpisując wewnętrzne niepokoje na osoby dramatu, autentyczności i nadziei, pewności, zakorzenienia w bycie. Bałaga w niektórych fragmentach wyraźnie prowadzi swego Henryka w tym kierunku. Jego postać to człowiek samotny, do pewnego stopnia przerażony świadomością iluzji

własnej podmiotowości, niewiarą, skoro ta prawdziwa wiara okazuje się tylko gestem, parodią. Tak jak w scenie z Pandulfem (dobra rola Wojciecha Leśniaka), która powinna stanowić punkt zwrotny tragedii, a staje się również parodią nadchodzącej klęski. Samo przeklęcie przez kardynała i późniejsza seria „dotknięć” nie polega na unieważnieniu przedmiotu parodii, ale podkreśleniu prawdziwej powagi poruszanych spraw.

Osią akcji adaptacji Rychcika staje się zatem relacja – niepokojąca, wyzywająca, enigmatyczna, jaka zachodzi między Henrykiem a Władziem. Postać Władzia wygrana przez Tomasza Kocuja w niezwykle sztucznej, ale pasującej do tego ujęcia formie, świadczy dobitnie o tym, jakie są konsekwencje międzyludzkiej manipulacji, prób podporządkowania ideom rodzącym się w świecie iluzji. Reżyser idzie tu niejako za tropem myśli Czesława Miłosza, który w jednym z esejów poświęconych pismom Gombrowicza, stwierdził, oddając wcześniej szacunek jego „wielkiej śmiałości ducha”, że dzieło autora *Operetki* przynależy do czasu, który odkrył, że „człowiek może zrobić wszystko z człowiekiem”. Wydaje się, że właśnie skrajny pesymizm w świecie tego teatru stanowi najmocniejszą dominantę. Jak bowiem odnaleźć inną drogę, skoro człowiek jest zawsze poddany temu, co tworzy się między ludźmi, nawet boskość – jak mówił Gombrowicz – także rodzi się z ludzi. Gdzie zatem szukać nadziei w spektaklu Teatru Zagłębia? Reżyser zakończył to krótkie przedstawienie, a właściwie urwał w momencie śmierci Władzia. Katastrofa nie wybrzmiała w pełny sposób, bo zabrakło przecież winy, przyznania się do porażki, destrukcji śnionego świata.

W końcowym ujęciu, niczym na fotografii, gdy wszystko się dokonało a ludzie znieruchomieli w niewoli własnych pustych gestów, wybrzmiałych słów, pokonany władca, artysta, człowiek, marzy już chyba wyłączenie, niedawno powróciwszy, o ucieczce, schronieniu w innym miejscu świata, by po prostu uwolnić się spod jeszcze innej władzy, władzy zwykłej ludzkiej samotności, na którą skazał samego siebie. Na odwrocie wspomnianego zdjęcia Henryk mógłby przed ostatecznym odejściem pozostawić przestrożę dla tych, którzy wpadliby na pomysł podążania drogą, którą przebył już sam: „Ostrożnie ze mną... Bo jeśli zanadto mnie zmęczycie, to ja zbudzę się... i wszyscy znikniecie...” ■

W. Gombrowicz
Ślub
reż. Radosław Rychcik
Teatr Zagłębia w Sosnowcu
Premiera 18.09.2020



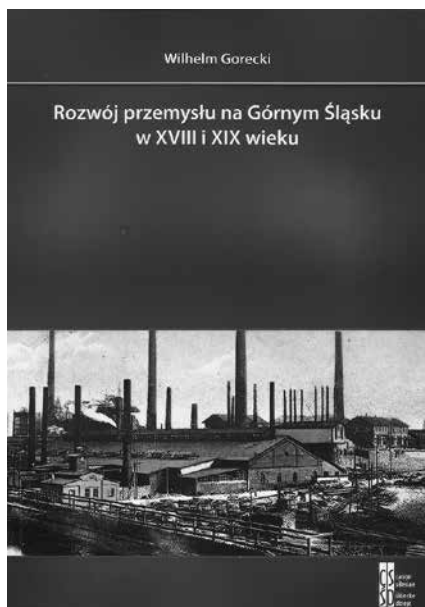
Janina Barbara Sokołowska, *Złamana symetria*. Wydawca: Mamiko – Apolonia Maliszewska, Nowa Ruda 2020.



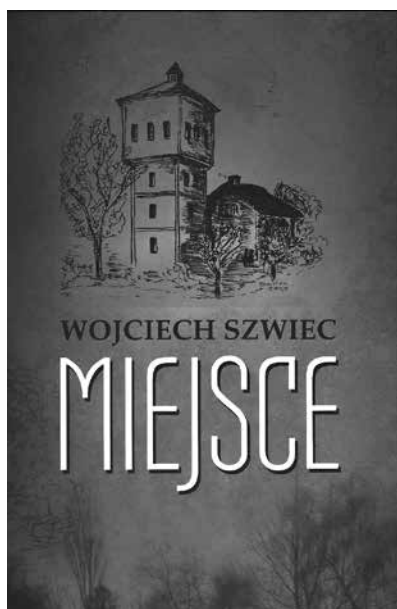
Grzegorz Kopaczewski, *1989*. Wydawca: Silesia Progress, Kotórz Mały 2019.



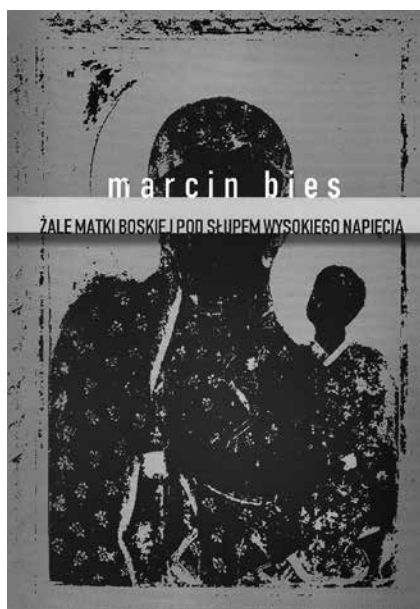
Zbigniew Rokita, *Kajś. Opowieść o Górnym Śląsku*. Wydawca: Wydawnictwo Czarne, Wołówiec 2020.



Wilhelm Gorecki, *Rozwój przemysłu na Górnym Śląsku w XVIII i XIX wieku*. Wydawca: Silesia Progress, Kotórz Mały 2018.



Wojciech Szwiec, *Miejsce*. Wydawca: Silesia Progress, Kotórz Mały 2018.



Marcin Bies, *Żale Matki Boskiej pod słupem wysokiego napięcia*. Wydawca: Instytut Mikołowski im. Rafała Wojaczka, Mikołów 2020.



Drodzy Czytelnicy!

Zapraszamy do zaprenumerowania miesięcznika „Śląsk” na 2021 rok!

Wystarczy wyciąć i wypełnić zamieszczony obok blankiet, a następnie dokonać przelewu na wskazane konto.

*

Prenumerata redakcyjna gwarantuje systematyczną dostawę pisma do osoby zamawiającej!

*

Cena prenumeraty, podobnie jak cena pojedynczego egzemplarza nie ulega zmianie!

*

Prenumerata roczna – 84 złote
Prenumerata półroczna – 42 złote
Prenumerata kwartalna – 21 złotych

*

Cena jednego egzemplarza wynosi 7 złotych.

*

Dziękujemy wszystkim dotychczasowym prenumeratorom, zapraszamy nowych!

*

„Śląsk” ukazuje się przez 12 miesięcy w roku.

*

Zachęcamy także do odwiedzenia strony internetowej www.slaskgtl.com

*

POLEĆ „ŚLĄSK” SWOIM ZNAJOMYM I PRZYJACIOM – WSZYSTKIM, KTÓRYCH INTERESUJE ŚLĄSK!

odcinek dla instytucji przyjmującej zlecenie

nazwa odbiorcy		GÓRNOŚLĄSKIE TOWARZYSTWO LITERACKIE	
nazwa odbiorcy od:		UL. JULIUSZA LIGONIA 7, 40-036 KATOWICE	
T.l.k. nr rachunku odbiorcy		08203000451110000004079490	
nr rachunku zlecającego (przelew) / kwota słownie (wpłata)		WP PLN	
nazwa zlecającego			
nazwa zlecającego od:			
tytułem		PRENUMERATA MIESIĘCZNIKA	
tytułem od:		„ŚLĄSK”	

Polecenie przelewu / wpłata gotówkowa

Oplata:

pieczęć, data i podpis(y) zlecającego

odcinek dla instytucji przyjmującej zlecenie

nazwa odbiorcy		GÓRNOŚLĄSKIE TOWARZYSTWO LITERACKIE	
nazwa odbiorcy od:		UL. JULIUSZA LIGONIA 7, 40-036 KATOWICE	
T.l.k. nr rachunku odbiorcy		08203000451110000004079490	
nr rachunku zlecającego (przelew) / kwota słownie (wpłata)		WP PLN	
nazwa zlecającego			
nazwa zlecającego od:			
tytułem		PRENUMERATA MIESIĘCZNIKA	
tytułem od:		„ŚLĄSK”	

Polecenie przelewu / wpłata gotówkowa

Oplata:

pieczęć, data i podpis(y) zlecającego

NOTATNIK KULTURALNY

Redagują:
Anna Gaitoer
Joanna Kotkowska

Strategia rozwoju województwa śląskiego „Śląskie 2030” Zielone Śląskie

KATOWICE. Zarząd Województwa Śląskiego pod kierunkiem Marszałka Województwa Śląskiego **Jakuba Chelstowskiego** opracował dokument strategiczny na najbliższe 10 lat kreujący perspektywę rozwoju regionu. Opinię naukową dla przygotowanej strategii opracowali prof. dr hab. Jacek Szlachta z Szkoły Głównej Handlowej w Warszawie i dr hab. Adam Drobniak prof. Uniwersytetu Ekonomicznego w Katowicach.

Wizja rozwoju województwa śląskiego zakłada doprowadzenie do wykreowania regionu o nowym, pozytywnym wizerunku, który będzie zajmował istotną pozycję w procesach rozwoju Europy. Województwo śląskie będzie regionem:

- * stwarzającym możliwości rozwojowe mieszkańcom, dającym poczucie bezpieczeństwa publicznego, ekonomicznego, zdrowotnego i socjalnego,
- * o silnej tożsamości kulturowej i wysokim stopniu identyfikacji z regionem,
- * o ugruntowanym, pozytywnym wizerunku nowoczesnego i atrakcyjnego regionu,
- * skutecznie reagującym na pojawiające się zmiany w otoczeniu,
- * w którym nowoczesna, innowacyjna i zdywersyfikowana gospodarka, medycyna, kultura i edukacja zapewniają utrzymanie pozycji jednego z kilku centrów rozwoju cywilizacyjnego Polski i Europy,
- * umożliwiającym rozwój wiedzy i kompetencji w silnych jednostkach naukowo-badawczych, *stanowiącym obszar zrównoważony terytorialnie, opierający swój rozwój na układzie: metropolii, aglomeracji, miast oraz silnych obszarów wiejskich, równoważącym funkcje i zachowującym spójność regionalną,
- * kładącym nacisk na współpracę i współdziałanie społeczności lokalnych w dobrze zorganizowanych i ukształtowanych w wymiarze organizacyjnym, społecznym i gospodarczym subregionach,
- * kształtującym odpowiedzialnie swoją politykę gospodarczą, przestrzenną oraz środowiskową, *stwarzającym warunki do zdrowego i aktywnego życia w wysokiej jakości środowisku oraz zapewniającym zachowanie bioróżnorodności obszarów,
- * o dużych walorach przyrodniczych, kulturowych i krajozobrazowych, a także turystycznych oraz rekreacyjnych,
- * wpisującym się w najważniejsze układy infrastrukturalne Europy,

MIESIĘCZNIK
SPOŁECZNO -
KULTURALNY

* otwartym na współpracę w skali krajowej i międzynarodowej.

Budowanie przyszłości województwa to przede wszystkim wykorzystanie istniejących potencjałów i wartości stanowiących o unikatowości regionu.

Do wartości tych zaliczyć należy: szacunek dla tradycji, kultury lokalnej i narodowej, pracowitość, silne więzi międzypokoleniowe i rodzinne, integrację społeczną, gościnność i otwartość oraz umiejętność współpracy. Budowanie przyszłości to również kreowanie nowych wartości takich jak: postawy kreatywne i innowacyjne, umiejętność działania w sieciach współpracy.

Przyznano stypendia w dziedzinie kultury

KATOWICE. Stypendia w dziedzinie kultury przyznawane są przez Zarząd Województwa Śląskiego osobom zajmującym się twórczością artystyczną, upowszechnianiem i ochroną dóbr kultury na rzecz województwa śląskiego. Jest to jedyna prawnie dostępna forma bezpośredniego wsparcia ze środków publicznych osób fizycznych zajmujących się sztuką i dziedzictwem kulturowym. Dwadzieścia osób otrzyma po 10 tys. zł. Stypendium będzie wypłacone w dwóch ratach. Osoba, której przyznano stypendium, zobowiązana jest do wykonania przyjętego programu stypendialnego oraz przedstawienia w ustalonym terminie sprawozdania z jego wykonania.

„Marka Śląskie” Rezygnacja

KATOWICE. Na podstawie uchwały Zarządu Województwa z dnia 7.10.2020 Marszałek Województwa złożył rezygnację z prac w kapitule konkursu „Marka Śląskie”.

Centrum Dziedzictwa Przyrody Górnego Śląska

KATOWICE. W związku z pilną potrzebą zapewnienia ciągłości działania jednostki Zarząd Województwa Śląskiego podjął decyzję o powierzeniu obowiązków dyrektora Centrum Dziedzictwa Przyrody Górnego Śląska w Katowicach Panu **Michałowi Romańczykowi** – Kierownikowi Pracowni Dokumentacji Przyrody Centrum Dziedzictwa Przyrody Górnego Śląska w Katowicach, na czas określony, tj. na okres sześciu miesięcy – od 1 października 2020 roku do 31 marca 2021 roku.

Zasady wynagradzania dyrektorów i ich zastępców

KATOWICE. Zarząd Województwa Śląskiego przyjął w dniu 30 września 2020 uchwałę o Zasadach wynagradzania dyrektorów i zastępców dyrektorów instytucji kultury wpisanych do „Rejestru instytucji kultury, których organizatorem jest Województwo Śląskie”, powoływanych przez Zarząd Województwa Śląskiego. Wynagrodzenie dyrektorów i zastępców dyrektorów ustala Zarząd Województwa Śląskiego w drodze uchwały. W skład miesięcznego wynagrodzenia dyrektorów i zastępców dyrektorów wchodzi następujące składniki: płaca zasadnicza, dodatek funkcyjny, dodatek za wieloletnią pracę, premia, inne składniki i świadczenia wynikające z przepisów szczególnych. Dyrektorzy i zastępcy dyrektorów otrzymują wynagrodzenie zasadnicze w wysokości do 12 000 zł oraz dodatek funkcyjny w wysokości do 50% wynagrodzenia zasadniczego. Dyrektorom i zastępcom dyrektorów przyznawana jest miesięczna premia w wysokości do 40% wynagrodzenia zasadniczego na podstawie regulaminu premiovania przyjętego uchwałą Zarządu Województwa Śląskiego.

Górnośląska Nagroda Literacka „Juliusz”

RYBNIK. Decyzją kapituły, tegoroczna Górnośląska Nagroda Literacka „Juliusz” została przyznana **Agnieszce Daukszy**

za książkę pt. *Jaremianka. Biografia*. Laureatka z rąk prezydenta Rybnika **Piotra Kuczery** odebrała pamiątkową statuetkę i nagrodę pieniężną w wysokości 50 tysięcy złotych. W laudacji wygłoszonej w trakcie uroczystości Aleksander Kaczorowski tymi słowami uzasadnił wybór członków Kapituły: „ (...)Pod piórem Agnieszki Daukszy zapomniana, zmarła przedwcześnie krakowska malarka, którą zazwyczaj wspomina się tylko jako żonę, przyjaciółkę bądź współpracowniczkę słynnych artystów, odzyskuje należne jej miejsce w historii sztuki polskiej, odzyskuje swoją biografię i los. Okazuje się kobietą niezwykłą i niebanalną artystką, świadomą własnej wartości i gotową iść zawsze pod prąd. Dauksza rekonstruuje jej osobowość z nielicznych zachowanych świadectw i dokumentów; z niewiarygodną empatią, niczym archeolog w krainie umarłych, wydobywa na światło dzienne uczucia i pragnienia, dramaty i euforie nieżyjącej od dawna bohaterki. Dojrzewa razem z nią. W ten sposób niepostrzeżenie dla czytelnika – i może dla samej autorki – biografia Jaremy całkiem naturalnie, bez jednej fałszywej nuty, bez choćby jednego kiks, staje się także biografią Daukszy (...)”. Agnieszka Dauksza – to specjalizująca się w antropologii kulturowej nauczycielka akademicka na Wydziale Polonistyki Uniwersytetu Jagiellońskiego. Autorka ponad 60 artykułów i książek. W 2015 została laureatką konkursu stypendialnego START Fundacji na rzecz Nauki Polskiej dla wybitnych młodych naukowców.

Nagroda Literacka Nike

WARSZAWA. Zwycięzcą 24. edycji Nagrody Literackiej Nike został **Radek Rak**. Za najlepszą książkę roku jury uznało jego *Baśń o wężowym sercu albo wtóre słowo o Jakóbie Szeli*. Laureatką Nike Czytelników „Gazety Wyborczej” i Wyborcza.pl została **Joanna Gierak-Onoszko**.

Zwycięska książka „Baśń o wężowym sercu albo wtóre słowo o Jakóbie Szeli” (Wydawnictwo Powergraph) jest nawiązującą do mitologii Galicji powieścią historyczną, której bohaterem jest młody Jakub Szela, przywódca chłopskiego powstania przeciwko szlachcie. „Ta książka to klechda i jak każda klechda jest triumfem wyobraźni i dotyka twardej rzeczywistości, prawdziwego świata. Snuje historię nie z tej ziemi i jednocześnie opowiada o czymś, co drzemie w realnej historii, w naszej wspólnej podświadomości, w podglebiu języka, którym mówimy – mówił podczas gali o książce Raka Paweł Próchniak, przewodniczący jury Nagrody Literackiej Nike.” Pochodzący z Dębicy Radek Rak jest z zawodu weterynarzem. Natomiast laureatką nagrody Nike Czytelników „Gazety Wyborczej” i Wyborcza.pl została Joanna Gierak-Onoszko. Jej „27 śmierci Toby’ego Obeda” (Wydawnictwo Dowody na Istnienie) to zbiór opowieści tzw. ocalańców, czyli potomków rdzennej ludności Kanady, przymusowo wychowywanych przez państwo i Kościół w szkołach z internatami. Finalistami 24. edycji Nagrody Nike byli również: Agnieszka Dauksza za biografię „Jaremianka” (Wydawnictwo Znak), Piotr M. Majewski za esej „Kiedy wybuchnie wojna? 1938. Studium kryzysu” (Wydawnictwo Krytyki Politycznej), Monika Sznajderman za esej „Pusty las” (Wydawnictwo Czarne), Filip Zawada za powieść „Rozdeptałem czarnego kota przez przypadek” (Wydawnictwo Znak) i Paweł Piotr Reszka za książkę „Pluczki” (Wydawnictwo Agora). Nagroda Literacka Nike jest przyznawana za najlepszą książkę roku. W konkursie biorą udział wszystkie gatunki literackie. Nagrody nie można podzielić ani nie przyznać. Radek Rak otrzymał statuetkę zaprojektowaną przez Gustawa Zemłę oraz 100 tys. zł. W tym roku gala odbyła się bez udziału publiczności. W zeszłym roku Nike zdobył Mariusz Szczygieł za „Nie ma”. Wśród laureatów poprzednich edycji byli m. in. Andrzej Stasiuk, Dorota Masłowska i Olga Tokarczuk.

Czekałem na tę premierę w Teatrze Wielkim – Operze Narodowej od kilku miesięcy jak na wydarzenie sezonu i wyszedłem oszołomiony. Dramat liryczny Jules’a Masseneta „Werther” w inscenizacji Willy’ego Deckera okazał się wielkim sukcesem, a Piotr Beczała zagrał rolę życia. Jaki jest Werther naszych czasów? Czy sentymalna powieść Goethego „Cierpienia młodego Wertera” opublikowana w 1774 roku – która stała się kanwą do stworzenia libretta opery Masseneta – jest jeszcze w stanie wstrząsnąć sumieniami Europejczyków, którzy w XXI wieku zachłysłeni się konsumpcjonizmem i ostentacyjnym buntem wobec norm obyczajowych, rodzinnych, moralnych? Zarówno Werther Goethego, jak i Werther (pisany przez „h”) Masseneta jest tak nieszcześnie zakochany, że nie może znaleźć sobie miejsca w świecie bez Charlotty, więc jego decyzja o samobójstwie staje się nieuchronna. Choroba duszy niczym podstępny rak zjada go z każdym dniem. Massenet ukazał Werthera w opozycji do mieszczańskich norm społeczeństwa okresu pozytywizmu, natomiast nowoczesna inscenizacja Deckera zbliża nas mocno do naszych czasów i dzięki temu łatwiej nam współodczuwać z tytułowym bohaterem.

Objawem racjonalnego działania było to, że matka Charlotty przed śmiercią prosiła córkę, aby ożeniła się z pragmatycznym Albertem, co miało jej zapewnić stabilne, bezpieczne życie. A jednak Charlotte przeżywa ogromne rozterki. Jest bezradna wobec wyboru między dwoma mężczyznami i poddaje się woli zmarłej matki, ale w jej sercu i umyśle rozgrywa się ogromna wewnętrzna walka pomiędzy powinnością a wielkim uczuciem. Symbolem Fatum jest obraz matki, raz trzymany w rękach, kiedy indziej wieszany na ścianie, ale przez dwa pierwsze akty ciągle obecny na scenie. Ślub Charlotty z Albertem odbył się w kościele, a następnie miała miejsce uczta przy wielkim stole, ustawionym prawie na całą szerokość sceny. Dziwne postacie usadowione na krzesłach przypominały trochę złowieszcze kukły.

Kolejnym symbolem Fatum stają się dwaj słudzy ubrani w czarne fraki i cylindry, przypominający trochę mistrzów ceremonii, trochę kreatury z cyrku albo braci Janickich z Teatru Śmierci Tadeusza Kantora. Stają się personifikacjami złowrogiego Losu, który prowadzi Werthera do tragicznego końca. Znamienny jest moment, kiedy odbierają rewolwer od Charlotty i przekazują go Wertherowi, aby się zastrzelił.

Inscenizacja Willy’ego Deckera przedstawia nam symbolicznie świat w trzech kolorach: niebieskim, żółtym i białym. Widać tu nawiązanie do Goethego, który w ostatniej scenie „Cierpienia młodego Wertera” przedstawia tytułowego bohatera



fol. Krzysztof Bielicki

Wspaniały Werther

KRZYSZTOF KORWIN-PIOTROWSKI

ubranego w błękitny frak i żółtą kamizelkę. W pierwszym i drugim akcie mamy niebieskie wnętrza domu z miniaturami budowli miasteczka i krzesłami, a za rozsuwaną i zasuwaną ścianą domu jest otwarta przestrzeń do nieskończoności, z żółtą podłogą, przypominającą nam o letniej aurze. Ale skojarzeń jest tu więcej. Ubrany w piaskowy strój Piotr Beczała, który w pewnym momencie kładzie się na żółtej podłodze z jednym kolaniem uniesionym w górę, sprawia wrażenie rozluźnionego i szczęśliwego, jakby leżał na słonecznej plaży. Na balu zakochał się w Charlotte i marzy o wspianiałej wspólnej przyszłości. Szybko jednak nadchodzi otrzeźwienie.

Pod koniec XIX wieku w Londynie i Nowym Jorku (Metropolitan Opera 1894) Werthera śpiewał wielki polski tenor Jan Reszke. A w XXI wieku na wielu scenach Europy triumfuje jako Werther Piotr Beczała, pochodzący ze Śląska, a uznawany za najlepszego tenora lirycznego na świecie. W marcu 2020 roku przygotowywał się do premiery tej opery w Metropolitan Opera i po trzech tygodniach próby zostały drastycznie przerwane z powodu pandemii koronawirusa. Beczała zagrał w inscenizacji Deckera po raz pierwszy kilkanaście lat temu we Frankfurcie, a ostatnio 2 lata temu w Barcelonie, natomiast w różnych produkcjach „Werthera” bierze udział od 25 lat i było to już około 10 inscenizacji.

W trzecim akcie Werther przychodzi w białym płaszczu, przestrzeń za domem zmienia się w krajobraz zimowy, jest grudzień, pada śnieg. Ten piękny obraz na dłu-

go pozostanie w pamięci. Irina Zhytynska jako Charlotte nie dorównała jednak wybitnemu śpiewakowi w finałowym duecie ani wokalnie, ani aktorsko. Stanisław Kuflyuk natomiast znakomicie wcielił się w Alberta – rywala Werthera. Nie jest tu złym bohaterem, lecz osobą, która przez cały czas próbuje ratować małżeństwo i wybacza Charlotte grzechy.

Orkiestra pod batutą nowego dyrektora Teatru Wielkiego – Opery Narodowej Patricka Fournillier zagrała znakomicie. Fournillier poznał Piotra Beczałę w 2007 roku, kiedy usłyszał go jako Werthera w Bayerische Staatsoper w Monachium i uważa, że jest to najlepszy odtwórca tej roli na świecie. Beczała hipnotyzuje publiczność, prezentuje prawdziwe emocje i pokazuje dramat jednostki w pełnym wymiarze. Słynną arię „Pourquoi me réveiller” zaśpiewał zjawiskowo.

Wiener Staatsoper planuje spektakle „Werthera” z Piotrem Beczałą 28 listopada, 3, 6 i 10 grudnia, w reżyserii Andrei Serbana, amerykańskiego twórcy rumuńskiego pochodzenia, znanego z nowatorskich inscenizacji. Jeśli ktoś z Państwa może się tam wybrać, na pewno warto. A warszawska inscenizacja jest wydarzeniem sezonu w Polsce. ■



Krzysztof Korwin-Piotrowski – dyrektor artystyczny Fundacji Orfeo im. Bogusława Kaczyńskiego



foto: Krzysztof Bieliński



foto: Krzysztof Bieliński

